

**Zofia Kossak**

**LEGNICKIE POLE**

Stary Subutaj, zwany Lwem i Ramieniem Niezłomnego (Niezłomny - Czingis-chan (Temudżyn); ok. 1155-1227, twórca imperium mongolskiego ze zjednoczonych koczowniczych plemion, największej potęgi militarnej w średniowiecznej Azji.), charknął nasycony i odrzucił w tył przez ramię złoty szpikulec, którym się posługiwał przy jedzeniu. Baczny na każdy ruch pana, niewolnik ujugurski podał mu gliniane naczynie z wydłużoną, wąską szyjką, napełnione pieniącym kumysem (Kumys (tur.) - napój z mleka kobyłego). Stary wojownik przymknął oczy i pił chciwie, z lubością. Wystająca z pomarszczonej szyi grdyka poruszała się ruchem miarowym. Widząc

to Bartolomeo di Candiano, tajny poseł Rzeczypospolitej Weneckiej (Rzeczypospolita Wenecka - uformowana w średniowieczu republika na północny

Włoch. Wielka potęga handlowa i morska, wzbogacona zwłaszcza na wojnach krzyżowych. Rządzona przez Wielką Radę i wybieranych z jej składu naczelników - dodżów.), odłożył z westchnieniem ulgi pasek wędzonej, słodkiej koniny, którą żuł uprzejmie, lecz z przymusem, i oddał go wraz z miską niewolnikowi. Mięso błyskawicznie znikło. Niewolnik wytarł starannie miskę wiechem suchej trawy i ostrożnie postawił na ziemi pod ścianą jurty (Jurta (tur.) - namiot pokryty skórą używany przez koczownicze plemiona azjatyckie) - stanicę.

Obojętny i daleki na pozór, w rzeczywistości chwytający wszystkiego w lot zamrużonymi szparami oczu, wykwintny mandaryn (Mandaryn - wysoki urzędnik w

dawnych Chinach) Czang-fu-tse z precyzją, bez pośpiechu jadł ryż z porcelanowej miseczki, zręcznie przebierając pałeczkami. Kula z gładkiego koralu, połyskująca na czapce, zdradzała wysoką jego godność. Wzorzysty, szeroki chałat, dziany w zawyły splot zwierząt i liści, odbijał barwnie na tle czarnej pilśni ściany. Czterech terchanów, czyli uprzywilejowanych wojowników, wolnych od ciężarów, mających prawo popełnić dziewięć zbrodni bezkarnie, za dziesiątą dopiero odpowiadając przed chanem, siedziało w kucki rzędem koło wodza, śledząc pożądlivym wzrokiem naczynie z kumysem.

Subutaj odjął bańkę od ust, zawahał się i w dowód wysokiej uprzejmości podał ją cudzoziemcowi. Signor (Signor (wł.) - pan) Bartolomeo umiał ocenić to wyróżnienie, chwilę udawał, że pije, zanim z kolei wręczył dzbanek Chińczykowi. Trzej niewolnicy, młodzi mołojcy ruscy o białej, choć opalanej skórze i krasnych ustach, weszli z sąsiedniej przegrody jurty, wnosząc w wysokich dzbanach arrakę, czyli wódkę z ryżu, tarassum, czyli wódkę z mleka, i słodkie perskie wino. Złociste, bizantyjskie święte kielichy cerkiewne, przywiezione z ostatniej wyprawy kijowskiej, zabłyły przed każdym z siedzących. Przestało obowiązywać zachowanie obrzędowo w czasie posiłku milczenie. Subutaj zagaił pierwszą rozmowę, zapytując chrapliwym głosem cudzoziemskiego posła o przyczynę dalekiej podróży.

Zagapiony, stojący za plecami Wenecjanina młody tłumacz włoski ocknął się nagłym szturchnięciem, spleonął i śpiesznie przetłumaczył słowa wodza.

Posel-dyplomata uśmiechnął się zadowolony, pogładził dłonią ciemny aksamitny kaftan z wypuszczonymi trójkątami z purpurowego jedwabiu, dźwięknął złościście łańcuchem napierśnym i odparł:

- Przywiodły mnie tu, o dostojny wodzu, podziw i chęć zobaczenia własnymi oczami niezwykłych władców ziemi, których sława zaćmiła najpotężniejsze czyny orężne historii i zdumiewa cały świat.

Tłumacz jąkał się i mieszał, zacinał i pocił, z trudem przekładając orację na nie znającą superlatywów ni żadnych ozdób językowych mowę mongolsko-ujgurską.

- Powiedz mu - rzekł krótko, niecierpliwie Subutaj, gdy tłumacz skończył - że tylko głupiec uwierzy, by ktoś dla ciekawości przejeździł pół świata.

Niech mówi, po co tu przybył, a mowa jego ma być prosta.

Signor Bartolomeo zaczerwienił się, zmieszany. Spod wystającego, niskiego czoła bystre oczy wodza patrzyły weń przenikliwie. Szerokopleczysty, zgarbiony, z głową ukrytą w ramionach, niby sprężony do skoku, stary Lew przeglądał na wskroś przybysza.

Lecz ten stropił się tylko na mgnienie.

- Wieści o potędze i sławie władztwa mongolskiego - zapewnił - mogą nakłonić do dalszej jeszcze podróży. Mam zresztą także cel kupiecki: przywożem piękne i cenne towary...

- Towaru mamy dość za darmo z całej Azji... - odrzekł nie przekonany Subutaj.

Odgłos kroków przerwał rozmowę. Młody Mongoł w skórzanym kaftanie ruchem

władcy odsunął zasłonę stanu.

- Mendu! - rzekli chórem obecni, chyląc się nisko, z rękami przyłożonymi do czoła.

- Mendu - odparł niedbale wchodzący.

Był to Bajdar (Bajdar (właś. Pajdar) - wódz mongolski, dowódca inwazji na Polskę w 1241r.), zwany przez Chińczyków Pe-ta, jeden z licznych młodocianych chanów. Gdy trwali w pochyleniu czcząc w nim świętą krew wielkiego Sutu Bogdo Dajming Czingis-chana, zwanego Niezlomnym, skinął ręką, by usiedli, i sam opuścił się ciężko na zwał owczych skór. Niewolnik podał mu, przyklękając, kumys.

Bajdar, syn Dzagataja, był krępy, o pałakowatych nogach, miał mongolską posepnię twarży, wywinięte okrutne wargi i blade, zuchwałe oczy. Z dziecinną ciekawością patrzył na strój cudzoziemca.

- Kto to jest - zapytał wodza.

- Posel z dalekiego miasta Zachodu, dalszego niż brzegi Tuny.

- Czego chce?

- Zapytaj go sam, Bajdarze.

- Czego chcesz - powtórzył chan.

- Przybyłem - zaczął pompatycznie Wenecjanin - palony żądzą zobaczenia państwa świata, złożenia hołdu zwycięzcom Persów, Turków, Chin, Czerkiesów,

Ormian, Rusów, Kipczaków, Tatarów, Baszkirów, Bułgarów, Kirgizów i Kurdów.

Pokłonięcia się świętym pogromcom hord Kara-Kitaju, Dynastii Żelaznej i Dynastii Złotej...

Spotniały z wrażenia tłumacz przekładał co rychlej. Chan Bajdar słuchał obojętnie, dziobiąc ziemię końcem krótkiego, krzywego noża.

- Niezlomny (niech wielkie onkony (Ongony - wyobrażenia bóstw szamańskich

i duchów przodków) służą mu przez wieczność!) podbił wszystkie ludy świata, dla nas nic nie zostawiając - westchnął wysłuchawszy przemowy.

Przeciągnął się jakby z żalem.

Signor Bartolomeo podniósł brwi z gwałtownym zdziwieniem.

- Nic nie zostawił, dostojny chanie?... - powtórzył. - A oneż plemiona mongolskie, jęczące dotąd w niewoli obcej, do państwa świata jeszcze nie włączone?

- Są takie? - zdumiał się z kolei chan.

- O, tak, dostojny, tak jest, są. Daleko na południe i zachód nad wielką rzeką, zwaną Dunajem, żywią Kumany, Baszkiry i Madziary, mową i licem do zdobywców świata przynależne.

Równocześnie mandaryn Czang-fu-tse i stary wódz Subutaj spojrzeli badawczo na mówiącego.

Ten, nie zmieszany, ciągnął:

- Nie masz w chrześcijaństwie nikogo, co by nie przyznał, że są to ludy mongolskim pokrewne.

Potem, jako zręczny dyplomata, uważając, że na pierwszy raz dosyć powiedział, skłonił się nisko, zegnając dostojnych, przedostojnych panów, i wyszedł z jurty z tłumaczem. Kopyta poselskiego orszaku zaklekotały na spalonej słońcem ziemi.

Bajdar obejrzał się na pijących w milczeniu wino i kumys terchanów, skinął niecierpliwie dłonią. Wyszli natychmiast bezszelestnie, co widząc mandaryn Czang-fu-tse podniósł się również. Gardłowym głosem zapytał, zali czcigodni, dostojni, nieporównanie starzy i mądrzy jego władcy pozwolą, aby uwolnił ich od niegodnej, natrętnej i męczącej obecności bardzo młodego i nieokrzesanego brata. Gdy przystali, wyszedł zachowując przy tym przepisany ceremoniał ukłonów trzykrotnych, kroków w przód i wstecz. Że barbarzyńcy, których opuszczał, nie rozumieli cennej przekazywanej przez tysiące lat nauki form, nie uwalniało od niej bynajmniej uczonego Czang-fu-tse, perły czy-jenów, czyli mistrzów sztuki, oraz czyn-czi, czyli mistrzów literatury.

- Co czyni Wielki Chan, Bajdarze? - zapytał ściszym głosem Subutaj, gdy zostali sami.

- Kumys już go powalił na ziemię i zmysły odebrał, choć źrenica dnia nie wspięła się jeszcze do połowy - mruknął z niechęcią młody chan.

Podniósł się z nagłym ożywieniem na łokciu i spojrzął uważnie na starego.

- Chatuna (Chatuna - żona chana) Turakina wezwwała Ojca Szamanów (Szaman -

zaklinacz duchów, czarownik) ze świętej skały Angary - rzekł półgłosem. -

Nie wróżył długich lat Wielkiemu Chanowi (niechaj onkony mają go w swej

pieczy).

- Kumys żywi, kumys zabija - odparł sentencjonalnie Subutaj. - Kto ci o tym mówił, Bajdarze?

- Niewolnica chatuny, Fatyma.

Zamyślił się skubiąc owcze runo, na którym leżał. Rozstawił palce u rąk:

- Kadu... ja... Kajduk... Buri... Manghu... Kubilaj... Batu... Budżak...

Kajdan... Szejban... - liczył szeptem. - Dziesięciu... dziesięciu, w których płynie krew Niezłomnego.

- Tak jest - przytaknął stary - dziesięciu... Któregoż, gdy przyjdzie kuryłtaj (Kuryłtaj(tur.) - zgromadzenie, zjazd, Rada w państwie mongolskim, złożona z przedstawicieli rodziny chańskiej i starszych wodzów.), podniosą na czarnej pilśni do góry?

- Css! - szepnął chan oglądając się z przestraczem.

- Nie obawiaj się Bajdarze; w moim namiocie nie masz niewolnicy.

- Dziesięciu - podjął Bajdar uspokojony. - Niezłomny zalecał przed śmiercią wybór małego Kubilaja, syna Tułupa, lecz kuryłtaj nie uszanował woli Niezłomnego... Zali ją uszanuje po raz drugi? Nie wiedzieć. Raczej będzie obrany ten, który da się poznać i zaćmi innych swą sławą.

- Wiatr niesie daleki cuch leniwego łajna albo męski pogłos sławy - powiedział krótko Subutaj.

Bajdar założył ręce pod głowę, przewracając się na wznak.

- Chciałbym pójść, jakoście wy chodzili, Subutaju, Stary Lwie, z Dżebem-Błyskawicą, zwani przez tolholsów ramionami Niezłomnego... Za szybko

zawojowaliście cały świat, nie zostawiając nic dla nas - dodał z drapiezną nostalgią w głosie.

Oczy starego błysnęły dalekim wspomnieniem.

- Zaszliśmy za daleko z Dżebem-Błyskawicą - rzekł - lecz nie doszliśmy nigdzie do krawędzi świata. Jest jeszcze miejsca dla mężczyzn.

- Poszedłbyś znów Subaju?

- Mąż rodzi się w jurcie, a umiera w polu.

- Co jest na wschodzie? - zaczął żywo Bajdar unosząc się na posłaniu.

- Na Wschodzie, za Wielkim Murem(Wielki Mur - budowla obronna w Chinach

długości ok. 2400 km, mająca chronić państwo przed najezdami koczowników.)

jest Państwo Środkowe(Państwo Środkowe (Czung-kuo) - używana do dziś nazwa

Chin, w związku z przekonaniem o ich centralnym położeniu.) - powoli, z namysłem, opowiadał stary wojownik. - Państwo Środkowe kończy się przy wielkim morzu, do którego nie doszliśmy... Na wschodzie płynie wielka rzeka Ho-ang-ho i rzeka Jang-tse-kiang, rzeka Liau, są góry Tsin-ling-szan. Są drogi w głębokich wąwozach,którymi ciągną wielbłądy i muły. Są kanały pełne dżonek (Dżonka - chiński statek rzeczny lub morski)... Na wschodzie góry są żółte, drogi żółte, doliny i szczyty z żółtej gliny. Oczom zwycięzcy, patrzącym z gór Kuen-Lun, przedstawia się ten kraj niby żółty plaster miodu...

Urwał, napił się kumysu i dodał:

- Najbliżej granic siedzą ludy chińskie King i Song. Ludy King powstały zesłego nowiu przeciw panowaniu Wielkiego Chana...

- Powstały? - zdziwił się Bajdar.

- Terchan Arguna powiódł jeden tuman (Tuman (tumen) oddział armii mongolskiej liczący 10 000 żołnierzy.) tamtędy i nie powstaną więcej - odparł stary wódz. Wąskie jego wargi zadrżały.

- Jakie są ludy na zachód? - dopytywał się chan.

- Tumany nasze doszły na zachodzie do wielkiej rzeki, którą Rusy zowią Niepr (Niepr - Dniepr.). Tą rzeką spłynęli przeciw nam tysiącem łodzi książęta ruscy. Żaden z nich w górę nie wrócił, Bajdarze!... Za wodą Nieprem widzieliśmy wielkie, zielone lasy. Mówiono nam, że leżą tam kraje chrześcijańskie... Na zachodzie kędyś leży kraj, z którego przybył ten poseł...

- Czy prawdą jest, co tu gadał?...

- Cudzoziemcy mają w gębie wiatr. Posłać by trzeba i sprawdzić.

- I parę lat czekać! - sarknął chan niecierpliwie.

- Obmyślać i gotować wolno, czynić szybko - zacytował Subutaj przysłowie.

- Tylko nierozważny i młody wojownik idzie w kraj nieznany. Gdy jak gniew boży pędziliśmy z Dżebem-Błyskawicą przez Turkiestan, Ferganę, Kaszgar, Kyzyl-Art, Niszapur, ścigając sułtana Mehmeda ("...Ścigając sułtana Mehmeda" - w 1220r. Czyngis-chan rozbił państwo Chorezmu, zmuszając do ucieczki szacha Muhammeda (w powieści - Mehmed), gdy osaczaliśmy go na Morzu Kruków, na wysepce Abescun, gdzie zdechł z głodu - znaliśmy wprzód każdy bród i każde przejście. Znaliśmy lepiej zaiste niż ci, co pierzchali przed nami swoim własnym krajem, niby gazele przed wilkiem.

- Siłaż czasu trzeba, by poznać drogi i kraje Zachodu?

- Pięć, sześć lat, przy pośpiechu...

- Za długo czekać - odparł chan.

- Im dłuższa cierpliwość, tym większa nagroda. Na jasne Tangri (Tangri(Tengri) - w wierzeniach mongolskich duch dobra, niebo.)! Zachód jest wart cierpliwości...

Bajdar, zwany przez Chińczyków Pe-ta, wstał i przeciągnął ramiona. Blade jego, okrutne oczy zabłyśły.

- Ze wschodniej strony czy zachodniej strony zatknie Wielki Chan buńczuk (Buńczuk(tur.) - drzewce z ogonami końskimi, oznaka władzy wojskowej.) bojowy - wszystko jedno, byle iść!...

- Patrz na lewo, patrz na prawo, nim weźmiesz kierunek - odpowiedział sentencjonalnie Subutaj.

Mandaryn Czang-fu-tse kołysał się poważnie w lektyce niesionej przez ośmiu tęgich niewolników kipczackich. Lektyka była wybita wewnątrz złotożółtym jedwabiem, po wierzchu okryta naoliwionym papierem, malowanym w

żurawie i liście. Naprzeciw niego, siedząc na podgiętych nogach, mandaryn drugiej klasy, Pen-ta-san, o gałce z koralu rzeźbionego, sekretarz zaufany uczonego czy-jena, słuchał słów pana, składając, to otwierając trzymany w ręku wachlarz w dowód poważania i uwagi.

- Terchan Arguna zajął już Czai-Czen, ostatnią twierdzę plemienia Kin - mówił Czang-fu-tse. - Plemię Song, wrogi z dawna plemieniu Kin, zrazu radoowało się. Dzisiaj drży, albowiem stopy mongolskie są tuż.

- Tak jest, mówi czcigodny - powiedział sekretarz. - Otrzymałem właśnie opis zdobycia Czai-Czen, przysłany przez roztropnego Wang-Ho z tumanu Arguny. Oto on...

- Czytaj czcigodny.

Pen-ta-san rozwinął długi, wąski zwitek mocnego jak pergamin papieru i nosowym głosem zaczął:

- "Gdy wojownicy Wielkiego Chana (niechaj ongoni mają go w swej pieczy!) zdobyli miasto Czai-Czen, Syn Nieba i Niukia-su podpalił własnoręcznie pałac swój z wielkimi, nagromadzonymi w nim skarbami i przebił się na jego progu mieczem. Co ujrawszy wódz naczelny Ho-zje rzekł: "Pójdę za mym panem". I skoczył z murów do bardzo głębokiej przepaści i rzeki Tu-ho. Wtedy pięciuset ostatnich obrońców rzekło: "Cóż my uczynimy?" I rzuciło się do wody w ślad za nim. Sługa Syna Nieba, Jang-san, został sam jeden przy trupie pana. I rzekł do wojowników Arguny: "Zatrzymajcie się ze śmiercią moją, aż oddam cześć zwłokom pana mego". Zaś Arguna rzekł: "Ostawcie go w spokoju". A wierny Jang-san, pochowawszy zwłoki Syna Nieba, rzucił się z muru do rzeki".

- Ach! - rzekł z namysłem Czang-fu-tse - plemię Kin skończyło swój byt zgodnie z przepisami Ksiąg(Przepisy Ksiąg - czyli Pięcioksięgu przypisywanego Konfucjuszowi (chiński kanon moralno-społeczny).

- Tak jest, o czcigodny - przytaknął sekretarz zesuważąc wachlarz z szelestem.

Zamilkli, poddając się łagodnemu bujaniu lektyki. Tragarze biegli teraz przez szerokie, rojne ulice stolicy świata, Karakorum (Karakorum - starożytne miasto w środkowej Mongolii powstałe w XIII w. Siedziba Czingis-chana). W czerwonym pyłe, wznoszonym spod tysięcy kopyt, przechodziły, kołysząc się i plując, wielbłądy, stąpały ciężko ustrojone w wielkie czepce słonie, w misternie rzeźbionych wieżyczkach niosące hołdowników znad brzegów świętego Gangu (Święty Gang(Ganges) - rzeka w Indii, przez wyznawców braminizmu uznawana za świętą). Skrzypiały przeraźliwie drewniane, pełnokole arby (Arba - ciężki, dwukołowy wóz używany na Krymie i w Azji Środkowej.), zwożące nieustannie ze wszystkich stron świata mąkę i miód, ryż i wino do pustynnej stolicy zdobywców. Sunęły powolne, długowłose jaki, cwałem na pięknych tureckich bachmatach (Bachmat(tur.) - koń tatarski; krępy o krótkich nogach, wytrzymały.) przelatywali wojownicy, terchani lub strojne chatuny, w wysokich czapach, zwanych botta, do olbrzymek podobne. Wokoło jezdnych biegli pieszo wojownicy, biali, czarni, brązowi i żółci, wałęsali się tolhosi, kroczyli z wolna księża chrześcijańscy - nestorianie (Nestorianie - wyznawcy doktryny chrześcijańskiej Nestoriusza (V w.) przyjmujący istnienie w Chrystusie dwóch osób: boskiej i ludzkiej. N. potępiony na soborze efeskim w 431r.) o ciężkich, bezmyślnych twarzach, muzułmanie w śnieżystych turbanach, lamowie

(Lama - tytuł duchownego buddyjskiego w Tybecie.) buddyjscy w żółtych opończach i Chińczycy. Brzęcząc dzwonkami opaską na wysokiej, spiczastej czapie. Usuwano się przed nimi z szacunkiem.

Po obu stronach drogi szerokiej, do wagonu raczej niż do ulicy podobnej, stały rzędem świetne, błyszczące pałace niezliczonych dygnitarzy, urzędników i rycerzy. Że zdobywcy świata nie posiadali żadnej własnej architektury, poczytując sztukę budowania domów za najmniej potrzebną (cóż po martwych osiedlach swobodnym ptakom-nomadom (Nomada - koczownik(członek pasterskiego lub łowieckiego plemienia.), których jednym siedziskiem grzbiet koński lub jurta?), przeto, zapragnąwszy wznieść w dowód swej władzy stolicę, zwrócić się musieli po kunszt do podbitych. W Karakorum widziało się zatem wszystkie budownictwa Wschodu, aczkolwiek przeważało chińskie, może z przyczyny wielkiej ilości Chińczyków, może dlatego, że lekkie, podgięte niby róg namiotu dachy mniej były obce i wstrętne Mongołom niż inne.

Ponad kapryśną, barwną linię domów wystrzelały wieże świątyń. Białe, kruche i prześliczne minarety (Minaret - wieża meczetu, świątyni muzułmańskiej) muzułmańskie górowały nad wszystkimi nikłą smukłością kształtu. Błyszczały kopulaste, mroczne cerkwie nestoriańskie; świątynie buddyjskie widziały się z dala podobne do szyszek z racji nadmiernej ilości posągów. Wszystkie wyznania miały prawo swobodnego bytu w stolicy zdobywców

świata, którzy, zarówno jak budownictwa, nie posiadali żadnej religii. Wierzyli w boga Tangri, którego nazwa oznaczała zarazem Niebo i złe lub dobre duchy, czyli ongony. Z ongonami porozumiewali się szamani - przeto brudny, tumanowaty szaman, odziany w cudaczny płaszcz ze skóry rena, zwany tatyło, był jedyną istotą na świecie, której lękali się niezwyciężeni.

Rzemiosł ni sklepów nie spotykało się w Karakorum prócz osiedlonych w pobliżu pałacu Wielkiego Chana złotników-jeńców. Ci pożądati byli i honorowani. Przy bramach - wschodniej, gdzie sprzedawano soczewicę i proso, zachodniej, gdzie targowano kozy, oraz północnej, gdzie kupczono końmi, znajdowało się w prawdzie nieco kramów, ale w znikomej ilości, gdyż zdobywcy świata nie mieli żadnych potrzeb ani wymagań, od Wielkiego Chana do uboższego koniuchy żyjących jednako kumysem oraz wędzoną koniną, śpiąc

na pęku owczych skór. Na zaspokojenie zaś dziecinnej, barbarzyńskiej chęci zewnętrznego zbytku i bogatych szmat - składała się cała Azja. Zwycięzcy nie potrzebowali się troszczyć o nic ani wyrabiać cokolwiek sami. Nomadzi, przywykli z prawieka głodować w pustym stepie, w zacieklej walce zdobywać spłacheć lepszego pastwiska, niezadni nauki ni cywilizacji, nie posiadający nawet własnego pisma, stali się nieraz właścicielami bogactw, jakich nie posiadał nigdy żaden naród. Organizacyjno-zdobyczy geniusz Czingis-chana, zwanego Niezłomnym, skleił przed pięćdziesięciu laty w jedną krzepką całość dziewiętnaście plemion turkmeńskich i dwadzieścia sześć mongolskich, zwalczających się dotychczas wzajem, i w poprzek Azji. Kiedy duch jego, w otoczeniu stu tysięcy cieni ofiar poświęconych na pogrzebie, odchodził w



krainę dziadów, dawni nędzarze, grabieżcy pustynni, byli już panami świata. Ten stan rzeczy rozkolebał niezmiernie ich dumę, rozpałił żarłoczną chciwość, lecz nie dał radości życia. Przeciwnie, może oślepił. Świetne, laką pozłocistą inkrustowane pałace wznosiły się wzdłuż ulic, nieprzeliczone stada koni pasły się w stepie, arby mieszkalne stały za miastem w oczekiwaniu wędrowek - oni zaś, znudzeni, zgaśli, chorzy tęsknotą przestrzeni, snuli się kawalkadami bez celu albo jeżeli beczynnienie, z roztargnieniem pieszcząc najpiękniejsze kobiety Arabii, Indii, Chin, Kaukazu, Rusi i wspominając radosne trudy wojenne. Skończone, w przeszłość zapadłe... Niezlomny zawojował ziemię nie zostawiając im nic do spełnienia.

Lektyka przechodziła w pobliżu pałacu Wielkiego Chana i zręcznym ruchem, nie zatrzymując się, tragarze przyklekli na jedno kolano. Acz niewidzialni za firankami z złotego jedwabiu, mandaryn Czang-fu-tse i sekretarz jego Pen-ta-san, pochylili również nisko czoła. Pałac, świeżo wzniesiony przez najprzedniejszych budowniczych chińskich, był olbrzymi, fantastyczną kondygnacją dachów wznoszący się wysoko w górę. Dachy te pokryte były porcelanową dachówką, której jasna zieleń w pustynnym, nagim kraju przywodziła pamięci dalekie i czarowne wiosny. Z narożników wspinały się w niebo wielkie, szczerozłote smoki. Ściany wyłożone były zewnątrz rubinową laką, a od wewnątrz złotą. W odbłasku jej wszystko, nawet twarze ludzkie, gorzało niby w topieli złotej. Brzegi dachów obwieszane były srebrną frędzlą dzwonek, podzwaniających z cicha za każdym powiewem. Cały pałac zdawał się snem czarodziejskim, zielonorubinowo-złotym, przepojonym nieustanną muzyką jak harfa, a lekkim jak tchnienie.

Za pałacem kunsztowny ogród chiński, misterny i powstrzygany dziwacznie, stanowił miejsce przechadzek żon Wielkiego Chana; lecz przed pałacem plac był zostawiony pusty, rodzimy step przypominający, zawalony kupami nawozu zostawionego przez stojące tu codziennie setki koni dygnitarzy, składających hołd Wielkiemu Chanowi.

Otwarta, precudnej roboty brama ukazywała szerokie złote schody, na szczycie których Wielki Chan zasiadał w dniu przyjęć, z lubością wzdychając bijący z placu odór końskiego morzu i spoglądając ponad dachy domów w pustynną przestrzeń bez końca. Wtedy klęcząc na drodze z kornie pochylonym czołem, każdy przechodzień mógł widzieć migoczące wśród powodzi klejnotów i

złota, olbrzymia od nadmiaru trunków, niedołączne, łagodne, głupawe oblicze Ogotaja, syna Czingis-chana. Przy nim posepną, twardą i szpetną twarz pierwszej jego żony, Turakiny, branki ze stepów kałmuckich, rządzącej w zastępstwie męża niepodzielnie władztwem.

Lecz dziś Wielki Chan nie przyjmował nikogo i złoty, pawiooki tron na szczycie złocistych schodów był pusty.

Pusty był i wielki plac. Tylko na lewo, na bocznym skrzydle pałacu, kręciło się kilkudziesięciu ludzi. Każdy w mieście znał przyczynę ich obecności: w budynku tym mieścił się jeden z licznych skarbców Niezlomnego. Wielki Chan kazał go niedawno rozebrać, by mu widoku na step nie zasłaniał, a zawarte w nim bogactwa rozdać między lud. Zwalone na stos, leżały cenne tkaniny indyjskie, rzędy, naczynia, broń, klejnoty Bagdadu i Nowogrodu,

bałysze (Bałysz (z tur.) - sztaba złota lub srebra) srebra i złota. Mógł je zabierać, kto chciał. Że chciwi na złoto niby kruki cudzoziemcy, zarówno jak niewolnicy, byli od tego przywileju usunięci, zabieranie bogactw odbywało się dość opieszale. Leżący od paru dni stos topniał bez pośpiechu. Każdy miał złota aż nadto. Narodowi wojowników-łupieżców miło było zdobywać skarby, ale w boju.

- Lew rychło ruszy na łowy - odezwał się nagle mandaryn Czang-fu-tse, jak gdyby ciągnąc poprzednio wyrażoną myśl. - Zmierzyły go przydługi spokój i sytość.

- Ach! - westchnął żałośnie Pen-ta-san. - Zali zgodny z przepisami Ksiąg, chwalebny i szanowany koniec plemienia Kin nie jest pierwszym tego dowodem?

- Zapewne, czcigodny; bestia chce wyruszyć. Bestia musi żreć, skoro jej natura tego wymaga. Ale... - tu wąskie jego oczy błysnęły nienawistnie - niechaj idzie żreć gdzie indziej...

- Bestia sama rządzi swoimi krokami i tam się uda, gdzie zechce - zaopiniował nieśmiało i łagodnie Pen-ta-san.

Mandaryn spojrział na niego z wyższością.

- Gdy spragniony świeżego ścierwa lew - odrzekł - chce pożreć owcę, należy mu ukazać gazelę. Pogoni za nią i zapomni owcy, wołając trudne i dalekie łowy.

Pen-ta-san zesunął wacglarz z gestem zupełnej pokory.

- Nieudolnym, lecz chętnym umysłem przeczuwam mądrość zawartą, niby miód

w kwiecie, w słowach czcigodnego mego mistrza - rzekł. - Ale gdzie znaleźć tę gazelę? Od Wielkiego Muru aż ku rzece Tuan nie masz nic, co by nie drżało przed imieniem Chana.

- Świat ciągnie się dalej, znacznie dalej niżli rzeka Tuna - zauważył Czang-fu-tse. - Posłuchaj, czcigodny! Poseł wenecki, przybyły niedawno, łaskocze lwa w pięty, chcąc, aby poszedł na Zachód...

Pen-ta-san otworzył oczy szeroko.

- Choć jestem bezmyślnym nieukiem - szepnął - nie zapomniałem o przepisach Świętych Ksiąg, by ośmielić się zadać pytanie mądrym mistrzowi, w doskonałej cierpliwości czekając, aż raczy mnie sam oświecić. Dlaczego obcy to uczyni?

- Prostackie powody barbarzyńców Zachodu są nam nieznane i pozbawione znaczenia - odparł spokojnie mandaryn. - Wielki i świętobliwy Kung-fu-tse (Kung-fu-tse (Konfucjusz) - 551-479 p.n.e.; chiński myśliciel, twórca głośnego systemu moralno-filozoficznego, zwanego od jego imienia konfucjanizmem) prawil: "Na cóż ci myśleć, czym jest śmierć, skoro nie wiesz jeszcze, czym jest życie? Myśl o tym, co jest istotne i bliskie, nie o tym, co jest dalekie". Istotnie, o czcigodny, są dla nas dwie rzeczy: że lew chce ruszyć na łowy i że należy skierować go na Zachód oraz że obcy może nam w tym pomóc.

- Póki świata na Zachodzie starczy, niezmierny rozum doskonałego mego mistrza zdoła uratować Państwo środkowe, ale co będzie, skoro Zachodu

zabraknie?

Zamilkli, bo lektyka stanęła przed bramą domu mandaryna Czang-fu-tse. Wysoki, szczelny parkan, pokryty szklistą polewą, odgradzał od drogi zawiły splot ścieżek, miniaturowych jezior i dziwaczych krzewów ogrodu. W głębi stał dom o zadartym dachu, obwieszonym porcelanowymi kulkami. Brązowe smoki

czuwały u wejścia. Karłowe drzewka tkwiły w wazach z porcelany cenniejszej od złota.

Człapiąc bezszelestnie pantoflami wśród szpaleru milczącej, brunatnej służby, mandaryn Czang-fu-tse i sekretarz jego Pen-ta-san przeszli przez szereg komnat do palarni. Była zupełnie ciemna, dniem i nocą oświetlona siedmioma czerwonymi latarniami papierowymi, rzucającymi spod pułapu gorące, przesiane światło. Brunatne maty i poduszki leżały naprzeciw siebie. Posąg Buddy (Budda - ok. 560-480 p.n.e. indyjski asceta i filozof, twórca buddyzmu, doktryny opartej na zasadzie samodoskonalenia się wewnętrznego jednostki) majaczył w głębi izby. W dusznym powietrzu unosiła się woń pachnących trociczek. Czang-fu-tse pochylił się koronie przed ołtarzykiem przodków umieszczonym u stóp Buddy, szepcząc szybko niezrozumiałe słowa. Po czym obrzędowym gestem rozwinął dwie długie, wąskie

wstęgi zapisanej bibułki i zapalił je. Spłonęły w powietrzu, wirując opadającymi czarnymi płatkami. Woń spalonego papieru zmieszała się z wonią kadzidła. Teraz czcigodny mandaryn mógł się ułożyć na macie.

Wskazał sekretarzowi miejsce naprzeciw. Każdy ruch obu był uświęcony, przepisany, od tysięcy lat wykonywany w ten sposób, nie inaczej. Nagi pacholek, półdziecko, o brązowej skórze i wielkich czarnych oczach Malaja, ruszający się zwinnie i cicho jak zjawą, ustawił między nimi przybór do palenia i dwie fajki z czarnego bambusu. Wyjąwszy ze złocistej puszkii odrobinę brunatnej masy, ugniótł z niej w palcach gałkę, przylepił do otworu fajki, przygrzał nad lampką i podał panu. Czang-fu-tse przyłożył ją do ust, zaciągnął się głęboko, puścił chmurę dymu. Pen-ta-san naśladował niewolniczo jego ruchy, pilnie bacząc, by nie wykonać któregośkolwiek wcześniej. Palili w milczeniu. Brunatne, lepkie gałki opium przechodziły z rąk chłopca do fajek, skwierczały nad lampą, rozjaśniały umysły palących, czyniąc je lekkimi, przenikliwymi a widzącymi daleko. Po piątej fajce mandaryn Czang-fu-tse przerwał milczenie.

- Zapytywałeś, o czcigodny, co się stanie, gdy żarłoczny lew nie znajdzie na Zachodzie miejsca sposobnego do łowów? - zapytał patrząc w dym kłębiący się błękitną chmurą pod brunatnozłocistym pułapem. - Odpowiem ci na to pytanie, choć nie wiem naprawdę, zali warto, byś nadstawiał ucha ku tak nieudolnemu wyjaśnieniu.

- Będę słuchał prawym uchem, lewym uchem nader pilnie - zaręczył skwapliwie sekretarz.

- Powiedz mi zatem, czcigodny Pen-ta-san, wiele lat mądrzy i świątobliwi cesarze z dynastii Hoang-ti budowali Państwo Środkowe?

- Tysiąc lat według Księg.

- Tak jest czcigodny, budowali je tysiąc lat. W ile zaś Temudżin, syn

Jezugaja, zwany Suto Bogdo Dajming Czingis-chanem, zbudował państwo mongolskie?

- W trzydzieści niespełna, czcigodny.

- Zali widziałeś, by trwała budowla powstała z rzeczy, która rodzi się z dnia na dzień?

Sekretarz spojrział na mówiącego z niemym podziwem i nie odparł nic. Chłopiec bezszelestnie zamienił fajki na nowe. Przez chwilę trwało milczenie.

Lecz czarodziejski opar czynił umysł mandaryna Czang-fu-tse lotnym i bardziej niż zazwyczaj skłonny do wymowy, przeto po krótkiej przerwie znów podjął:

- Nie jest bynajmniej ważne, o czcigodny, wiedzieć, dla jakich powodów obcy z Zachodu pragnie skierować w swą stronę wzrok Wielkiego Chana; ważne

natomiast jest okazanie mu pomocy w tym dążeniu. Kilkanaście bowiem lat wystarczy, aby Mongoli przestali być dla Państwa Środkowego strasznymi...

Pen-ta-san uniósł się na łokciu i spojrział na swego pana ze zdumieniem.

- Zwycięzcy będą rządzić zwycięzcami, albowiem rozum rządzi siłą - rzekł Czang-fu-tse zrozumiałwszy to spojrzenie. - Słyszałeś zapewne, czcigodny, że mądry, wielki cesarz Tsin-Szi-Hoang-ti, który się wslawił po wiek wieków wprowadzeniem jednych dla całego państwa miar tszy i li oraz jednej wartości liangów, rozkazał spalić wszystkie stare księgi, sądząc, że znajduje się w nich trucizna dawnego bezładu.

- Tak jest, o czcigodny. Pisze o tym obszerna święta Księga Zmian, Y-king (Księga Zmian Y-king - właśc. Księga przemian I-king. Pierwszy tom Pięcioksięgi konfucjańskiego.

Czang-fu-tse skinął twierdząco.

- Nie strawiłeś swojej młodości na próżno, Pen-ta-san - przyznał z zadowoleniem. - Zniesiono wówczas wszystkie księgi, by je spalić, gdyż przemądry cesarz Tsin-Szi-Hoang-ti zezwolił zostawić tylko te, które tyczyły uprawy roli i wróżbiarstwa. W owym to czasie zginęło zakopanych żywcem czterystu uczonych "żu", którzy z książkami nie chcieli się rozstać... O roztropny Pen-ta-san! Wśród ksiąg palonych na surowy rozkaz cesarza znajdowały się liczące trzy tysiące lat i więcej...

- Aoh! - westchnął Pen-ta-san.

- Zaś rządy cesarza Tsin-Szi-Hoang-ti mieściły się w dziewiątym "Ki", na półtora tysiąca lat przed świętą erą... Zaś dzisiaj mamy rok 3932...

- Aoh! - westchnął powtórnie sekretarz.

- Czcigodny Pen-ta-san! Gdy bogaci doświadczeniem mędracy pisali przed ośmiu tysiącami lat księgi, palone później na surowy rozkaz cesarza, gdzie były, co znaczyły plemiona mongolskie?

Wziął z rąk sennego dziecka nową fajkę i powtórzył:

- Gdzie były wówczas barbarzyńskie, chrześcijańskie narody Zachodu?

Zaciągnął się dymem i półgłosem dodał:

- I któż kim rządzić powinien?

Dym gęstą mroką osnuwał palarnię. Czerwone papierowe lampy połyskiwały mętnie, podobne do rubinowych oczu stojących u wejścia smoków ze złotego

brązu.

2

Campo (Campo (wł.) - pole. Tu: kwatera) szlacheckiego Bartolomea di Candiano leżało przy bramie wschodniej, nie opodal targu soczewicą i prosem. Było to miejsce najpośledniejsze w stolicy. Wprawdzie w pobliżu paradnej bramy północnej, gdzie tuż pod pałacem Wielkiego Chana targowano konie, znajdował się obszerny szczytny plac, wyłącznie dla poselstw cudzoziemskich przeznaczony, lecz signor Bartolomeo przybywał nieoficjalnie, raczej jako kupiec niż ambasador.

Dotknięty mizernym stanowiskiem, zaraz po przyjeździe uczynił wszystko, co mógł, by je udostojnić. Namioty obwieszane były kosztownymi oponami. Na ciemnym tle aksamitów błyskały zwierciadła, banie szklane, tęczowe i mleczne z Murano (Murano - dzielnica Wenecji słynąca z wyrobu szkła artystycznego), rżnięte kielichy i cudne weneckie paciorki. Te ostatnie szczególnie ściągały uwagę kobiet. Zrazu schodziły się tylko niewolnice; wkrótce, zachęczone widno ich opowiadaniem, nadjeżdżały śmiało chatuny o ostrym wejrzeniu. W rozciętych teletowych chałatach i olbrzymich bottach, zjeżdżonych koroną piórek, podjeżdżały tuż pod namiot, z nieopisaną wyższością spoglądając na cudzoziemca. Signor ugiął się w ukłonach, wynosząc z wnętrza co najpiękniejsze ozdoby. Choć cena ich była chałtunom doskonale obojętna, oddawał swój towar za bezcen, za darmo, taniej niż w Wenecji, objaśniając za pośrednictwem tłumacza, że wszystkie te cuda robione są rękami Kumanów i Madziarów, pobratymców narodów mongolskich, pozostawiających w jeństwie innych mocarstw i do wyzwolenia wzdychających. Powtarzał te słowa wielokroć, powtarzał je ustawicznie, brzęcząc barwnymi cackami, wpajał je w głowę kupującym, iżby wraz z odbiciem w zwierciadle ubranej świecidełkami weneckimi głowy, z dźwiękiem paciorków, słowa te wróciły, wpłynęły do świadomości i zostały powtórzone mężowi. Bezczynni terchani i wojownicy niechaj się o nich dowiedzą najszybciej!

Teraz signor Bartolomeo wracał stępą z leżącego tuż pod wałem miejskim koczowiska Subutaja. Stary Lew posiadał wprawdzie piękny chiński dom w pobliżu pałacu Wielkiego Chana, lecz gardził nim, mieszkając po dawnemu w jurcie, wśród swych stad. Jadąc, Wenecjanin rozmyślał nad wynikiem dzisiejszego przesłuchania. Pomyślny był czy ledwo zadawałający? Po refleksji przyznał w duchu, że arcykorzystną okoliczność stanowiło spotkanie z chanem Bajdarem, o którym każdy w Karakorum wiedział, że kipi żądzą wielkiej wojennej wyprawy.

Droga rozwidlała się skręcając na lewo ku chińskiej dzielnicy, zabudowanej bezwładnie i ciasno w tysiąc smrodliwych zaułków. Signor Bartolomeo przystanął, odprawił swych ludzi, nakazując im jechać wprost ku obozowi; sam skręcił mężnie w labirynt rzeźbionych domków. Miał tam do załatwienia pewną sprawę handlową, bardzo korzystną, lecz ogromnie delikatną, wymagającą wielkiej ostrożności i dyskrecji. Dlatego to wołał

nie brać ze sobą tłumacza, dobijając targ na migi. Handel bowiem jest dziedziną, w której ten sposób porozumiewania się znajduje łatwe zastosowanie, jako że gesty "brać" i "dawać" są wspólne wszystkim ludom. Sedno zaś sprawy polegało na tym. Pewien stary i szpetny jak szatan Mandżur sprzedawał za psi pieniądź młodych, dorodnych niewolników kipczańskich, niezmiernie poszukiwanych przez Saracenów (Saracen - nazwa nadawana w średniowieczu Arabom, później wszystkim muzułmanom), którzy z tych krzepkich stepowych pachołków tworzyli wyborne pułki mameluków (Mameluk (z

ar.) - żołnierz gwardii wojskowej władców egipskich, składającej się z niewolników (głównie tureckich i kaukaskich), skutecznie broniące Egiptu i Ziemi Świętej przed zakusami krzyżowców. Pośrednik mógł łatwo osiągnąć cenę

pięciokrotnie przynoszącą kupno... Byle się Rzym nie dowiedział!... Zmacawszy mimo woli kaletę u pasa, w której wiozł umówioną już wcześniej sumę pieniędzy, signor Bartolomeo di Candiano zsiadł z konia przed plugawą rudera Mandżura. Oczekiwał go tu jednak przykry zawód. Kaprawy Oh-ga, który

wczoraj jeszcze przybiegał sam do weneckiego obozu zadyszany i namolny, udawał dzisiaj, że nie wie zgoła, czego chce dostojny gość. Nie ma u niego towaru, nie ma żadnych niewolników; nie może biedny, nieszczęśliwy nędzarz przyjmować pięknych, błyszczących pieniędzy, skoro nie może nic dać szlachetnemu cudzoziemcowi w zamian... Chybaby żonę? Ale bardzo stara... Szlachetny gość zapewne nie zechce... Łypał czerwonymi ślepiami chytrze i obłudnie, nieczuły na najwymowniejsze gesty signora.

Wyczerpawszy daremnie cały zasób niemej elokwencji, nie rozumiejąc co zaszło, signor Bartolomeo postanowił powrócić z tłumaczem i wyszedł z chaty wygrażając nieczulemu Oh-dze pięścią. Nie ujechał pięciu kroków, gdy stanął jak wryty: naprzeciw na tęgim koniu jechał pan z włoska ubrany, w barwnym wiśniowym kaftanie, z sutymi, nadprutymi rękawami. Złoty łańcuch błyszczał na piersi, płaska aksamitna czapka ze zwisającymi uszami okalała tłuste lico, dwoma piętami podbródka dosięgające łańcucha. Herby szyte na

bogatym kropierzu (Kropierz (fr.) - ozdobna kapa na konia), okrywającym wierzchowca, na niesionym przodem przez dwóch pachołków proporcu, były lazurem i złotem. Na ich widok twarz signora weneckiego pobladła z gniewu jak gnieźło.

Genua! (Genua - miasto w północno-zachodnich Włoszech. W średniowieczu republika kupiecka współzawodnicząca z Wenecją) Genua! Genua!

Pognał konia, nie dość szybko jednak, by nie słyszeć, że niespodziewany rywal staje przed domem Mandżura, protekcyjnie wita gospodarza. Zrozumiał wszystko. Uprzedzono go. Nawet tu, na krańcu świata! Znienawidził odwiecznych wrogów swojej ojczyzny żarłocznie, drapieżnie, zaciekle. Straszliwy gniew przysłonił mu oczy. Gryzł własne palce, skowycząc z bezsilnej złości.

Genua! Genua! Genua!

Nie dość, że naprzykrzała się ustawicznie tam, w kraju, że zazdrosna o

Negropont, Kandię, Moreę i szkodziła Rzeczypospolitej otwarcie i skrycie, na lądzie i na morzu, bronią i przychytrą gębą! Jeszcze i tu Wenecjanin co krok musi się potykać o Genuńczyka! Wiecznie Genua! Przebiegła, chytra, niezaspokojona, ubiegała wszędzie, podchwytywała nici, zajmowała szlaki i najlepsze rynki zbytu. Przedstawiciel równie przebiegłej, chytrej i niezaspokojonej Wenecji stwierdził z zimną zawziętością, że oddałby z chęcią duszę swoją i rodaków w wieczyste władanie diabła, byle za tę cenę dożyć z nim upokorzenia Genui.

Podciąć gościńce ich handlu!

Odebrać bogactwa!

Zburzyć Sudak, dogodną ich stację na Rusi!

Spalić złotodajną Tanę nad Donem!

Skarać ciężko nędznego węgierskiego króla, co śmie udzielać wolnego przechodu bez cła rywalom Wenecji!

Święty Marku Ewangelisto, patronie Rzeczypospolitej! Przybądź ku pomocy!

Niech ginie świat, byle z nim razem zginęła Genua!

Święty Marku!...

Szepcząc pacierz nienawiści signor Bartolomeo powracał stępa do siebie. Przed namiotami było pusto. Duża, biała niewolnica moskiewska w jaskrawym, lecz brudnym i podartym sarafanie (Sarafan (ros) - szeroka suknia ruska) stała zapatrzona z pożądliwym zachwytem w porozwieszane świecidła. Rzuciwszy wodze pacholkom, którzy pośpieszyli ku nadjeżdżającemu, białogłowy, jako że porządniejsze te stwory mają wielki wpływ na sprawy świata - podszedł do dziewczyny. Była młoda i gładka. Z uprzejmym uśmiechem

podał jej szklane paciorki, zarzucił własnoręcznie na szyję. Spłonęła szczęśliwa, lecz gdy Filippo Beni, prawa ręka posła, podał usłużnie zwierciadło, odsunęła naszyjnik potrząsając z żalem głową.

- Głupia! bierz, kiedy ci dają! - rzekł signor Bartolomeo po włosku.

Objął ramieniem dziewczynę, wyciskając na białej szyi głośny pocałunek. To ostatnie nie było już aktem dyplomacji lecz osobistym przyjemnym nawykiem, drobnym wynagrodzeniem za trudy wyprawy. Tyleż bo cudnych kobiet

wałęsało się tutaj, wystawało godzinami, spędzone jak bydło, ogłupiałe, strwożone, należące do każdego, kto chciał. Jedna piękniejsza od drugiej. Jużci brzydkiej branki nikt nie wiozł tyli okraj świata, sprzedając ją jako żywinę juczno-oboczną zaraz po drodze. Do Karakorum przybywały tylko co najurodziwsze. Signor Bartolomeo, który z przyrodzenia wrażliwy był na ponęty niewieście, uważał, że szaleństwem byłoby marnować tyle sposobności, zwłaszcza gdy surowy spowiednik fra (Fra (wł.) - brat) Domenico i złe języki weneckie były tak daleko!

Moskiewska nie usuwała się od pieszczot, lecz odłożyła naszyjnik, po czym oczy jej zaszkliły się łzami. Tłumaczyła coś żywo w swej mowie.

- Co ona gada? - zapytał signor Bartolomeo zniecierpliwiony.

- Widzi mi się, że prawi, jako chatuna obetnie jej nozdrza, jeśli ją zobaczy taką piękną - objaśnił Filippo wyszczerzając spróchniałe zęby.

Signor Bartolomeo roześmiał się klepiąc dziewczkę po biodrach z wyrazem

współczucia. Wyjaśnienie to nie zdziwiło go bynajmniej. Zdarzało się bowiem często, że nieurodziwe, żółte Mongołki, zazdrosne o krasę branek, dla oszpeceń ich, obcinały im nosy lub piersi.

- A gdzie jest Gaetano? - przypomniał sobie, gdy Moskiewka wzdychając odeszła.

- Nie było go; myślałem, że jest z waszą dostojnością - odparł niechętnie Filippo.

- Próżniak przeklęty!

Syknął ze złością. Miłe odprężenie, spowodowane widokiem dziewczyny, odeszło, poprzedni gniew wrócił szukając ujścia. Rozsierdzony, ruszył na poszukiwanie najmłodszego syna, który był zarazem tłumaczem wyprawy.

Zobaczył go z daleka w wąskim przejściu między namiotami, siedzącego z wiołą (Wiola (Fra (wł.) - instrument smyczkowy większy od skrzypiec) w ręku i nucącego żałośnie.

Cantiamo insieme un poco,

Non de sospir ne delle amare pene...

Cantiamo insieme un poco,/Non de sospir ne delle amare pene... (wł.) - Śpiewamy trochę razem, nie o westchnieniach ani o mękach miłości...

Na odgłos kroków rodzica rzucił się do ucieczki, lecz Candiano senior dopadł go w dwóch skokach, chwycił za kołnierz i jął okładać uczciwie pięściami, zasypując winowajcę bogatym wokabularzem (Wokabularz (z łac.) - słownik) gondolierów (Gondolier (wł.) - wiosłarz w długiej łodzi weneckiej z rzeźbionym dziobem (gondoli) mijających się w ciasnym kanale.

- Niedołęgo! Wszawy trutniu! Bękarcie diabelski! Parszywy wyskrobku! Karo niebieska na niewinnych twych ojca i matkę! Pokrako! Tutaj siedzisz, a Filippo z kupującymi dogadać się nie może.

- Niedziela dzisiaj - szepnął chłopiec osłaniając się, jak mógł, przed razami.

- W pogańskim kraju nie ma niedzieli! Wymyślił!

- W nestoriańskim kościele dzwonili...

Signor Bartolomeo wstrzymał karzącą dłoń, odsapnął i przeżegnał się.

- Nie na pacierzach zastałem się, trutniu - podjął bynajmniej nie udobruchany. - Marsz do roboty, a skoro!

Oglądając się z niepokojem za siebie chłopiec ruszył przodem; signor Bartolomeo szedł za nim, pomrukując ze złością. Drażnił go sam widok najmłodszego. Miał trzech synów. Najstarszy był już podestą (Podesta - wysoki urzędnik miejski w średniowieczu), drugi dowódcą galery (Galera - statek wojenny lub handlowy) - obaj stanowiący jego chlubę i radość, bewzględni, mocni, ambitni. Tylko ten trzeci, przygłupek, grajek rzewliwy a ślamazarny! Do muzyki, do nauki miał owszem głowę otwartą, obce języki szczególnie chwycił w lot, poza tym jednak serce nosił z wosku, a umysł z pierza, dziecinny i oderwany. Na dobitkę, choć przeznaczony od dziecka do stanu duchownego, rozmiłował się przed trzema laty w córce sąsiada, urodzonego Giana Giovannina Montani - Beatryczy, dziewczce dobrego rodu, lecz



bez wiana. Stary Montani, dziwak uczony, cały majątek stracił po bizantyjskiej wyprawie, daremnie usiłując odkryć trzymaną w tajemnicy naturę "greckiego ognia" (Grecki ogień - łatwo palna mieszanina używana w średniowieczu do celów wojennych (głównie w wojskach bizantyjskich), który miały bazileusowe (Bazileus (gr.) - cesarz bizantyjski) szalandy (Szalanda - rodzaj statku-barki). nie spodziewając się, i słusznie, dziewczosłębów (Dziewosłęb (staropol.) - swat, družba) po dziedziczkach starej wilgotnej rudery, paru spróchniałych statków i wielkiej ilości tygli alchemicznych (Tygle alchemiczne - naczynia z materiału ogniotrwałego używane przez alchemików dla przetwarzania pospolitych metali w szlachetne) oblókł dziewczynę w habit panien cystersek. Wzięto ją, choć bez posagu, że przy ojcu dziwaku nauczona była wielce trudnej dla białogłów sztuki pisania, nawet iluminowania (Iluminowanie - ręczne ilustrowanie rękopisów średniowiecznych) - a tak, choć raz, kształcenie dziewczki nie wyszło ku potępieniu, owszem, na pożytek.

Od tego czasu natomiast niedorajda Gaetano zgłupiał ze szczętem i był czas, że rozważny a oszczędny signor Bartolomeo musiał opłacać dwóch zbirów, którzy śledzili każdy krok młokosa, w obawie, by na własne życie się nie targnął lub do panien cystersek cichcem nie wlaźł. Nie lubiący przykrego rozgłosu wokół swego nazwiska signor Candiano odetchnął dopiero spokojniej, dowiedziawszy się, że szlachetna ksieni Petrusa z Bambergu pisała do krewniaczki swojej madonny Pii, opatki cystersek weneckich, prosząc ją o przysłanie paru sióstr - w ich liczbie koniecznie iluminatorki - do nowego klasztoru, daleko na wschodzie wielkim kosztem wznoszonego przez pobożną małżonkę jakiegoś polskiego księcia. Było to kędyś, tak daleko, że równie nazwa kraju pełnego puszczy dzikich, jak i samego klasztoru, o dziwnym, twardym brzmieniu, nie była w Wenecji znana. Nie bez przyczyny rozległych stosunków ojca Gaetana młoda Beatrycze Montani znalazła się w liczbie trzech sióstr, z płaczem opuszczając błękitne laguny (Laguna (wł.) - płytką zatoką odcięta od morza przez mierzeję), by zadość uczynić prośbie sędziwej opatki Petrusy.

Nieutulony w żalu otrok (Otrok (staropol.) - młodzieniec, chłopiec) sam się teraz dopraszał u ojca oddania go w mnichy czy księdze, lecz signor Bartolomeo ważył już w głowie inne, szerokie zamiary. Niespodziewanie wysłał chłopca na naukę języków wschodnich do powinowatego swego, handlującego w Bizancjum, a w rok później, ciągnąc tamtędy z karawaną, wziął go ze sobą jako tłumacza w daleką podróż na sam koniec świata. Teraz Gaetano siedział beczynnym w namiocie. Filippo Beni chrapał leżąc na tłumoku z kobiercami. Mógł to czynić, gdyż nikt dzisiaj nie przychodził. Plac był pusty, niby istotnie niedzielny.

Nawet brudne chińskie dzieci, wałęsające się tu zazwyczaj gromadnie, odbiegły gdzieś dalej, zwabione widokiem słoni. Gaetano wyciągnął z szerokiego rękawa wiołę, naprawił struny, uszkodzone pięścią rodzicielską, i brzdąkając z cicha podjął przerwany wątek rozmyślań. Nie był on w zupełności taką pokraką i głupcem, jak mniemał signor Bartolomeo. Zahukany, niezaradny marzyciel, nie przystosowany do twardych wymagań życia, umiał

jednak myśleć i czuć głębiej. Wiecznie wyklękniony, o pozbawionej wyrazu twarzy i nieskładnej wymowie, był przecie równocześnie uparty i własnym uczuciom wierny. Rozmiłowany w powieściach żonglerów (Żongler (fr.) - średniowieczny wędrowny śpiewak), w pieśniach wędrownych trubadurów prowansalskich (Trubadur prowansalski - poeta dworski z Prowansji (Francja) w w. XI - XIII, autor pieśni miłosnych), zwanych cantatori, usłyszawszy przed dwoma laty w Bizancjum w celu podróży, nie posiadał się z radości. Drżał na myśl, że sam obaczy, własnymi oczyma, Wielki Mur, stanowiący pono krawędź świata, bajeczne państwo chrześcijańskie "księdza Jana" (Państwo księdza Jana - legendarne, chrześcijańskie państwo średniowieczne w głębi Azji; Ks. Jan - władca państwa uchodził z potomka jednego z Trzech Królów), Ptaka-Skałę o brylantowych oczach i tysięczne inne dziwy. Lecz zarazem mocniej jeszcze radowała go nadzieja, że na owym końcu świata spotka straconą dziewczynę. Przywykły chropowatym dźwiękom obcej mowy, zapamiętał

dobrze, że kraj, dokąd ją wywieziono, nazywał się Śląsko, a klasztor Trzebnica. Powiadali wszyscy, że to gdzieś na końcu świata. Tamże i on jedzie. Uczeni twierdzą, że ziemia ma kształt piersi kobiecej i na podobieństwo jej zakończona jest brodawką mleczną. Nie musi tam być miejsca

zbyt wiele. Spotkają się niechybnie, a potem - niechajby ginąć w paszczy demonów, Goga i Magoga! (Gog i Magog - dwa mityczne biblijne narody; symbole wrogów Kościoła)

Lecz dwuletnia blisko droga i paroniedzielny pobyt w Karakorum rozwiały te wszystkie nadzieje. Światopogląd oparty na twierdzeniach uczonych i opowieściach żonglerów zachwiał się i runął na głowę oszołomionemu. Ujrzał wiele z tego, czego oczekiwał, lecz wszystko odmienne, przeinaczone, niby odbite w koślawym zwierciadle. Wielki Mur, osłaniający rzekomo podwaliny i zawiasy świata, istniał nieopodal stąd. Gaetano spotykał w Karakorum niemało ludzi, którzy dotykali go i jeździli po nim. Lecz poza murem nie czerniała otchłań czyścowa ni dwa ryże demony, Gog i Magog, nie porywały zagładających doń śmiałków. Przeciwnie, ziemia ciągnęła się dalej. Leżały tam grody, góry, pola uprawne, jeziora i lasy, większe pono niżli świat po tej tu stronie leżący. Bajeczne chrześcijańskie państwo "księdza Jana" istniało również, bo wszak na piersiach połowy ludzi błyszczały krzyże; co niedziela były dzwony w cerkwiach nestoriańskich. Lecz ci chrześcijanie wydawali się chłopcu niemal poganami, a "księdza Jana", "wiecznego strażnika Muru" zwanego tutaj królem Keraitów Jong-hanem, zabił przeszło trzydzieści lat temu Temudżin, syn Jezugaja, czyli Czingis-chan, i z jego czaszki, przerobionej na czarę, pił wino. O Ptaku-Skałe nikt nie słyszał, ponad pustynią krążyły tylko orły i sępy. Świat odmienił się w oczach zdumionego chłopca, stał obcy, dziwny, niby dom, z którego wyjęto ściany, zaroił się tysiącami nieznanymi ludźmi... Zaś Beatryczy nie było. Mądry kupiec, przybyły z Ptolemais (Ptolemais - miasto, przypuszczalnie w Egipcie. Od nazwiska Ptolemeusza (założyciel dynastii egipskiej), zapytany niegdyś przez niego o Śląsko i polskiego księcia, odparł ze zdziwieniem, że wszakże polskie książe rządzi dziedzinami leżącymi daleko stąd na Zachód;

nie tu bynajmniej, lecz gdzieś w pobliżu jego Gaetanowej ojczyzny. Zatem co tam zwało się końcem świata, tu objawiało się bliżej. Gdzie się zaczynał i gdzie kończył świat? Z równym zdumieniem przekonał się, że w Karakorum wiara nie jest ludziom potrzebna, pozbawiona znaczenia wszelkiego i dusza jego się zachwiała. Trzeźwy świat, nie szukający początku ni końca, nie pragnący poznać Nieba, przerażał go bardziej niż wszystko. Czuł się potępionym przez samo obcowanie z nestorianami, chrześcijanami nie wierzącymi w Odkupiciela i Mongołami, co liczyli lata od narodzenia Chrystusa, lecz nic o Nim nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli. Na piersiach wszak znak krzyża wśród dziesiątka innych amuletów (Amulet (łac.) - przedmiot posiadający właściwości magiczne) i słuchali szamanów. Chwilami myślał ze zgrozą, że cały ten niezrozumiały, obcy świat jest tylko omanem (Omam (właśc. omam) - halucynacja, wizja) szatańskim, łudzącą oczy nad pustką otchłani, przedsionkiem piekła. I w trwodze dusznej, w uścisku serdecznym, do tęsknoty za ulubioną przyłączyła się paląca tęsknota za krajem, za bezpieczną ścianę wierzeń. Przejmujący aż do łez samym swym wspomnieniem złocisty półmrok u Św. Marka (Św. Marek - tutaj: Bazylika Św. Marka w Wenecji, jeden z najsłynniejszych kościołów europejskich), leżący nie wiedzieć gdzie klasztor Trzebnica, modre laguny, czarną zasłoną otoczone różane liczko najmilszej towarzyszki lat dziecinnych, Bóg Ojciec z brodą patriarszą, zasiedziały na obłokach, krzepko dzierżący świat w Swej troskliwej dłoni - wszystko to razem zlewało się w całość potrzebną życiu i nieodzowną jak oddech, za którą tęsknił coraz to boleśniej.

Najdotkliwsze było dlań to, iż nie wiedział zgoła, jak długo tu pozostaną. Signor Bartolmeo miał o tyle słuszość, uważając syna za przygłupka, że Gaetano pozbawiony był doszczętnie wszelkiej bystrości i dociekliwości. Przyczyna podróży ojca stanowiła dlań dotąd tajemnicę, równie jak istotna treść rozmów, które zrazu niedołącznie, potem coraz to biegłej tłumaczył. Zawile kabaly polityczne nie obchodziły go z resztą bynajmniej. Przed ojcem czuł lęk gruntowny, wystarczający dla odjęcia wszelkiej ochoty wglądania w jego sprawy.

Dnie mijały nie przynosząc żadnej poważniejszej zmiany. Towary przywiezione z Wenecji, rozprzedawane nadzwyczaj szybko były już na wyczerpaniu i signor Bartolomeo chodził chmurny nie widząc oczekiwanego skutku, gdy dnia pewnego chyżonogi niewolnik malajski oznajmił mu, padając na twarz, że czcigodny mandaryn Czang-fu-tse pragnie zobaczyć w domu swoim szlachetnego gościa.

- Zdechniesz, Genuo! - rzekł głośno i chwilę później, świetnie przystrojony, z Gaetanem i Filippem u boku, otoczony trzydziestką stradiotów (Stradiota (wł.) - gwardzista dalmatyński w służbie weneckiej), jechał przez ulice miasta ku bramie północnej. Złoty Lew świętego Marka w lazurowym polu łopotał przed nim na zgubę Genui.

W domu mandaryna, siedząc po honorowej stronie gospodarza, oczekiwał weneckiego gościa mały, drobny, pomarszczony jak zwiędłe jabłko staruszek w czarnym chrzęszczącym kaftanie. Długie, obwisłe wąsy przecinały jego lico

dobrotliwym zafrasowaniem.

Małeńkie skośne oczy przykryte były do połowy powiekami. Signor Bartolomeo poznał go od razu.

- "Zdechniesz, Genuo" - powtórzył w duchu, składając głęboki ukłon.

Zmarszczony staruszek był to bowiem sam wszechwładny Jeli-Czu-saj, doradca w sprawach cywilnych dawniej Niezłomnego, a dziś jego syna.

- Słońce obróciło się już wiele razy - zaczął mandaryn Czang-fu-tse, gdy po niezliczonych ceremonialnych układach zasiedli wszyscy na matach - odkąd namioty wspaniałego cudzoziemca stanęły w Karakorum. Jakkolwiek natrętna ciekawość mało znaczącej osoby zasługuje na przyganę, rad bym wiedzieć, zali szlachetny cudzoziemiec zadowolony jest z tego pobytu?

Szturchnąwszy roztargnionego jak zwykle Gaetana, signor Bartolomeo odparł z pośpiechem, że, owszem, zadowolony jest bardzo.

Błyskiem niewidocznego spojrzenia nie zabierający głosu Jeli-Czu-saj kierował dalszymi pytaniami mandaryna. Ściszym, obojętnym głosem uczony

czien objaśniał gościowi, że prawdopodobnie znacząca, niewarta nawet nazwy karawany, w celu poznania odległych, a wielce ciekawych krain Zachodu.

Karawana ściśle - o, ściśle - handlowa. Być może, że on sam, Czang-fu-tse, mimo swej nieudolności i braku nauki, stanie na jej czele. Czy bardzo stary i mądry, szlachetny gość nie zechce ułatwić zamierzonej wyprawy, udzielając przyjacielskich wskazówek co do krajów na zachód od rzeki Tuny leżących?

Genua! Genua! Genua!... - zasyczało z nienawiścią w duszy signora di Candiano. Ceglaste wypieki wystąpiły mu na twarz.

- Przez które kraje pójdzie karawana? - zapytał dygocąc z wewnętrznego napięcia.

Mandaryn Czang-fu-tse podniósł w górę oczy i dłonie.

- Analiz ubogi kupiec może wiedzieć naprzód, któredy mu droga wypadnie? i gdzie jest najdogodniejsza?

- Karawana winna iść z Kijowa przez kraje ruskie i polskie na Węgry - rzekł z pomocą poseł wenecki - tylko przez Węgry... najdogodniejsza to droga...

- Dlaczego?

Krótkie i świszczące, pozbawione zwykłych ozdób pytanie upadło w ciszy, oczekując odpowiedzi. Skrzyżowały się spojrzenia. Gracz poczuł przed sobą gracza.

- Gdy opowiem wszystko, co mi wiadomo o krajach Zachodu, wasza dostojność

sama sobie podobne zdanie wyrobi - zapewnił signor di Candiano.

Mandaryn Czang-fu-tse skinął głową. Nieruchomy, jakby nie istniejący dotychczas, sekretarz Pen-ta san wynurzył się z cienia, rozłożył pergamin, umoczył w tuszu pędzelek na bambusie osadzony i zastygł w oczekiwaniu cennych wiadomości.

Signor Bartolomeo rozumiał ważność tej chwili. Skupiwszy cały swój umysł, z zapalem stwierdził, że nigdy nie było dogodniejszej pory dla wyprawy... handlowej lub innej w głąb ziem, które tu nazywają Rum, a chrześcijanie

Europą. Dosadnymi barwy odmalował wstrząsający całym chrześcijaństwem spór

między papieżem a cesarzem. Ojciec Święty - pochylił głowę ze czcią - Grzegorz IX (Grzegorz IX - papież (1227-1241), prowadzący walkę z cesarzem Fryderykiem II Sztaufem) władny jest, nieustępliwy i twardy. Nienawidzi cesarza Fryderyka (Cesarz Fryderyk II (1194-1250), król Sycylii (od 1198); od 1220 r. cesarz niemiecki. Dążył do złamania uniwersalizmu papieskiego) gorzej niż szatana. Cesarz słynie z mądrości i fałszu, słowa swego nie ceni. Poczytują go papiescy za heretyka, bo trzyma białego słonia w swej stolicy, lekarzy Żydów, żołnierzy pogan, Murzynów. Okrutne walki Gwelfów i Gibelinów (Walki Gwelfów i Gibelinów - walki stronników cesarza Fryderyka II (Gibelinów) z jego przeciwnikami (Gwelfami) toczyły się w połowie XIII stulecia ze zmiennym szczęściem obu stron) zaprzętają całą Italię i Niemcy. W Anglii młody Henryk III (Henryk III - król angielski w latach 1216-1272. W czasie jego panowania doszło do zbrojnych konfliktów wewnętrznych i wzmocnienia parlamentaryzmu) nie wiadomo jeszcze jak królowaniu podoła... Opisywał słodkiego Ludwika francuskiego (Ludwik francuski - Ludwik IX Święty, król Francji w latach 1226-1270), o oczach gołębia, duszy anioła i słabej, nieudolnej dłoni. Prawił o walkach wzajemnych książąt polskich, nie będących w stanie stawić oporu komukolwiek, tych małych Piastów zawistnych,

słabych dziedziców wielkiego niegdyś państwa. Najzawzięciej walczą ze sobą Władysław Odonic (Władysław Odonic - książę poznański prowadzący własną politykę. Zamieszany w zabójstwo Leszka Białego), książę kaliskie, oddany sługa papieża, i Henryk Brodacz, stronnik cesarza...

- Gdzież owe plemiona mongolskie, o których dostojny gość wspominał kiedyś? - zapytał Czang-fu-tse.

- Na Węgrzech właśnie - odparł skwapliwie signor Bartolomeo - na Węgrzech! Są to Madziary i Kumany. Żółtego lica, mowy zgoła różnej od innych ludów chrześcijańskich... Skąd tam się wzięły, nikt nie wie...

- Wiadomo, owszem - zauważył mimochodem mandaryn. - Przed czterystu laty

wezwał ich rzymski babilus przeciw Bułgarom.

- Węgry! - ciągnął jakby w zachwycie Wencjanin. - Piękny, bogaty kraj! Niedołężny, ograniczony król wydał go na łup jeden rzeczypospolitej italskiej... Genua ją zowią... drapieżnej, chytrej, przebrzydłej, całemu chrześcijaństwu gorzej od pogan obmierzłej! Zasługę by miał wobec całej społeczności, kto by jej pychę ukrócił!

- Genua... - powtórzył mandaryn Czang-fu-tse z zaciekawieniem.

- Tak, Genua - oczy signora błysnęły czerwono. - Dzięki słabości królewskiej uczyniła sobie z Węgier kolonię, przechód dogodny... Madziarów i Kumanów ciśnie... Spoglądają żałośnie na Wschód, czekając sprawiedliwości... Król Andrzej (Król Andrzej - Andrzej II, król Węgier w latach 1205-1235) pomkły jest a latach, dni jego już policzone, a syn Andrzejowy, Bela (Syn Andrzejowy, Bela - Bela IV, król węgierski w czasie najazdu Mongołów. 11 kwietnia 1241 poniósł straszną klęskę pod Mohi), wiele też nie działa...

- Niech szlachetny cudzoziemiec zechce objaśnić nikczemnych swoich słuchaczy raczej o naturze i właściwościach narodów, które się nie zmieniają, niżli książąt, których nowy miesiąc może już nie zastać - przerwał nagle milczący dotąd i nieruchomy mandaryn Jeli-Czu-saj.

Signor Bartolomeo spojrział na niego zdumiony.

- Na Zachodzie - objaśnił - królowie rządzą, a narody słuchają ich posłusznie, nic same przez się nie znacząc...

- Wielki Meng-tse (Meng-tse - (właśc. Meng-cy; ok. 372-289 p.n.e.) filozof ze szkoły konfucjańskiej) powiada: "Najcenniejszą i najczcigodniejszą rzeczą jest lud, królowie są rzeczą najmniejszą" - odparł wszechwładny minister Czingis-chana, Jeli-Czu-saj.

Choć poseł wenecki daleki był od podzielenia takiego poglądu, zapragnął dać nań jak najobszerniejszą odpowiedź. Daremnie się jednak silił; nie umiał powiedzieć nic więcej o dążeniach odnośnych narodów, upodobaniach i uzdolnieniach, jak to, że Rusini są leniwi, Polacy kłótlivi, a Węgrzynowie mściwi. Z kolei zatem mandaryn Czang-fu-tse zapytał, przez jakie szlaki i grody droga od Kijowa na Zachód prowadzi. Ale i tego nie wiedział Wenecjanin. Droga, którą sam tu z Bizancjum przyjechał, nie była ani najkrótsza, ani najlepsza; tak mu przynajmniej wszyscy powiadali.

Lekceważące zdziwienie błysnęło w oczach mandaryna Czang-fu-tse.

- Do Niepru - rzekł - droga jest nam dobrze znana, a dalszą musimy obaczyć sami. Jechać wypadnie z krajów ruskich ku południowi przez Węgry albo przez księstwo krakowskie i Śląsko...

Urwał zgorzonym zachowaniem się tłumacza, który postąpił ku niemu z otwartymi szeroko ustami, wpatrując się natrętnie w uczonego mandaryna.

Niemniej trzeba było odwagi, by Gaetano ośmielił się wymknąć cichaczem z ojcowskiego namiotu-kramu, przelecieć konno całe Karakorum i stanąć przed obliczem mandaryna Czang-fu-tse. Jednym tchem, nie podnosząc oczu, wyrzucił

z siebie żalną historię swojej miłości, przedstawił jej wielkość i świętość. Cóż bowiem po Bogu ważniejsze niż wierna służba swej damie? On miłował Beatrycze jak Tristan Izoldę - bardziej niż Amadis Galilijczyk Amintę, a rycerz Galoar Bertę (Tristan i Izolda, Amadis i Aminta, Galoar i Berta - słynne pary kochanków ze średniowiecznych romansów rycerskich. Do najsłynniejszych należą Dzieje Tristana i Izoldy, osnute na tle podań celtyckich). Zresztą nie same żonglery prawią, że miłość największym jest prawem. Toć gdy Giano Boundelmonte zerwał z narzeczoną za namową chytrej Gualdrady, ród Lambertich zamordował pięknego rycerza na moście i cały gród słuszość im przyznawał... Wprawdzie Beatrycze zamknięto w klasztorze, lecz miłość jego mocniejsza będzie niż krata... Czyć we Florencji rycerz Cosimo del Fata nie wy dobył dziewczki Pikardy z klasztoru? On sam ją wyzwolił podobnie, byle się dostał na Śląsko... Bo Beatrycze na Śląsku jest, w Trzebnicy... na Śląsku!... Tam, kędy ma iść karawana... W ponownej fali uniesienia błagał żarliwie o zabranie go ze sobą. Zna języki. Prócz własnej, italskiej, nieobca mu jest mowa Rusów i Germanów. Posiadł już niezgorzej ujugurską. Przyda się. Będzie wiernym sługą. Byle się dostać na

Śląsko!

Skończył i teraz dopiero spojrzał w żółtą, zamkniętą twarz słuchającego. Wąskie oczy mandaryna Czang-fu-tse zakryte były do połowy powiekami. Poza nim, w stałym półmroku izby bezokiennej, majaczył pod pułapem brązowy Budda, równie nieruchomy, o podobnie przymkniętych oczach i płaskiej twarzy. Ten sam wyraz ledwie dostrzegalnej ironii i absolutnej obcości malował się na wąskich wargach ich obu. Gaetano przeniósł wzrok z jednej twarzy na drugą i ogarnęło go zaraz zniechęcenie. Poczł się bezgranicznie śmiesznym. Jakże mogło być porozumienie między nim a tym żółtym, tak straszliwie zagadkowym i innym człowiekiem? Różane liczko w obrzeżu czarnej zasłony mignęło w myślach i pierzchło, jak gdyby sam wspomnienie o nim tutaj było grzechem. Niezmierna ważność i doniosłość jego sentymentu, którą przed chwilą sam tak mocno proklamował, sentymentu wykołysanego na pieśniach kantatorów (Kantator (z łac.) - śpiewak), kształconego na gaia scienza (Gaia scienza (wł.) - wiedza radosna), zbladła, zachwiała, ukorzyła się niejako w obliczu okrutnej i zimnej mądrości Wschodu. Całą duszą pożałował, że tu przyszedł w nieopatrznej gorączce miłości.

Chrapliwie skrzeczącym głosem mandaryn Czang-fu-tse przemówił:

- Świat stoi na żółwiu i miłości. Wielki Li-Tse (Li-tse - zapewne Lie-cy, filozof z V w. p.n.e., przedstawiciel szkoły toaistów) powiada: Zostawcie młodym te miłe igraszki. Dojrzały mąż działa pod wpływem rozumu, młodzieniec pod tchnieniem miłości... Czemuż bym nie miał dopomóc synowi szlachetnego przyjaciela i gościa w słusznym dążeniu do zobaczenia swej lubej?

Daleki od treści słów, zimny jak stal dźwięk głosu zazgrzytał przykro po sercu, któremu wydało się, że żółty sfinks szydzi.

Lecz twarz mówiącego nie drgała najmniejszym uśmiechem, gdy ciągnął:

- Jeżeli syn czcigodnego gościa zechce przyjąć obowiązki tłumacza w naszej skromnej i mało znaczącej kupieckiej karawanie, będę się czuł zaszczycony...

Podświadoma, lecz niewątpliwa pewność ponownego szyderstwa zgasła poryw wdzięczności Gaetanowej.

- Mój ojciec... - bąknął nieśmiało, nie wiedząc, jak wyrazić obawę przed gniewem rodzica.

Mandaryn Czang-fu-tse kiwnął głową ze zrozumieniem i powagą.

- Jutro - rzekł z wolna - poproszę czcigodnego gościa, by zezwolił synowi jechać z nami... Sądzę, że przystanie, gdyż na dobrym wyniku naszej wyprawy wielce mu zależy...

A widząc wahanie chłopca, dodał:

- Czcigodny gość nie dowie się nigdy o bytności swojego syna w tym mizernym domu.

Odwrócił się ku sekretarzowi Pen-ta-san na znak, że posłuchanie skończone. Lecz Gaetano nie ruszał się z miejsca. Pragnął czuć się szczęśliwym i wdzięcznym, pragnął paść do nóg mandarynowi w podziękę i uniesieniu, lecz niepojęty, niepokonany lęk wstrzymał stopy, zamykał usta. Obwieszona makatami izba zdała się kołysać gwałtownie niby odpływający w

nieznaną dal korab, a on odpływał wraz z nią. Papierowe, czerwonożółte latarnie chwiały się pod stropem jak zawieszono u masztu, oświetlając oblicze Buddy, który uśmiechał się teraz jawnie i szyderczo. Twarz Beatryczy migiała w myślach, jawiła się i gasła, niby spłoszona. Powinien był czuć się radosnym, w swoim sumieniu spokojnym, a jednak niewiadome przerażenie unosiło włosy na głowie, bo wydało mu się nagle, że, jak Merlin czarnoksiężnik (Merlin czarnoksiężnik - postać ze staroceltyckiej legendy o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu), zaprzedał duszę swą diabłu.

### 3

Karawana czcigodnego mandaryna Czang-fu-tse składała się z dziesięciu ciężkich, ośmiokonych arb. Kołyszając się i skrzypiąc przeraźliwie, sunęły szeroką roztoczą stepu. Obsługę karawany stanowiło trzech Rusinów, dłuższy już czas przebywających w niewoli mongolskiej, dwóch Mongołów, trzech Chińczyków i dwóch Keraitów chrześcijan nestoriańskich. Arby, prócz pierwszej wiozącej mandaryna Czang-fu-tse i sekretarza jego Pen-ta-san, wyładowane były cudnymi jedwabiami chińskimi, figurkami z kości słoniowej, wonnymi olejami w miedzianych amforach i pachnącym drzewem. Wieziono też

krzyże nestoriańskie, lampy, wachlarze i driakiew (Driakiew - lekarstwo, antidotum przeciw truciznom).

Sunąc mijali koczowiska bogatych terchanów, co radzi porzucali karakorumskie pałace, by siedzieć swobodnie w stepie. Prócz tabunu kilkuset koni koczowisko składało się z czarnych stanów, czyli jurt dla mężów i domów-wozów dla żon. Wozy te były szerokie na trzydzieści stóp, a ciągnęło je po dziesięć par wołów. Osie, potężne jak maszty, tkwiły w skrzypiących, zbitych z grubych desek kołach. Ściany wędrownego domu składały się z giętkich prętów, osadzonych w podłodze wozu, a zebranych w jeden pęk u góry, obciążonych dla ochrony przed deszczem czarną pilśnią, nasyconą łojem z owczym mlekiem. Na postojach pierwsza żona stawiała swój wóz do zachodu, inne coraz to dalej, w półkole, wszystkie zaś wejścia zwrócone były ku południowi. Gdy przejeżdżali, siedzące przy ogniu kobiety zwracały ku nim z obojętną ciekawością zimne, brzydkie twarze. Zajęte pracą niewolnice ostrą łopatką skrobały brud z odzieży panów lub wytrząsały ją nad ogniem, gdyż pranie szat było w Mongolii surowo wzbronione, również jak mycie naczyń. Jedno i drugie sprowadzać miało grzmoty.

Sunące szybko arby trzeciego dnia drogi wjechały w rudy tuman, wzniesiony kopytami wojsk Subutajowych, ciągnących w pole dla uspokojenia rozruchów plemienia Dżelajrów, niezadowolonych z błogosławieństwa rządów wielkiego chana. Wojska, nie skrepowane żadnym gościńcem, szły ławą szeroką, wygiętą ku przodowi w kształt sierpa. W szeregach obowiązywało bewzględne milczenie, przeto sunęły cicho, niby duchy. Gdy ginęli za wzgórzami, żaden szmer nie zdradzał bliskości stu tysięcy ludzi; gdy wynurzali się spoza nich, to niespodziewanie, jak zjawy. Wojska te dzieliły się na "tumany" po dziesięć tysięcy ludzi, każdy tuman na dziesięć "hezarów" po tysiąc, w hezarze było dziesięć ord po stu wojowników, dzielących się z kolei na



dziesięć czambułów. Teraz, wzniesiony rudy obłok pyłu, ciągnęło stępem trzy razy po trzy tumany i jeden tuman osobny, stanowiący przyboczną straż starego wodza. I były te sto tysięcy zaledwie cząstką siły straszliwej, działające niezawodnie, niby żelazna sprężyna katapulty (Katapulta (z gr.) - dawna machina wojenna używana do miotania pocisków), zwartej, nieodparte. Twarze jeźdźców wyrażały doskonały spokój istot idących ku swemu przeznaczeniu, spełniających to, co było najistotniejszym przyrodzeniem ich i prawem. Na żadnej twarzy nie było uśmiechu, nie zabrzmiał okrzyk lub zaśpiew. Deptali suchą błon stepu na kształt żywiołu. Ciemnobure pancerze ze skóry prażonej, pokryte dla ochrony przed wilgocią laką chińską, upodobniały ich barwą do tychże stepów rodzimych, do skał i szarańczy. Wybłyskiwała ze skórzanej pochwy krzywa, lekka szabla z najprzedniejszej stali. Od nogi ku górze wykwiłał spisa, dwa łuki kołysały się miękko na palcach. Jeden lżejszy, do szybkiego strzału z konia w biegu, drugi ciężki, do niezawodnej obrony pieszego zza szańca - leżącego konia-towarzysza. Trzy kołczany, jeden z boku, dwa przy siodle, zawierały trzy rodzaje strzał w przepisowej ilości: wielkie, uskrzydłone pierzem orłów himalajskich, tak ciężkie i ostre, że siła ich rzutu przebija tęgie pancerze; lżejsze z piórami sokołów, przeciw ludziom zbroi nie noszącym; i najlżejsze, mające na celu jeno oszołomić przeciwnika, pokryć go rojem niby much zjadliwie brzęczących, osłepić i przerazić. Nigdzie nie zdołają zrobić tak walecznych strzał, tak ścigłych, o długiej wyrzynce, gładkiej belce i żelźcu doskonałym, jak w Turkiestanie. Przeważnie na jakie ukraińskie i rubieże nie znajdują szeregi wojsk Wielkiego Chana, wszędzie doskonale utrzymana łączność dowodzie codziennie sto razy po sto tysięcy strzał i nowe cięciwy z chińskiego jedwabiu.

Prócz broni - rzecz nie widziana u rycerstwa Zachodu, wlokącego wszystek sprzęt ze sobą na niezliczonych wozach - każdy wojownik mongolski nosi w worku z chińskiej tkaniny, zaczarowanej podobno, gdyż woda zgoła nie puszcza, odzież zapasową, szydło i dratwę do szycia, osełkę do ostrzenia szabli, miskę, kociołek i puszkę miedzianą, szczelnie zwartą, w której krew końska, prażona z mlekiem pospołu, może trwać pół roku i rok, i więcej, a nie zacuchnie się. Tenże sam worek, nadmuchany powietrzem jak pęcherz i przywiązany do piersi, wspomaga dzielnie żołnierza, gdy ordzie wypadnie przepłynąć wezbraną rzekę, jezioro, ba, bywało już, że i morskie zatoki. Na koniec przy pasie zwisa lekki toporek do rąbania drzewa, a u siodła sierp do ścinania paszy.

Za tumanem ciągnie druga armia koni zapasowych i jucznych, dźwigających piekielne wymysły chińskie.

Przez szatana budowane, proszkami ciemnymi sycone maszyny, które czynią wielki dym i smród, ogłuszają hukem gorszym od grzmotu miotają ogień. Inne sikną wprzód na mury obleganego grodu cieczą tłustą i cuchnącą. Okrutnie chwytają się jej ognie. Gliniana pułkwa, wypluta z małej, na grzbiecie końskiej umieszczonej katapulty, pęknie w powietrzu, rzygnie ogniem, co dopadnie owej oliwy, skoczy po niej trzęsąc grzywą i rozejdzie się szeroko. Darmo gasić pożar wodą, po której ogień żywym szlakiem jeszcze chyżej

spłynie, darmo się bronić przeciw owej cieczy, ze śliny Lucypera zrobionej.

Za końmi nie masz ni jednego wozu. Po co? Każdy ma na sobie wszystko, co mu trzeba. Gdy będą łupy, znajdują się w kraju zdobytym i wozy.

Skoro arba stanęła, skrzypiąc ciężkimi kołami, mandaryn Czang-fu-tse czekał cierpliwie, aż z drugiej obaj Kieraci wypakują i rozpostrą wielki, barwisty parasol. Nie godziło się bowiem, by uczony Batu o poczciwej, leniwej twarzy; gorący, okrutny Bajdar, czyli Pe-ta; porywczy Kajdu i Szejban. Nad każdym trzymano buńczyk czarno-biały, przeto wzgórze kwitło nimi jak kępa sitowia, w którą rade zapadają czaple. Gdy wiatr powiał, kosmyki włosów muskały spiczaste czapki młodych chanów i zastygła twarz Subutajową. W obrzeżu pasm czarno-białych stary wódz stał jak uosobienie siły swojej armii - siły, co szła, bo iść i walczyć musiała. Wykrętnymi zabiegami można było wpłynąć na kierunek jej pochodu, lecz nigdy go wstrzymać. Już dosyć długo stała bezczynnie, ze znudzeniem patrząc na budowanie stolicy, sprzeczne z jej jestectwem, którym było - niszczenie.

- Mendu! - rzekł krótko Subutaj w odpowiedzi na wyszukane powitanie mandaryna. Obojętnie słuchał kunsztownych komplementów nad wspaniałym wyglądem wojska, jako też życzeń, by szczęśliwie a szybko zakończyć wyprawę...

- To nie jest wyprawa - przerwał orację mandaryn Kajdu. - Niedługo pójdziemy w pole na wielką wojnę, jak za Niezłomnego...

- Na Wschód! - wykrzyknął Szejban.

- Na Wschód? - powtórzył z przymusem Czang-fu-tse. - Cóż jest na Wschodzie, czego zdobywcy świata nie widzieli? Te same wszędzie pagody, ryż i ubogi, cierpliwy lud chiński...

- Ubogi? - roześmiał się szyderczo Bajdar.

- Nędzny, biedny, pracujący w pocie czoła - zaskrzeczał mandaryn. Troska o swój naród przerwała na moment wytworną obojętność głosu i zdjęła maskę zwykłej obojętności z jego twarzy. Błyskając z podrażnieniem skośnymi oczami, prawił gorąco: - Tylko na Zachód warto iść zdobywcom świata... wyzwolić plemiona, do Mongołów Nieba słusznie mogące być zaliczone... Obaczyć nowe grody i kraje...

- Zależy od ciebie, jeśli dasz szybko wiadomość o pastwiskach i postojach - rzekł krótko Subutaj. - Nam śpieszno!

Śpieszno im było rzeczywiście. Obraz zapitego Wielkiego Chana, któremu szamani nie wróżyli długiego żywota, nie schodził z oczu. Zanim zamrze, przelecieć nie zdobyte jeszcze grądy (Grąd (staropol.) - wyniosłość na mokradłach) i susze świata, okryć się sławą dziadową i wrócić po jego tron. Spoglądali na siebie bez życzliwości, ale uczciwie, jak współzawodnicy.

Pozostały przy wozach, wraz z resztą karawany, Gaetano patrzył z roztargnieniem na otaczającą go chmurę wojsk. Niewiele się rozumiał na dziele rycerskim, wydawały mu się one przeto nędzne i szare. Porównywał je w myśli do świetnych rycerzy francuskich, włoskich, niemieckich i ogarnęło go politowanie. Przymknąwszy oczy, widział niby żywe, wielkie postacie w błyszczących zbrojach, siedzące nieruchomo, z wyprostowanymi nogami, w

wysokich siodłach, na okrytych kapami i blachami koniach. Wokół kraty przyłbicy długie labry (Labry (łac.) - płaty tkaniny zawieszane u hełmu) zwiewające od hełmu. Barwi się płaszcz na zbroi, mieni proporzec. Błyska wielki, ciężki miecz. Każdy widzi się św. Jerzym, który zwalczył smoka. Jadą śpiewając potężnie, głos dudni głucho w pokrywie hełmu, nim przez otwory przyłbicy wyleci. Z pogardą spojrzął na otaczające go, jednostajnej maści, bure i ćmawe mrowie, zwinne i milczące. Niechajby tamtych ujrzeni, zmierzyl się z nimi. Ale nie obaczą nigdy... Toć to drugi koniec świata!...

Jechali coraz to dalej, pocztą, zwaną jam, zorganizowaną poprzez całą Azję aż do brzegów Dniepru. Co piętnaście mil leżały ułusy-koczowiska, zaopatrzone w sześćset koni. Z tych połowa przebywała na pastwisku, połowa zaś stajni, oczekując przyjazdu "darogi", czyli rządcy prowincji, lub innego dygnitarza. Na parę stajni przed ułusem pocztowym prowadzący zaprzęg

jeździec trąbił do utraty tchu w wielką trąbę miedzianą z miechem, której chrapliwy głos ostrzegał ułus, że nadjeżdża jam. Nadciągające ze skrzypem kół arby zostawały przed jurtą przygotowywane już do drogi konie. Przekładano je błyskawicznie i nowi ludzie popędzali nowy zaprzęg na przełaj przez nowe stepy. Po drodze mijali posterunki poczty pieszej, co kilkanaście stajni położone. Przeznaczeni na gońców tubylcy wolni byli od ciężaru podatków i służby wojskowej, lecz nie wolno im było oddalać się z posterunku pod karą obcięcia członków. Nosili pasy szerokie, oszyte dzwonekami. Otrzymawszy polecenie, puszczali się pędem, z głową naprzód pochyloną, nie zatrzymując się ani oglądając za siebie, aż do następnego punktu, gdzie ostrzeżony brzękiem dzwoneków, oczekiwał już następny biegacz, z ręką wyciągniętą dla odebrania polecenia, gotowy do biegu. Odbierał i ruszał pędem, wznosząc pył lotny stopami. Nie zamieniali słowa. Tamten ginął już w oddali, gdy ten, przecierając spotniałe czoło i mętne od zmęczenia oczy, wracał z ulgą do swej jurty. Setki tysięcy takich gońców biegnęło ustawicznie przez drogi i bezdroża całej niezmierzonej Azji tak szybko, sprawnie i pilnie, jak gdyby nad każdym ciążyło nieustannie wszytkowidzące oko Niezłomnego.

Handlowa karawana mandaryna Czang-fu-tse jechała bez odpoczynku, robiąc dziennie nie mniej niż dziesięć mil polskich.

Wspiąwszy się na góry Karakorum widzieli w dali wiecznie wzburzone odmęty Świętego Jeziora. Buriaci o płaskich, orzechowych twarzach, nigdy nie mytych, o czapkach z pstrą frędzlą, usuwali się z lękiem, słysząc głos trąby woźnicy. Przez wąwozy i wysoczyzny dzikie Gór Ałtajskich przeciągnęli z trudem arby, a gdy zeszli, spotkali jesień na stepach tunguskich. Potem ciągnęli przez kraje Uigrów, którzy od czterystu lat rzucili życie normandzkie, przez dziedziny strojących się dziwacznie Kałków i Chałchańców, przez siedziby łagodnych Najmanów, nieskończone, lecz głodowe

stepy kipczackie, przez pastwiska Nekrinów, Urmangów, Tajdzutów, Tatarów i Barlasów. Brnęli przez zawieje i pustkowia Gór Jaik, oddzielających świętą, starą Azję od młodszej Rum, czyli Europy. Wiosna zaleciała ku nim wonią

wśród koczowisk, zbiegających się zewsząd ciekawie mahometan Kirgizów, słynnych z wyrobu broni Baszkirów, w osiedlach górskich Czerkiesów i handlowych stacjach Ormian. Lato upalne grało barwami nad stepem czarnomorskim gdy weszli w ukraińskie wiary greckiej, w pola pamiętne bitwą nad Kałką (Bitwa nad Kałką - słynna klęska koalicji książąt ruskich z wojskami mongolskimi w 1223 r.). Lecz wszędzie, wśród tylu ludów, różnych religią i obyczajem, wznosił się niezmiernie co piętnaście mil znaczny półbuńczukiem jam, chyżonogie gońce biegły bez tchu od ułusu do ułusu i wszędzie z jednakową pokorą ludzie padali na twarz przed złotą "paizą" (Paiza (węg.) - mała tarcza. Tu: rodzaj glejtu, przepustki) mandaryna i wyrzeźbioną na niej podobizną zółwia oplecionego przez dwa smoki, co jest pieczęcią świętą i znakiem Wielkiego Chana.

Iwan, Wasyl i Proć, jeńcy rusczy towarzyszący wyprawie jako kulisi (Kulis - tragarz, wyrobnik, prosty robotnik w krajach azjatyckich), witali ziemię ojczystą. Całowali na przeprzęgu pył dłoni, szlochając krótkim, urywanym płaczem. Powrót w te strony zdawał się im snem. Z lękiem i niedowierzaniem spoglądali w stronę arby, na której barwisty namiot osłaniał mandaryna Czang-fu-tse i sekretarza jego Pen-ta-san. Obaj Chińczycy wzbudzali w nich taki lęk, że ani im w głowie pozostała myśl o ucieczce. Jakby zresztą mogli uciec? Zbiec z postoju? A co dalej? Krajem rządził chiński daroga, który niechybnie kazałby ich ściąć. Wszakże nie skryją się nigdzie przed jego szatańskim okiem. Lecz gawędzili z woźnicami jamu, gdy wozy kołysały się, brodząc wśród rozlewu wonnych traw wysokości człeka. Nie odrywając wzroku od zaprzęgu woźnice mówili półszepem, że zgrozą w rozszerzonych oczach, o tym, co było, ich zdaniem, końcem świata i panowaniem Antychrysta (Antychryst - szatan, wg objawienia św. Jana przeciwnik Chrystusa, który ma wystąpić przeciwko niemu na końcu świata). Nie okrucieństwa mongolskie, bez porównania mniejsze od tyrańskich wybryków poprzednich ruskich kniaziów, przerażały ich do tego stopnia, lecz bewzględny, nieustępliwy ciężar administracji chińskiej, drobiazgowej, ścisłej, natrętnej. Żelazna surowość mongolska, połączona z chińską pedanterią, z chińską podejrzliwością, z chińskim zamiłowaniem do papieru, pisaniny, liczby, do drobiazgowej kontroli wszelkich przejawów życia codziennego, do ujścia każdej rzeczy w formułki starannie z góry dla wszystkich przepisowo określone - tworzyły razem obręcz dławiającą lud przywykły do pierwotnej swobody. Cóż stąd, że Mongoł nie wbijał na pal i nie obdzierał ze skóry, jak w ślad za nim szedł daroga, z obojętną, nieruchomą twarzą oraz ze zwitkiem papieru w ręce, i zakładał pierwszy, odkąd święta Ruś istniała "jamem", czyli urząd, kancelarię. Spisy ludności, powtarzane kilkakrotnie do sprawdzania, zdawały się bez ochyby zaprzędaniem dusz diabłu w wieczyste władanie. Rejestrowanie wozów, sadyb, koni (nawet niewinnej chudobie nie przepuścili, każde ma tauro (Tauro (łac.) - piętro, cecha) szatańskie na zadzie! - ukazywał batem woźnica i obaj z Iwanem zegnali się śpiesznie znakiem krzyża), sprawdzanie, wiele płótna bielą mołodyce, wiele posiały konopi, ściganie podatków nawet od kuderników, czyli znachorów, nietykalnych dotąd - doprowadzało ludność do rozpaczki większej, niż gdyby wymordowano pół kraju.

Rozsiadły nad Dnieprem Kijów, zniszczony przed dziesięciu laty przez Subutaja, przedstawiał rumowisko bezkształtne. Cerkwie, oszczędzone, ale obdarte ze złota, sterczały ponad gruzami. Wiatr gwizdał przez dziurawe sklepienie Złotej Bramy (Złota Brama - fragment dawnych murów obronnych (1037 r.)). O kilkadziesiąt mil dalej na zachód urywał się jam, kończyło bezkresne panowanie Wielkiego Chana. Mandaryn chiński, beczynnie dotychczas jadący, pogrążony w dymach opium, suchym głosem wydający krótkie

rozkazy na postojach - przedzierzgnął się w uprzejmego kupca, troskliwego o korzystny obrót wyprawy. Arby zmieniono na kute wozy z dyszlami, przy czym role woźnicy objęli Iwan, Wasyl, Proć, Namu (Keraita), Ajdar i Baru (Mongoli). Mandaryn interesował się żywo krajem przebywanym, ilością pól uprawnych i ludzi, zapytywał o wszystkie rzeki i brody, zajeżdżał do każdego grodu, badał stosunki polityczne i handlowe. We wszystkich tych kwestiach okazywał nienasyconą ciekawość, nie licującą bynajmniej ze zwykłą wyniosłą obojętnością uczonego czy-jena. Jadący dotychczas beztróska Gaetano, zajęty wyłącznie grą na wioli, śpiewem i myślą o Beatrycy, zagnany został teraz do roboty. Bez wytchnienia młody tolholos, jak go z pewnym pogardliwym uśmieszkiem nazywał mandaryn, musiał chodzić, rozmawiać,

pytać, znosić nowiny i wiadomości, co do których w głowę zachodził, na co mogą być komu potrzebne. Cóż ciekawego było na przykład w stwierdzeniu, jaki sprzęt siana ma corocznie starszyzna grodu Halicza ze swych łąk podmiejskich? Dziwniejsze jeszcze było, że sekretarz Pen-ta-san te i tym podobne, pozbawione wszelkiego znaczenia szczegóły zapisywał natychmiast starannie. W ogóle od przejścia Dniepru pracowity sekretarz nie wypuszczał z ręki pergaminu i kałamarza. Kołysząc się miarowo, maczał w tuszu cieniutki pędzelek na długim bambusie osadzony, kreśląc kunsztownie trudne chińskie znaki. Misternym ruchem, ledwo muskając białą płaszczyznę karty, kreślił maleńkie, obce drzewka, mające wyrazić głębię i obszar wielkich puszczy podolskich, lub dwie figurki kobiece dla przedstawienia kłótni między książętami halickimi: Jurjem i Włodzimierzem.

Jesień złociła lasy Rusi i Polski, napełniała powietrze wrzawą odlatującego ptactwa, minął już bowiem rok i trzy miesiące od chwili wyjazdu mandaryna z Karakorum. Obecnie jechali wolno, zatrzymując się w każdym grodzie. Zrazu mandaryn oświadczył, iż tu rozbije na stałe swe kramy, lecz po paru dniach, poznavszy dokładnie miasto, wyjeżdżał dalej na zachód. Droga wiodła ich miękko falistym, urodzajnym krajem, radosnym i miłym dla oka. Pod osłoną wielkich lip, upstrzonych barciami, stały chaty-sadyby, ciemne i utulne. Mieszkał w nich lud beztróski, gościnnie o łagodnym obyczaju, choć pod węgiel nowo wznoszonej sadyby jeńca, imaćca, zabijał na szczęście - lud, który czcił Chrystusa Pana i Najaśniejszą Jego Matkę, lecz równocześnie sypał mąkę na dach domu jako ofiarę dla Chwista-Pochwista (Chwist-Pochwist - w pogańskiej religii Słowian bogowie wiatru), a za znieważenie starego dębu karał rozplątaniem brzucha. Szanował

św. Jana Chrzciciela, św. Agrypinę i drzewa. Uroczyście powiadamiał jabłonie i grusze o zgonie albo narodzinach w chacie, oblepiał je ciastem wielkanocnym i zaklinał gorąco, by rodziły. Odziani w lniane płótniaki i kozuchy owcze czcili kmiecie stół świetlicowy, woły, gołębie i bociany, a lękali się wilkołaków (Wilkołak - człowiek przemieniający się w wilka), latawca (Latawiec - wg dawnych wydarzeń ludowych latający zły duch, ukazujący się w postaci różnych zjaw) i zmory (Zmora - w dawnych wierzeniach widmo, duch nocny). Wybiegali naprzeciw jadących z pełną przyjaźnią ciekawością, z podziwem patrząc na nie znane wielu konie. Tchnęły od tych rolników zasiedziały bezpieczeństwo, spokój i pogoda. Cóż im zresztą mogło grozić? Karmili starannie strzegące dobytku chowańce (Chowańce - w dawnych wierzeniach duchy domowe) i skrzaty (Skrzat - w dawnych wierzeniach: duszek domowy, krasnoludek), warowali się plunąć na ogień lub zanurzyć się w rzece przed świętą nocą Sobótki (Noc Sobótki - noc przed św. Janem (23 czerwca), obchodzona śpiewem, tańcami, paleniem ognia. Stary obrzęd ludowy). Strzegli pilnie swego cienia, by go wiedźma nie ukradła, co zesłałoby straszną chorobę, zwaną ścieniem. Nie mieszały się w wasnie książęce; siedzieli z daleka od szlaków, siejąc ber (Ber (staropol.) - gatunek prosa), pszenicę i jęczmień, bieląc płótno i wybierając miód z barci. Podobnie jak dziadowie ich i pradziadowie żyli w przepaścistych puszczech, w zgodzie z mocami przyrody, chwając Boga chrześcijańskiego, słońce, księżyc i wszystkie cztery żywioły, zasłonięci od wiatrów północnych i wszelkiej napaści.

#### 4

W tymże samym czasie ku płonącym czerwienią i złotem puszczołom polskim dążył od zachodu orszak inny, nierównie liczniejszy i wspanialszy. Dziesięciu ciemnolitych baronów włoskich w sutych płaszczach i czerwonych, spiczastych trzewikach jechało na pysznych koniach, kołysząc się w wygodnych podróznym kulbakach. Krótkie miecze błyskały u lędźwi. Nakrywające konie kropierze z jedwabnej siatki podwinięte były końcami do góry i związane w pukiel na zadzie, by się tkanina po krzacz przydrożnych nie tłamsiła i poniewierała. Proporzec z kluczmi św. Piotra (Klucze św. Piotra - oznaka papieska) powiewał nad butną gromadą rycerstwa. Z tyłu gruby, spocony mnich na spasłym mierzynie (Mierzyn - koń roboczy) dźwigał złocisty krzyż, przekładając go co chwila z ramienia na ramię. Za krzyżem, na białej mulicy przykrytej purpurową kapicą, oszytą srebrnymi dzwonekami, jechał świetnie przyodziany mąż, o twarzy dumnej, mądrej i surowej. Jego dostojność Gulielmo del Monte, arcybiskup Mediolanu, legat (Legat (łac.) - poseł papieski) pełnomocny jego świętobliwości dla krain słowiańskich, zarazem kolektor (Kolektor (łac.) - zbieracz opłat kościelnych Stolicy Apostolskiej. Za nimi brunatni, bosonodzy, gołogłowi bracia franciszkanie, niefrasośliwi, beztroscy, wesoło człapali po dwóch na jednym mule, rozglądając się z ciekawością po dziedzinach, w których jeszcze ni jednego klasztoru wedle reguły swej nie posiadali. Jadący obok nich dwaj biało-czarni dominikanie odmawiali w milczeniu nie kończący się nigdy

różaniec, z niechęcią spoglądając na gadatliwych szaraków. Za mnichami, na spasionych, ociężałych koniach flandryjskich zdążali w otoczeniu służby "sławetni" lub "urodzeni" kupcy genueńscy: Paolo Bicarani, Antonio de Pueto, Simone Talentis i Guido Ricci. Skorzystali oni skwapliwie z podróży legata, by pod osłoną jego poselskiej powagi wjechać bezpiecznie w dziedziny słowiańskie. Ładowne ich wozy, kołaczące za orszakiem, pełne były jedwabi włoskich, naczyń szklanych, wyrobów srebrnych i złotych, które z okazałym zarobkiem miano wymienić na cenne futra, bursztyn, niewolników,

a przede wszystkim na czerw, robaczek maleńki, dostarczający nad wszystko cenniejszej farby, zwanej kermisi lub karmazyn.

Dostojny legat Gulielmo rad przyjął szlachetnych kupców do swego orszaku, bo to w liczbie i bezpieczniej, i nikt równie, jak oni, nie znał pono barbarzyńskich i dzikich krajów słowiańskich. Nie dziwota. Toćże Genueńczycy trzymali w swych rękach cały handel, a grodów flandryjskich Antwerpii i Brugii idący przez Polskę dalej na wschód. Przez Polskę lub Węgry jeździli do czarnomorskich swych kolonii, szczególnie złotodajnej Kaffy, skąd przywożono niezbędny dla farbiarstwa, w Azji Mniejszej dobywany ałun.

Oprócz doraźnych korzyści bezpieczeństwa i znajomości kraju, dumny arcybiskup Mediolanu miał jeszcze inne przyczyny, dla których zezwolił mieszczanom przyłączyć się do swego pocztu, i teraz właśnie rozmyślał nad nimi tak głęboko, że nie spostrzegł, iż zagarnęła ich w swój leśny chłód puszcza. Przez zarośniętą wieloletnim zieleń kamienistą drogę, przez chaszcze i polany śląskie świetny orszak ciągnął na kształt długiego, migotliwego węża. Skrzypiały w głuszy wozy wrzynające się ciężko w murawę drogi kapica okrywająca mulicę legata. Brzękały miecze. Franciszkanie śpiewali godzinki. Jadący przodem rycerze rozglądali się z ciekawością dokoła, a gdy spłoszony tętnem zwierz płowy lub ciemny śmigał przez drogę, wołali za nim rozgłośnie: "ho! ho!" i "sa! sa!", szyjąc w gąszcz z kusz dla zabawy.

Legat otrząsnął się z zamyślenia, odwrócił głowę, a spotkawszy oczyma wejście poważnego sukiennika Antoniego de Puteo, skinął nań ręką, by podjechał bliżej.

Kupiec ścisnął piętami konia i przykłusował z pośpiechem.

- Wasza dostojność raczyła mnie wezwać?

- Tak, messer (Messer (wł.) - pan) Antonio. Prawił mi fra Domenico, żeście już nieraz tę drogę robili?

- Dwa razy, wasza dostojność. Z Brugii do Kaffy, raz zasię po drodze do Kijowa...

- Gadajże wszystko, co wiesz o tym kraju?

- Niewiele jest o nim gadania, wasza dostojność... Luda skąpo, zwierza mnogość, pierwobory jako te, przez które ninie jedziem, grody chude i drewniane.

- Drewniane? - zdziwił się legat.

- Drewniane, jak mi Bóg miły! A mury z bierwon drewnianych, gliną obłożonych. Trafiają się murowańce, ale z rzadka, za dziw wielki uważane.

Kraj bogaty, lecz dziki. Od dnia, w którym arka Noego na szczycie Araratu stała, nic się tu pewnikiem nie zmieniło... O handlu ni cenach nie mają pojęcia... Na olej święty wypływający z nozdrzy błogosławionego męczennika Apuleja! Czy uwierzy wasza dostojność? Piękną niewolnicę można tu nabyć za dwie kopy grosza, gdy u nas bezecni handlarze, Boga się nie bojąc żądają za młodą dziewczkę pięćdziesiąt dukatów!

Legat zmarszczył gęste brwi, surowym milczeniem pomijając tę wiadomość. Handel niewolnikami był jedną z rzeczy, z którymi Kościół daremnie walczył. Zawstydzony własną szczerością, Antonio cofnął nieco konia w tył, lecz legat zagadnął go znowu:

- Co wiecie o księciu śląskim?

- Księżę śląski - podjął pośpiesznie kupiec - mądry jest, możny, gospodarny, ale twardy. Choć małżonkę ma wielce świętobliwą, niełacno otrzyma od niego wasza dostojność należne pieniądze...

Oczy legata błysnęły.

- Musi zapłacić - odparł twardo. - Nie ustąpię. Siła lat władacze polskie nie płaciły nic zgoła, choć zapis jeszcze przez Mieszka I Janowi XIII dany był... Jeno że pomyłono Sarmację (Sarmacja - legendarna nazwa dawnej Polski, związana z przekonaniem o pochodzeniu jej mieszkańców od antycznego

ludu Sarmatów, osiadłego nad Wisłą i Dnieprem) z Sardynią, tędy się Stolica Apostolska przez dwa wieki blisko nie upominała o swoje. Ale dość!

- Dałby Bóg! - westchnął pobożnie Antonio. - Wszakże nie przyjdzie to łatwo...

- Każdy bardziej stoi o doczesność niżli o zbawienie duszy - stwierdził legat.

Spojrzał na otaczającą ich gęstwę i dodał:

- Zbójców tu nie brak pewnikiem?

- Jest tego ziela wszędy, jakby je obłoczni z deszczem siały, przecież mniej niż w Niemczech albo Italii... Co prawda, to prawda... Wszakże przytrafić się mogą... Trza, by księżę drużynę rycerską przydał waszej dostojności dla ochrony.

Guglielmo del Monte spojrzał przenikliwym wzrokiem na mówiącego.

- Nie zdarzyło się wam słyszeć, messer Antonio, jako przed laty Albrecht Niedźwiedź (Albrecht Niedźwiedź - (1133-1170), margrabia brandenburski, założyciel dynastii askańskiej) wypłacił należne świętopietrze (Świętopietrze - opłata na rzecz kurii rzymskiej) posłanemu doń legatowi Anzelmowi, otrzymał pokwitowanie i, rzekomo dla bezpieczeństwa, przydał mu zbrojną straż rycerską? Na samej granicy straż owa pobiła sługi legata, pieniądze zagarnęła i księciu odwiozła, legata próżno puszczając...

- Na głowę świętego Kancjana! iście tak było! - przyznał kupiec.

- Młodzik by chyba nierozsądny wiózł pieniądze ze sobą... - ciągnął legat. - Jakże są domy wymiany we Wrocławiu?

- Nie ma żadnego, wasza dostojność.

- Nie może być!... Nie ma Alifanich?

- Nie ma.

- Ani Pulcich?



- Nie ma, wasza dostojność. Naszych jest ta wprawdzie siła, Gallici albo Romanie nas zowią... Nawet ulica jedna we Wrocławiu zwie się Platea Romanorum (Platea Romanorum (łac.) - ulica Rzymian). Raniej my tu przyszli niż Niemce i Czesi, co dopiero za Henrykowego ojca ścigać zaczęli... Toć pierwsze kopacze pod Miedzianą Górą od nas zajechały... Lorenzo Angelo je zwiódł, anno Domini 1156... Pokrewniak dziada mojego...

- Ale Alfanich nie ma? - przerwał legat.

- Nie, nie ma... Nasi zawdy towar na towar, nie na pieniądze mieniają... Arcybiskup wyprostował się w kulbace i zmierzył bystrym wzrokiem sukiennika.

- Zali troska o zbawienie wieczne nawiedza was, messer Antonio?

- Och! - westchnął pobożny kupiec.

- Tedy słuchajcie. Przyjąłem was do pocztu z towarzyszami nie po co innego, jeno byście Stolicy Apostolskiej w bezpiecznym otrzymaniu pieniędzy pomogli. Za co w imieniu jego świętobliwości odpust zupełny grzechów solennie obiecuję...

- Ach! - westchnął po wtóry messer Antonio z przejęciem. Drapał się za uchem, skłopotany.

- Jakże moglibyśmy pomóc, my chudziaki? - zapytał niepewnie.

- Nie udawajcie głupiego, messer Antonio - przerwał sucho legat. - Pieniądze pożyczycie ode mnie na skrypt (Skrypt (z łac.) - dokument wystawiony przez dłużnika, stwierdzający istnienie długu i zobowiązanie zwrotu), zobowiązując się zwrócić je Stolicy Apostolskiej w Rzymie, za rok... Wolna wola wasza obracać nimi tymczasem, jak wam się podoba...

- Rok! - jęknął kupiec. - Wasza dostojność, to nie może być! Jaż do Kaffy jadę! Raniej jak za trzy lata do Rzymu nie wrócę!

- Zupełny odpust i gwarancja zbawienia wiecznego... - cedził z wolna legat.

- Pomówię z towarzyszami... - przystał pokornie Antonio de Pueto. - Trza to będzie jakoś zładzić...

- Bóg nagrodzi, mój synu.

Jechali dalej w milczeniu. Messer Antonio rozważał złe i dobre strony nieoczekiwanego układu, a poznawszy w bystrej swej głowie, e dobre przeważa, zaś odpust zupełny zostanie w naddatku, rozpogodził się i uspokoił. Legat rozglądał się wokoło.

- Zaiste - zauważył - nic się tu nie zmieniło od stworzenia Świata.

Spojrzeli obaj po płaczących czerwiących dębrowach, po gószczych jodeł, czerniejących jak otchłanie, przerzniętych taśmami krętymi strumieni, z puchniętych ludzi siedzących w zaludnionych z dawna, przodujących wszej społeczności chrześcijańskiej dziedzinach.

- Dzicz... - rzekł pobłażliwie arcybiskup.

- Okrutna dzicz - potwierdził z wyszczerzonym genueski kupiec.

I zdziwiliby się wielce obaj dostojni męowie posłyszawszy, e w puszczech tych, za nowinę przez nich trzymanych, roją się ycie bogate i bujne, równo dawno jak w Italii, a dawniej pono niżli w siedzibach frankoskich. W ciszę lasów wdierał się ongiś nieznany łoskot, miarowy

tupot nóg elaznych rzymskich legionów, wędrujących przez śląskie dziedziny na Zachód. Szerokim rzymskim gościem, wyciętym wskroś puszczy, znaczym

kamiennymi orłami, ciągnęły liczne karawany kupców z Fenicji, Azji Mniejszej i Rzymu, dłużej z grodu lugijskiego Karrodunum ku Przełęczą Jabłonkowskiej, gdzie dzikie teraz górale istebniaskie siedzą. A gdy po kilku wiekach orły kamienne mech posiadał i pleś, a pastwo Świata zawaliło się jak zmurszały strop, jasnowłosi pierwobyłcy Ślązanie sami panami swej ziemi ostali.

Droga pieła się pod wzgórze, garbata korzeniami drzew poprzecinanych w poprzek ni to szczeble, na których stukały, ciężko dudniące, koła wozów. Orszak legata przystanął. Rycerze przysyłali dłomi oczy, wyteżając wzrok, bo nigdy nie wiada, kto się zbliża - swój czy wróg.

Stary Lorenzo, pan na Monte Rosso, rozpogodził czoło.

- Stanica piastowska nad nami! Pewnikiem jaśnie nas witają.

- Przywitajmy ich przystojnie - rzekł legat.

Ustawili się półkolem, arcybiskup pomiędzy rycerstwem, mnisi i kupcy z tyłu. Ojciec Paschalis sapiennie trzymał ciężki, błyszczący krzyż przed legatem. Klucze św. Piotra łopotały w górze, połyskując złotem.

Nadjeżdżający przyspieszyli kroku. Przodem, pod chorągwiem z orłem białym panów Piastów, sunęło dwóch rycerzy dostatnio odzianych, Otto von Reinbaben, znaku Czarny Jele i Jarach, syn Klimów, zawołania Zambora, znaku Rogala. Za każdym nadchodziło dziewięciu mężczyzn tego rodu, stryjców rodowych lub braci, trzymając własne godło tuż za stanicą księcia. Podjechali blisko przed orszak i zsiadli z koni w dowód wielkiej czci i pokory chrześcijańskiej.

Z brzękiem mieczów i zgrzytaniem strzemion panowie włoscy zeszli równie, by w cnotcie nie dać się prześcignąć. Rycerz Otto von Reinbaben wysunął się przed przybyłych, w imieniu Henryka Brodacza, syna Bolesławowego, "księcia śląska i całej Polski", najpotężniejszego pana słowiaskiego, witając w mowie niemieckiej dostojnego gościa. Arcybiskup Guglielmo del Monte odpowiedział na przemowę tak długo i uczenie, że ojcu Paschalisowi, trzymającemu oburącz wzniesiony w górę krzyż, stergły (Stergnąć (staropol.) - Ścierpnąć, zdrętwieć) ramiona.

- Mówiono nam - zakoczył legat - że tu barbarzyńska mowa panuje; tym więcej, że nas tak dobitnie, jak demu pojęte słowo wita.

- Słowiacki nie rozumiał mowy tylko niewolniki, a chłopcy karczujące gadają - odparł rycerz.

Stojący obok Jarach spojrzął na nienawistnie, otworzył usta, by coś rzec, lecz zamilkł nie przemówiwszy słowa. Zagryzając konopne włosy usunął się w bok drogi. Nikt nie zwracał uwagi na jego zasępione lico, gdy rycerze siadali na konie i oba orszaki złączono ruszyły naprzód. Ojciec Paschalis opuścił z ulgą krzyż. Rycerz Otto, jadący obok legata, odpowiadał dorzecznie na jego przenikliwe pytania. Franciszkanie podjęli przerwane godzinki, dominikanianie również.

Lecz że popołudnie już było i głód jak demu doskwierał, a biała mulica zmęczona potknęła się raz i drugi, arcybiskup przystał na przedłożenie

baronów, e nale ałoby ju zatrzymaa się gdzie dla wydechu. JadŃ od samego Świtu!

- Mo e by tutaj? - rzekł wskazujŃc rękŃ sporŃ polanę leśnŃ nie opodał drogi.

- Uchowaj Bo e! - zaprzeczył ywo. Otto von Reinbaben. - Gospoda jest o awierą mili niespełna. Tam staniam z zezwoleniem waszej dostojnoŚci. Na tej polance chyba poganin mógłby obiadowaa bez szkody.

- Czemu to?

- Studnia tam jest, zwana "wrota piekieł" - objaŚniał rycerz egnajŃc się - przez jędzony wykopana, któredy diabły miały swój wychód na Świat. Dopiero ksiŃ ę nieboszczyk koŚciół niedaleczko wystawił i uciekły. Ale studnia ostała. Utopiec (Utopiec - topielec, widmo topielca) w niej siedzi. Strach blisko podejŚą i teraz.

- Obaczmy to dziwo z pomocŃ Chrystusa Pana - rzekł arcybiskup. Przystojnym mu się bowiem zdało okazaą w tym obcym kraju moc i męstwo KoŚcioła wobec szatanów.

Brat Hiacynt, franciszkanin, biegł ju od wozów, niosŃc naczynie z wodŃ ŚwięconŃ. Skręcili w las ku polanie. Kupcy zostali przezornie na drodze.

Rycerze i mnisi zdŃ ajŃcy za arcybiskupem oglŃdali się to na nich z zazdroŚciŃ, to z niepokojem i ciekawoŚciŃ na legata, którego twarz była surowa i zamknięta jak zwykle, nie wró Ńca nic dobrego diabelstwu.

Podługowata kotlina uchylała się ku Środkowi niby zapadnięta. Las karłowaciał po brzegach. PoŚrodku nic ju nie rosło, jeno liche łabuzie (Łabuzie (staropol.) - zaroŚła, krzaki) i trawa.

- Tam - wskazał rycerz Otto egnajŃc się ponownie kilkakroą.

Co najŚmielsi zeszli z koni, z legatem na czele. JakieŚ odwieczne cembrowiny, z dała zetlałe, wały się na ziemi. PoŚród nich czerniał otwór niezgłębiony, a ciemny jak serce nocy. Legat prze egnął go krzy em i nastawił ucha.

-aden głos się nie odezwał...

- PoŚwieącie łuczywem - rzekł zaciekawiony.

Brat Hiacynt kopnŃł się z powrotem co duchu ku wozom. Ojciec Paschalis przestępował trwo nie z nogi na nogę i zasłaniał się krzy em, przyciskajŃc zawarte w nim relikwie do czoła. Brat Hiacynt wrócił. ZaŚwiecono łuczywo wszczepione w długi leszczynowy pręt. Gdy nikt nie kwapił się przybli yą zbyt, arcybiskup sam chwycił niecierpliwie łuczywo i pochylił się nad otchłaniŃ oŚwiecajŃc mętnym, kopcŃcym promykiem jej Ściany. Były czarne, szkliste, łupiŃce się równe bryły, niby stopnie schodzŃce do wnętrza ziemi. Arcybiskup przyło ył łuczywo do drugiej ręki i chlapanŃł w głŃb wodŃ ŚwięconŃ. Gdzieś w dole zadrgało leniwe martwe, czarne zwierciadelko wody, teraz dopiero dr Ńcym odbiciem płomyka zdradzajŃc swe istnienie - zgasło i zmarło ponownie.

- Snadź piekło podchodziło a pod samŃ górę i tak ziemię zwęgliło - objaŚniał półszepem rycerz Otto. - Bo węgiel to prawy, wasza dostojnoŚą, smoli jak sadze, a wyrzucony do ogniska płonie, smród ze siebie wypuszczajŃc...

- Nie dbajŃ ju widno diabły o ten chodnik, kiedy go woda zalała -

zauważył brat Gaudenty.

- Woda diabłu nie przeszkodzi.

- Ale dzwony; a powiadają, że kościół w pobliżu.

- Pokazują się tu jeszcze czarty? - zapytał legat.

- Tylko nocami, wasza dostojność, nocami! Zdarzy się, że ksiądz nocy znieobaczka zadzwoni, że tętni po łnie, a skacze w studnię pluskając jak aby. Po zachodzie nikt w tym czasie nie przejdzie.

- Święty Marcjanie, męczenniku, ratuj!

Wpatrzyli się znowu, niby urzeczeni straszliwej tajemniczej ziemi, groźnego Świata przeklętego.

- W takowej studni Święty Patryk miał być odwagę zejść sam jeden, by ludziom opowiedzieć, co jest na dnie - rzekł z cicha legat. W głosie jego był podziw i zazdrość zarazem. A widząc niedowierzające spojrzenia, dodał:

- Jakże! był w czyściecu i piekle. Wszystko widział i opisał. Ka dy by chrześcijanin to samo mógł uczynić, jeno tej Świętej odwagi trzeba i duszy czystej...

Twarda jego, władcza twarz zmiękła, ukorzyła się, posmutniała. Naraz w milczeniu jak śmierą czerni bulknęło coś złowrogo, martwa woda wzdęła się, przysła chlupając ościskając je zębami.

- Utopiec! - krzyknął z przerażeniem brat Hiacynt. - Widać go! widać! wasza dostojność! na Boga!

- Przecierzga się w kaczkę! Wychynie! - wrzasnął cienko ojciec Paschalis.

W pośpiechu stuknął się potęgiem nie w głowę ramieniem krzyknął i pognał na przełaj w ucieczkę. Połowa rycerzy za nim. Arcybiskup wziął naczynie z wodą Święconą z drzewca jak osika dłoni brata Gaudentego i wylał resztę wody w studnię. Potem rzuciwszy jeszcze raz nieulekłym okiem w głąb, odszedł bez pośpiechu do swojej mulicy. Rycerstwo i mnisi dosiadali koni tak śpiesznie, jak gdyby wszystkie złe moce siedziały im już na karkach.

- Dziw, jak drzewiej (Drzewiej (staropol.) - dawniej piekło blisko ziemi pochodziło - mówił ścisłym głosem Otto von Reinbaben, gdy ruszyli. - Na Śląsku mamy kilka miejsc, gdzie parę piędzi podkopawszy, znajdziesz wszystko zwęglone jak tutaj.

- Wielce trzeba waszemu księciu błogosławieństwa i opieki niebios, skoro w takim siedznie jest z szatastwem - odparł legat. A że się już był ze wszystkim opanował, dorzucił z naciskiem: - Zasługiwać się powinien wasz książe Świętej Stolicy Apostolskiej i wszystkie słuszne nędania jej spełniać powinien!

- Byłby nas utopiec wszystkich zdławił mimo jego dostojności modłów i powagi, jenom na pręt leszczynowy łuczywo zatkał, a przeto wyskoczył nie mógł - perorował w tyle brat Hiacynt.

- Wiadomo, leszczyna okrutnie diabłu przeciwna... - potwierdzał siedzący na tym samym mule brat Serwacy, franciszkanin.

Gospoda, przed którą orszak zatrzymał się na dłuższy postój, była to wielka szopa z bierwionem nie struganych zbita dziwnie, bo w osmiokąt

zbudowana, z dachem-posow<sup>Ń</sup> na kształt sklepienia lub kopuły wyniesionym, z belek coraz krótszych, kocami na sobie le<sup>Ń</sup>cych, zakreślaj<sup>Ń</sup>cych w mroku liczne, coraz to mniejsze o<sup>Ń</sup>smiok<sup>Ń</sup>ty, a do w<sup>Ń</sup>skiego otworu w wierzchołku, którym ulatywał dym. Z zewn<sup>Ń</sup>trz wyniosła kopica dachu przykryta była suchym

sitowiem, przyci<sup>Ń</sup>niętym du ymi kamieniami. Okien nie posiadała ta budowla adnych. Wrota wielkie, na jałowcowych biegunach osadzone, skrzypiały za otwarciem przeraźliwie i zapraszaj<sup>Ń</sup>co. W jednej połowie budynku stawiano konie, w drugiej, na starannie ubitej polepie, stały ławy i stoły wsparte na koźlakach wbitych w ziemię. Na samym Środku wielka polepa z nie gasn<sup>Ń</sup>cy

nigdy ogniem odgraniczała czę<sup>Ń</sup>są paradn<sup>Ń</sup>, go<sup>Ń</sup>ścinn<sup>Ń</sup>, od stajni.

Gospodę trzymał ksi<sup>Ń</sup>dz, czyli pleban miejscowy, zwany Pietrkim, syn Jarostów. Tu za gospod<sup>Ń</sup> rozci<sup>Ń</sup>gało się jego pole, starannie uprawne, z zatkniętymi w kilku miejscach erdziami, zwieczonymi czerwon<sup>Ń</sup> szmat<sup>Ń</sup> lub kukł<sup>Ń</sup> ze słomy, maj<sup>Ń</sup>cyymi na celu zwrócić na siebie wzrok obcego przechodnia z go<sup>Ń</sup>ścica, a tym samym uchronią zbo e od uroków, bo wiadomo, e tylko pierwsze spojrzenie jest szkodliwe. Sam pleban był z zawodu bartnikiem, człowiekiem dobrym i prostym. Nie rozumiej<sup>Ń</sup> ni słowa po łacinie, odprawiał mszę Świ<sup>Ń</sup>t<sup>Ń</sup> z przejęciem, zachwytem i trwog<sup>Ń</sup>. Nie w<sup>Ń</sup>tpił, e nieznanne, trudne słowa s<sup>Ń</sup> potę nymi zaklęciami, przywołuj<sup>Ń</sup>cyymi Boga, i kłoni<sup>Ń</sup> się przed ołtarzem przymykał oczy, aby Go nie ujrzą. Natomiast gdy podnosił w górę kielich, ogarniał go radosny podziw, a zarazem duma i odwaga. Ot, on Pietrek, szczytem boskiej chwały zasłania sadyby wsiowe od czartów legni<sup>Ń</sup>cych się w studni na polanie, od latawców, obłoczników i wiłów, od wszelkich złych mocy siedz<sup>Ń</sup>cych na ziemi, pod ziemi<sup>Ń</sup> i w konarach drzew. Powierzonych swej opiece ludzi strzegł jak mógł, gani<sup>Ń</sup>ć porubstwo, u ycie czarów i zwady. Czuj<sup>Ń</sup>ć się odpowiedzialnym za ich zbawienie, baczył pilnie, by Świ<sup>Ń</sup>towali w niedzielę i nie deptali cienia własnego lub swoich dzieci; by umieli nakreślić znak krzy a i nie zasypiali nigdy pod ciosem, którego chłód jest Śmiertelny. Gdy burza nadci<sup>Ń</sup>gała, d<sup>Ń</sup>ł w wielki, prastary róg, by rozproszą grad. Boga chrze<sup>Ń</sup>ścijaskiego gorliwie miłuj<sup>Ń</sup>ć, przej<sup>Ń</sup>ł w najlepszej wierze większo<sup>Ń</sup>są obowi<sup>Ń</sup>zków i zwyczajów dawnych po<sup>Ń</sup>średników między bogami a ludem. Świ<sup>Ń</sup>cił maiki, kołacze i jaja na Wielkanoc, a ogie i wodę na Św. Jana. Pozdrowiał słoce i miesi<sup>Ń</sup>ć wołaj<sup>Ń</sup>ć: "A witaj e nam, nowie! Na szczę<sup>Ń</sup>ście, na zdrowie! Przez moc Chrystusa Pana!" Wraz z parafianami swymi wierzył Świ<sup>Ń</sup>cie, e kukulka zmienia się co trzeci rok w kanię, krogulca, na koniec w jastrzębia, e pszczoły maj<sup>Ń</sup> duszę nie<sup>Ń</sup>śmierteln<sup>Ń</sup>, człeczej równ<sup>Ń</sup>. Łagodnym i słodkim bę<sup>Ń</sup>ć, nie pochwałał tylko starego prawa, wedle którego złodziejowi schwytanemu na szkodzeniu pszczołom wyrzynano pępek i oprowadzano naokół barci, dopóki by po własnych

swych wypadniętych wnętrzo<sup>Ń</sup>ściach nie deptał.

Teraz, na odgłos dzwonek, tupotu licznych kopyt i brzęku ostróg, wybiegł co ywo przed gospodę, niechaj<sup>Ń</sup>ć bronowania roli zeschl<sup>Ń</sup>ym wierzchem Świerka. Za nim wybiegali dwaj pacholcy obro<sup>Ń</sup>śnięci jak niedźwiedzie, z wnętrza gospody wysun<sup>Ń</sup>ł się brat franciszkanin, tak obdarty, chudy i

wypełzły, jak gdyby był zawieszony z dawna na Męce Paskiej szmaty, oraz stary "pielgrzym zastępczy", czyli furgenger, peregrynant, imieniem Placydus, w sztywnym płaszczu. Wszyscy stanęli przed gospodarzem, z rozdziawionymi gębami patrząc na podjeżdżających. Na widok franciszkanów wypłowały brat Julianus klasnę rękami radośnie i nie bacząc na dostojne otoczenie podskoczył ku nim.

- Fratres minores? (Fratres minores (łac.) - bracia mniejsi, franciszkanie) - zapytał drąc z uciechy.

- Minores minimorum, ioculatores Dei (Minores minimorum, ioculatores Dei (łac.) - mniejsi od najmniejszych, kuglarze Boga) - odparł brat Hiacynt zeskakując z muła. Padli sobie w objęcia, ściskając się ze śmiechem i całując, niby spotykający się wreszcie po długiej rozłące bracia.

- Huczno i wesoło wchodzili rycerze do szopy. W mig pacholcy zasłali dla legata ławę wydobytych z tłumoków kobiercem. Kupcy roztasowali się wokół wozów przed gospodarzem. Placydus peregrynant siadł w kącie na ławie naprzeciw legata, ze spokojną godnością człowieka, który już trzy razy był w Ziemi Świętej, obecnie zaś wędruje tam po raz czwarty, i to w zastępstwie nie był panoszą, lecz dostojnego falcgrafa (Falcgraf (z niem.) - władca niemieckiej prowincji) reskiego, którego wotum (Wotum (z łac.) - uroczyste zobowiązanie, ślub) pielgrzymki jako ekspiację (Ekspiacja (z łac.) - pokuta) za utrudnienie małżonki swej zrobił. Dziwaczny, muszlami i skorupami naszyty płaszcz chrześcijański za każdym ruchem furgengera. Na piersiach nosił on relikwiarz zapewniający ogólną cześć i szacunek. Pleban Piotr krzyknął się wśród ław w gorliwej usługę, ściągając wędzone mięso, wiszące pod dachem, dorzucając do ognia co najsmolniejszych gałęzi. Legat z niechęcią spoglądał na jego głowę jaśniejącą monetą tonsury.

- Wszędzie po drodze widno, a plebany w gospodach szynkują. Szpetny to zwyczaj - rzekł ostro. A gdy pleban nie zrozumiał i ze zdziwieniem patrzył na modrymi jak chabry oczyma, skinął na rycerza Ottona, by mu te słowa przełożył.

Zmieszany i szczerwieniwały ksiądz błękał nieśmiało, a zazwyczaj niewiasta jego tu siedzi. On sam doświadczył ma roboty przy barci i księ owskim zajęciu.

- Macie one? - zapytał krótko arcybiskup.

Pleban rozjaśnił się i o skłopotaniu zapomniał. Jak e? Ma! Dobry, robotny, Nowajka już wołają... Ma pięciu synaczków... szumne chłopcy, a równych w dziedzinie nie poświęcą. Trzech się na księ przyucza i do mszy Świętej już słuchają...

- Ninie wyszedł w Rzymie edykt (Edykt (z łac.) - akt prawodawczy, rozporządzenie władzy), a księ om nie lza mieć niewiast - rzekł surowo legat.

Pleban spojrzał nie rozumiejąc - mimom tłumaczenia.

- Księ om nie lza się enią - powtórzył legat twardo. - Jako mnichy mają ją. Tak Ojciec Święty rozporządził.

Pietrek Jarostów stanął oszołomiony, mrugając bezradnie powiekami.

- A którzy białki (Białka (staropol.) - niewiasta, ona) mają, co poczną?  
- odważył się zagadnąć nieśmiało.

- Wygnaj precz. Dziecka splodzone, podobnie bulli (Bulla (łac.) - urzędowy

dokument papieski wydawany w sprawach wielkiej wagi) nie otrzymano, za prawe, późniejsze za nieprawe będą rozumiane.

Z załamanymi rękoma, w osłupieniu zupełnym, pleban stał patrzeć w legata wzrokiem tak błagalnym, pokornym i zrozpaczonym, a arcybiskup obruszył się gniewnie:

- Có tak pozierasz, a mierzi człowieka!

Więc nieborak obrucił się struchlały, usługując jak poprzednio szlachetnym gościom. Wszystko leciało mu z ręki, a rycerze pokpiwali głośno, gdy lał piwo z dzbana na stół miast do czarki. Serce dygotało niepokojem. Wygnał Nawojkę, dobrą krzepką towarzyszkę? Jak mnich mieszkał

pośród puszczy, bez dzieci i ony? Za co? Có przegrzeszył? A przyszło mu na myśl, a Bóg wielki i potężny, którego unosił co niedziela w kielichu ku górze, nie dopuści podobnej krzywdy, i uspokoił się nieco, obiecując sobie przy pierwszej sposobnej porze zwrócić się do biskupa o radę i wyjaśnienie. Tymczasem z ukosa, nieufnie, poglądnął na obcego, straszliwie mu tego i groźnego widno pana, który tak wieś okłętą wyjął z zanadru. Lecz Legat, zajęty czym innym, nie zwracał już na niego najmniejszej uwagi. W pobliżu ogniska, na ziemi, siedzieli razem franciszkanie i dominikanie, słuchając z uwagą. Wyędzniały brat Julianus prawił im coś słowo, machając rękami, kuląc głowę i rozglądając się z obawą dookoła. Dosłyszane strzępy wiedzionej po włosku rozmowy zaciekały legata. Skinął na mówiącego dłonią.

- A chodź no tu bliżej, frate (Frate, frater (łac.) - bracie)!

Gnając się i kurcząc, trwożliwie oskubując chudymi palcami wystrzępiony brzeg burej opoczy, przysunął się brat Julianus. W ptasich oczach miał zadawnione, nieustające przerażenie. Spętałe źrenice biegały wkoło niespokojnie jak złowione myszy, ślizgały się po otoczeniu i spłoszone uciekały pod powiekę.

- Coś tam braciom opowiadał?

- Mnich spojrzął na mówiącego bezmyślnie i milczał.

- Brat Julianus w Kijowie był - objaśnił brat Gaudenty podchodząc. - Srogie rzeczy opowiada, a ja się wszyscy lituję...

- W Kijowie? - zastanowił się arcybiskup. - Pomnę: gród chrześcijański, ruski, który zniszczyły Mongoły?

- Mongoły, wasza dos...

Urwał, bo brat Julianus zaskomlał, zawył nieludzkim skowytami, zaniósł się szlochem piskliwym.

- Zniszczyły! - powtórzył. - Wszystko zniszczą, utrupią, umartwią!

Antychrysty jedne! Szatany mocne, przemocne! Nikt ich nie zadziery! Nikt!

Zniżył głos szepcząc przejmująco:

- I tu przyjdą! Chrześcijaństwo zławią! Nikogo żywią nie będą! Szedłem od nich dziesięć roczków po lasach się kryjąc... A one sporo idą, sporzej niżli ja... już pewnikiem blisko podeszły... A moją duszę! - wrzasnął nagle przeraźliwie i przypadł pod ławę.

- Kielbie we łbie - mruknął arcybiskup. - Macie kogo słuchać!

Brat Gaudenty wyciągnął spod ławy obłąkanego.

- Bracie Julianie - rzekł - grzeszysz takim gadaniem. Zadziery Mongołów,

skoro zechce, Chrystus Pan...

Mnich mrugał oczyma, marszcząc czoło z natężeniem.

- Nie! - krzyknął. - Nie zadzieraj! A wiesz czemu? Bo Chrystus Pan nam nierad... Nierad Kościołowi swemu... I Mongoły przyjdą! przyjdą! przyjdą!

Wzruszając z politowaniem ramionami legat wstał, ziewając, i wyszedł przed gospodę. Kupcy drzemali. Pacholcy wyskrobywali chciwie kociołek z jadłem. Konie gryzły z chrzęstem siano dzwoniąc łacuskami. Ślński rycerz, Jarach, syn Klimów, zawołania Zambora, siedział sam jeden pod Ścianą patrząc chmurnie w las. Na widok jego dostojności wstał.

- Srogo tu puszcze - zwrócił się do niego legat po niemiecku.

- Ano.

- Zbójów, powiadają, siła. Jak e będziemy wracać z pieniędzmi, skoro nam księż, jako nie wątpię, wypłaci?... Strach...

- Księż pan przydadź drużynę.

Legat poruszył się niespokojnie.

- Trafiło się raz w Niemczech - rzekł od niechcienia - niewiarygodne zdarzenie, e rycerze przydani dla obrony sami jako zbójce skarb zabrali...

Lico Jaracha skurczyło się jak pod obelgą.

- Mo eś u Niemców takie obyczaje, ale nie u nas...

Mamrał pod nosem grube i gniewne wyrazy, lecz legat rozpogodził się od razu, bo znawca dusz ludzkich będąc, poznał, e oburzenie rycerza jest szczere.

A Jarach zgorlił się (Zgorlią się (staropol.) - obruszy się) i porzuciwszy zwykłą małomówność prawil:

- U Niemców... wiera! Tamci swej czci nie szanują... Ale tu jest polski, Ślński kraj, całkiem od niemieckiego różny...

Spojrzał nienawistnie ku wnętrzu, skąd dolatywał pogwar głośnej rozmowy rycerzy i pobrzmiwał tubalny śmiech Ottona von Reinbaben, po czym dodał z naciskiem:

- Inakszy ród Niemce, inacszy Ślńczaki. Niepodobne k'sobie, jako woda z ogniem...

- Tak? - rzekł legat z roztargnieniem. - Czemu tedy wasz księż listy do Stolicy Apostolskiej po niemiecku pisze?

Rycerz podniósł ramiona do góry.

- A Bóg raczy wiedzieć, czemu - mruknął gniewnie sam do siebie, bo legat zawrócił był do izby.

U wejścia uderzyło we strapione, spłoszone wejrzenie plebana Pietrka. Siadłszy na zasłanej kobiercami ławie, wsparty plecami o wypukłe bierwiona, arcybiskup Guglielmo del Monte zamyślił się głęboko... Tak, niewątpliwie, zarządzenie Ojca Świętego było słuszne, arcyśluszne. Nie ma co zwracać uwagi na ale tego prostaka. Wolni od on plebani wy si będą duchem, swobodniejsi. Z dawna ju nawoływali do tego bracia z eremów (Erem (gr.) - pustelnia). Mał estwo jest lepra moralis (Lepra moralis (gr.-łac.) - trąd moralny), zło konieczne, i słudzy bo y winni być wolni od tej troski, zbyją natury cielesnej, jak Św. Bernard zaleca.

Uspokoił się zupełnie i ju twardym, pełnym własnej słuszności nakazem wzroku pogardliwie precz odrzucił potulne spojrzenie. Sam niechętny był



yciu i dziw go brał, e ludzie takń wagę do przykładajń. Za młodu gorńco pragnń byą doskonałym i Świątym, ze szczerym upodobaniem powtarzajńc słowa

Innocentego III (Innocenty III - papie (1160-1216) obrany w 1198. Jego pontyfikat był najwy szym punktem potęgi papiestwa): "Umieramy yjńc, a zaczynamy dopiero yą - umierajńc". -ycie oddaliło go od tych marze. Zbyt wiele trosk spoczywało na jego dostojnej głowie kolektora Stolicy Apostolskiej, by mógł swobodnie oddawaą się myśłom o zbawieniu duszy. Ha, trudno! Chrystus Pan dał Św. Piotrowi dwa klucze, tak rozumiejńc niechybnie, e jeden jest od władztwa niebieskiego, a drugi od władztwa ziemskiego. Trza strzec obu. Zewszńd na Kościół podnoszń się wrogi: cesarz, heretyki, begardy (Begard (z fr.) - członek sekty dń Ńcej do osińgnięcia doskonałości ewangelicznej), humiliaty (Humiliat (z łac.) - członek sekty oddajńcej się praktykom pokutniczym)... Trza przeto o mocy ziemskiej krzepko, przede wszystkim innymi sprawami myśleą...

- A ja wam prawie, co przyjdń! Przyjdń, kiedy zechcń! - zaskomlał w przeciwnym kocu gospody brat Julianus tak dominujńco, e arcybiskup a drgnńł. - Przyjdń, bo Chrystus Pan nierad Kościołowi swemu! Przyjdń! przyjdń! przyjdń...!

## 6

Prom na Odrze, pełen ludzi i wozów, miał ju odbijaa od brzegu i półnadzy przewoźnicy wparli silnie erdzie w muł nadbrze ny, gdy spóźniony jedździec, zdń ajńcy z góry, zawołał:

- Postójcie! Ady postójcie!

Sfolgowali w napięciu, grzebiąc tylko żerdziami w wodzie, by się prom nie odwrócił. Jarach, syn Klimów, zjeżdżał samotwór z pachółkiem ze wzgórza. Na brzegu zeskoczył z konia i wwiódł go ostrożnie na belki, między którymi chlupotała woda.

- Możecie jechać - rzucił przewoźnikom, oddając wodze pachółkowi.

Prom gibnał się lekko, ugiął i wypłynął ku środkowi rzeki. Woda stukała szybko, miarowo o burty. Jarach rozejrzał się wokoło i rozjaśnił. Nie opodal niego siedział na burcie, zapatrzony w bystry nurt, Konrad, księcia Henryka Brodacza pierwotny. Był to mąż barczysty, w sile wieku o chmurnym, choć urodziwym obliczu. Nosił długie wasy i krętą, wysoko podgoloną czuprynę. Ten ostatni zwyczaj właściwy był domowi panów Piastów na pamiątkę

Kazimierza Mieszkowskiego, zwanego Odnowicielem, co w klasztorze niemieckim

został w mnichy postrzyżon. Też samej pamiątki, a zarazem przynależności do książęcego domu oznaką była biała, lniana chusta, związana na szyi. Co prawda, to jeno ten strzyżony kark, węzeł chusty i krótki mieczyk przy pięknie miedzią nabijanym pasie zdradzały godność książęcą, gdyż poza tym odziany był zwyczajnie, choć zasobnie.

Jarach zostawił konia pachółkowi i precisnął się między wozami ku siedzącemu.

- Bywajcie zdrowi z Panem Jezu Krystem!
  - Bywajcie w zdrowiu, Jarach - odparł krótko książe.
- Siedli milcząc obok siebie. Obaj zarówno radzi się widzieli, lecz gadatliwi nie byli.

Mimo starań przewoźników prom okręcał się, znoszony przez prąd. Brzegi rzeki zsuwały się to oddalały. Opustoszałe gniazda brzegówek, podobne do woszczyzny, czerniały w pasiastym podglebieniu, ujawnionym przez ostry obryw wody. Korzenie rosnących górą drzew maczały w rzece długie kosy, zawiłą płataniną pławin (Pławina - gałąź), żył i ścięgien boru, a drewniane, pękate pływaki ukazywały miejsca, gdzie zanurzone były sieci.

- Legat przyjechał? - zapytał nagle książe.
  - Ano.
  - Kaj stanął?
  - W biskupowym dworcu. Jutro będą z nim książe pan gadali...
  - Siła ludzi z legatem?
  - Siła. Kupce i nobile (Nobil (łac.) - szlachcie).
  - Gdzie jedziecie?
  - Do Spicyryna wójta na zrękowiny.
  - Ja też; pojedziem razem.
- Jarach otworzył usta i spojrzał zdziwiony.
- Co się dziwicie jak sroka?
  - Nie będziecie jurto w zamku?
  - Nie.

Jarach zamilkł i spojrzał obojętnie na wodę, na znak, że nie jego rzecz mieszać się w te sprawy, po chwili jednak rzekł ostrożnie:

- Książe pan naisto (Naisto (staropol.) - na pewno) nie będą radzi...
- Henryk za nim stanie, to i dość...
- Wyście starsi...

Konrad wzruszył ramionami i zmilkli obaj na dobre, rozglądając się leniwie po promie. Ludzi było na nim dużo, bez mała pół kopy. Przy małych drewnianych wózkach, w krowę zaprzężonych, o orczyku przywiązany łykiem wprost do osi, stali chłopci nadodrzańcy, Ślązaki. Mieli przyodziewek z płótna, czapki baranie i spokojne łagodne wejrzenie. Brzegiem - skulone, w wytartych, włosom do góry wywróconych kozuszkach - siedziały cichcem największe biedaki puszczańskie i wsiowe; zbieracze czerwiu o palcach stwardniałych jak sęczki i zbieracze manny z wielkimi przetakami zawieszonymi na plecach.

Za ich cierpliwą gromadą rozpierały się, zajmując cały środek promu, dwa obce wozy, założone w konie, z dyszlem okrutnym, zwanym oje, pełne dzberów (Dzber - ceber), trzopów (Trzop - skorupa, garnek), szkudłów (Szkudel - gont) i wszelkiego sprzętu domowego. Kilka krów stało obok, otoczonych kupą rozprawiających ludzi. Po obcisłych kaftanach z kapturem i spiczastych, wąskich czapkach snadno było poznać że to sprowadzone przez księcia pana osadniki, Niemce. Szwargotali głośno między sobą, wodząc wypukłymi, bladymi

oczami po rzece, na której zachodzące słońce układało złoty most.

Książe Konrad spojrzał na nich i mruknął coś niezrozumiale, na co Jarach

odpowiedział podobnym chrząknięciem. Myśli ich poszły równolegle. Rozumieli się najdoskonalej.

- Nowi?

- Nowi widno. Bodaj ich ziemia zeżarła!

- Na wieki...

Woda pluskała miarowo tuż pod ich stopami.

- Człek ze zamku ucieka, by niemieckiej mowy nie słyszeć, ale snadź nikandy przed nią nie zbieży.

- Hej! więcej ich już pono niżli nas!

Prom uderzył o pale przy brzegu, stuknął, zakołysał się Ogier książęcy cofał się w tył, spłoszony, ciągnąc za sobą pachółka. Lecz już przewoźnicy, wyskoczywszy na brzeg, zakładali wilkinowe pęta na kołki sterczące z mułu. Książę i Jarach dosiedli koni i wraz z pachółkami zniknęli w lesie. Reszta wylądowywała się z trudem, patrząc za śmiałkami z podziwem. Oni mieli tu na brzegu obozować do rana, paląc suchy ogień, na czterech rogach zatykając pręty leszczynowe. O zachodzie jechać w puszcę? Chybaby ktoś chciał szukać rozmyślnie biedy...

Obaj rycerze jechali z wolna ścieżką przebraną wśród gęstwiny, znaczną śladami kopyt na rozmiękłym gruncie. Opar wieczorowy szedł im naprzeciw, ogarniał. Wielkie jak przetaki liście paproci, o grubych dudach miast łądyg, sięgały grzbietu końskiego. Co młodsze z ich pokolenia, zaledwie wzrosłe, wystrzelały z ziemi skurczone jak krzywula (Krzywula - pastorał biskupa lub zaciśnięta w gniewie pięść. Że była ich tu mnogość wielka, przelotnemu spojrzeniu księcia wydało się, że to puszcza wyciąga k'niemu dziesiątki walecznych ramion.

W zwartym częstokole drzew przeważały jedle, choć nie brak też jaworów, brzostów (Brzost - rodzaj brzozy) i jesionów. Buki migwały skrętem srebrnych pni, znaczonych ciemnym plastrem mchu, i sypały bezszelestnie ulewą prześlicznych, drobnych koralowych listków. Mrok kradł się w puszczy, więc bliskie bajora i moczydła pełne były wrzawy ptasiej, nurkania, pluskania kaczek i gęsi, z północnych stron na zimę tutaj przybyłych. Obaj jadący chylili się nisko nad końską grzywą, wzrokiem zamiłowanych łowców badając pilnie widoczne jeszcze na rozmiękłej ziemi tropy. Jaki zwierz z chrapem i fukiem przeszedł ścieżką ludzką, poślizgnął się na koleinie łękliwą racicą? Gdzie zapadł? Kędy wyjdzie do wodopoju? Spoglądali na siebie porozumiewawczo, kiwając z uznaniem głowami nad rozmiarami odcisku żubrzej

racycy lub głęboką zadrą kory, gdzie ryś ostrzył pazury. Nie zamieniali ani słowa. Małomówność była tym razem nie tylko wynikiem ich uosobienia, lecz nakazem chwili: kto by po zachodzie słońca gadał w puszczy, a jeszcze broń Boże, hopkał - może być pewien, że odpowie mu nie towarzysz ale dziad leśny, lichy zły i przykre, co gwizdząc skacze z jednej choicy na drugą, a tylko czeka, by się do kogo przyplątać.

Noc już była w boru, gdy nieoczekiwanie doleciało ich ochryple i zajadłe ujadanie psów. Droga rozszerzyła się, zaszklila kałużą. Po obu jej stronach świeciły gęsto drzewa, obdarte z kory na wysokość chłopa; po usunięciu

miano je spalić i wykarczować.

- Szumną będzie miał nowinę wójt - zauważył Jarach, spoglądając na jaśniejące szeregi obdartych drzew.

- Ten ci sobie głowy niczym nie mroczy, nie frasuje się - odparł ksiązę.

Mogli już mówić bezpiecznie. Żadnego licha nie było w pobliżu. W przeciwnym bowiem razie psy wyłyby, a nie ujadaly.

Parkan wychynął z cienia, zagroził im drogę. Potężny parkan, wzmocniony pochyłymi podporami z grubych śniatów (Śniat (staropol.) - kłoda, pień). Nie wdrapałby się nań niedźwiedź. Mógł i tur przyjść czochrać się nocą, skoro go zaswędziły zrudziałe kudły. Górą, na żerdziach, sterczały w równych odstępach czaszki końskie, bielejące wyszczerzonym, łysym kształtem, od wielkich czarów broniące.

Na wprost drogi była brama, z daszkiem, zasunięta dwiema belkami od wnętrza. Psy ujadaly zaciekle, drapiąc pazurami o deski. Pacholek zeskoczył z konia i jał kołatać do bramy.

- Zaś kto? - warknął od środka wartownik.

- Pan a pan Konrad, Henryków syn, i Jarach, syn Klimowy, zawołania Zambora.

Człek pobiegł, aż ziemia zadudniła, i po chwili dwóch ludzi mocowało się z psami, odsuwając zarazem pośpiesznie zakładające bramę belki. Rycerze wjechali na dziedziniec. Pełen był ludzi i rozkulbaczonych koni. Pośrodku leżała góra zwierzyny świeżo ubitej na szczęście dla młodych. Zapach pieczonego mięsiwa rozchodził się od ogniska. Już naprzeciw gościom szedł żywo z łuczywem, podniesionym w ręce wysoko, panosza Spicymir, syn Mierzejów, wójt dziedziczny zaodrzańskiej. Długie, tłuste włosy okalały jego dobrodusze lico człowieka, który istotnie nie lubił się niczym frasować.

- Witajcie, gospodynie (Gospodyn (staropol.) - pan, gospodarz), i wy, Jarachu Klimowy - rzekł śpiewnie. - Prosimy pięknie na chleb i sól, na kołacz z twarogiem i na społeczną uciechę.

- Zjechalim do was z chętnym sercem na gościnę - odparli obaj rycerze.

Powiódł ich ku domowi.

Dom był obszerny, z brwion na zrąb puszcanych składany, o szparach utkanych mchem z gliną i maleńkich okienkach bez szyb, zasuwanych drewnianymi zaworami. Tak niski, że silnie wykapiony, wysoki dach zdawał się dotykać ziemi. Wielka sień szła na przestrzał domu, nie pokryta pułapem. Z obu jej stron stały drabiny służące do wejścia na strych, skąd pachniało siano.

W głównej izbie, dokąd wójt prowadził gości, prątki piskorzowe (Prątki piskorzowe - piskorze suszone służące do oświetlania) paliły się wprawdzie mdło, lecz suty ogień na kominie przydawał światła. Dym snuł się i wił pod ciemnym pułapem, ginął w chruścianym, gliną wylepionym otworze, idącym wskroś strychu na dach. Stół na krzyżalach, święty, szanowany, łyśkał pod światło dobrze wyszorowaną powierzchnią. Na białym ręczniku leżał na nim chleb, stały brzuchate gliniane dzbany z piwem, starą modłą ozdobione odcisniętym kilkakrotnie sznurem, małe, drewniane skopki i czarki skórzane, podobne z kształtu do kozubków, które dzieci latem wycinają z kory. Pachniał mocno jałowcowy dym, kozuchy baranie i zioła. Huczał zmieszany

gwar głosów.

Choć właściwie zrękowiny miały być sprawiane dopiero za cztery dni, gości już było niemało. Przed paru godzinami zaledwie wrócili z dwudniowych łowów

i dymili zmęczeniem, ochotą myśliwską i potem. Na widok książęcego syna podnieśli się z ławy z godnością. Pierwszy Dobrogost, syn Bazylego, człek dumny, zuchwały, zawistny. Że go książę Brodacz zeszłego roku nie zrobił danym (Danny - wasal, lennik), jeno Niemczyka Lutdolda, wątroba gnije w rycerzu ze złości. Pobok Dzierzek, syn Przybysławów, chudy, wysoki, pochylony wprzód; srogi w gębie, ale ludzie gadki prawią, że boi się swojej niewiasty Lubochny. Z nim milczący Jędrzej, syn Szresza. Nim słowo rzeknie, dwa razy je przeżuje, nazad w grdykę cofnie, jeszcze pomyśli i dopiero albo powie, albo nie. Ale gdy rzeknie, to twardo i opocznie, że możesz na tym polegać. Nie tak jak na słowie Prosimira, syna Prosza. Ten gada dużo, zawdy potakując temu, co najgłośniej prawi, a trafia się, że zapomni jutro, czemu tak przyświadczał wczora. Jest i Słup, syn Domaśława, chytry lis. Okiem łypie, gdzie większa korzyść wypadnie, syna na biskupa uczy. Przy nim maluta Przeclaw, syn Uniemirowy, podłego rostu, ale krzepkiej pięści. I cała kupa innych dobrych wojów. Odziani wszyscy dostatnio, w ludzkie sukna albo kubraki skórzane. Długie włosy spływają na tęgie ramiona, szczękają krótkie miecze u pasów. Szerokie barki; więzłaste ręce pełne krwi gorącej, czerwonej, niezwykłej długiego myślenia.

Po wzajemnych powitaniach i pokłonach zasiedli z powrotem na ławach, kąć uściwy, czyli poczystny zostawiając księciu. Gospodyni, okryta lnianą łoktuszą (Łoktusza (staropol.) - płachta, prześcieradło), wyniosła misę z mięsiwem i kołacz dla gości. Przez uchylone drzwi z mroczonej głębi sieni wyglądała jej córka, Ofka, zawita prawie po oczy. Z błyszczącymi oczyma i śnieżnym nałęczem (Nałęcz (staropol.) - chusta na głowę) na głowie, podobna do bogini Mokosz, co lnu i konopi strzeże. Na przegubach dłoni dziewczyny brzęczały bransolety rogowe, dar przyrzeczonego, wypolerowane pięknie - wewnątrz laseczką leszczynową maczaną w piasku, a zewnątrz skrzypem. Chichocząc z cicha, udawała, że nie spogląda w tę stronę, gdzie szczęśliwy i dumny storzył się (Storzyć się - puszyć się) przysły zięć Spicymirowy, Mojko, syn Mojka, pierwszy raz zasiadający między starszymi wojami jako mąż stateczny i osiadły.

Dzwoniąc arabskimi i bizantyjskimi monetami, zwisającymi potrójnym sznurem na piersi, gospodyni postawiła przed gośćmi mięso, pszenny placek, dzban piwa i paradne kubki cynowe. Potem podjęła gospodynowego syna pod kolana i wyszła zawierając starannie drzwi za sobą. Mojko Mojków oderwał od nich z żalem wzrok, zwracając swą rumianą gładką twarz ku siedzącym. Dym wirował leniwo długimi pasmami, układającymi się spokojnie w równe koła i warstwie. Huczne, wesołe pogwarki łowieckie, tętniące co ino u pułapu - zmilkły. Posępne lica przybyłych zmroziły rozmowę. Patrzono na nich w milczeniu, wyczekująco. Spycimir kręcił się niespokojnie. By to kto inny przybył, nie przysły pan Ślaska, wnet by mu przypomniał, że nie godzi się i grubo jest na zrękowiny z licem usmolonym troską zjeżdzać, niby na pochówek.

Książę jadł chciwie, w milczeniu. Nagle odsunął misę i rzekł:

- Znów dwa wozy Niemców przyjechały...

- Wiadomo - odparł Słup - to spod Bambergu nowe osadniki są.

- Dojadły tak, że ścierpieć nie lza (Nie lza (staropol.) - nie można)! - ciągnął z gniewem książę. - Gdzie kij rzucisz, Niemca trafisz, a książę ociec coraz nowych a nowych skludzają (Skludzać - sprowadzać, ściągając)...

- Ano - potwierdzili jednogłośnie Dobrogost Bazylów i Słup.

Spicymir zaklął w duchu, zeżłony. Więc znów o to samo! Okłete Niemce, to prawda, bodaj im wątpia wygniły! Ale w zrękowiny nie ma potrzeby truć się nimi. To dzień wesela ma być, nie frasunku. Dojadły wszystkim, owszejki, ale po co o tym gadać? Wždy nielubość Konrada ku Niemcom z dawna każdemu wiadoma i znana.

Ale Dobrogost, łowczy, wykrzywił szyderczo gębę.

- A niechta skludzają - parsknął - moiściewy! Na co potrzebne Ślązaki? Chyba, by z nich ten ostatni łupież (Łupież (staropol.) - skóra) zedrzyć... Na kasztelu (Kasztel (wł.) - zamek, nieduża twierdza. Siedziba kasztelana) Niemce... Na urzędach: podstoli (Podstoli - urzędnik dworski usługujący przy stole królewskim lub książęcym) - Ulryk Niemiec, danny - Lutdolf Niemiec, miecznik - Walter Niemiec...

Wszędy Niemce!

- Wszędy Niemce - powtórzył jak echo Prosimir. - Kopa lat nie zejdzie, a Śląsko niemieckim się stanie...

- Niedoczekanie! - warknął Konrad odsuwając misę.

- Oj, doczekanie, bo kto co poradzi?... - cedził łowczy patrząc na księcia, jakby zarzucał wędę.

Lecz książę milczał patrząc chmurnie w ogień. Małomówny Jędrzej, syn Szresza, przełknął parę razy głośno ślinę, zafalował grdyką i rzekł pojednawczo:

- Przeto pewnikiem książę pan skludzają Niemców, że są mądre a sposobne...

- Ano - potwierdził skwapliwie Spicymir - książę pan chcą Śląsko ustroić szumnie (Szumny (staropol.) - bogaty, okazały) a ubogacić...

- Co nam z tego? - wybuchnął nagle Konrad. - Wolej (Wolej (staropol.) - raczej) nie widzieć owych pożytków i grodów, a Niemców nie znać. Kocur nie sprzyja psu, Ślżakowi Niemiec. Nie trza ich tu. Wolej, by ostało jak drzewiej... Wszystko jako drzewiej... Obyczaj ojców dobry był...

- Ano - powtórzył z przyzwyczajenia wójt.

- Dławią Ślżaków, że groza - zauważył milczący dotychczas Dzierzek. - Z kmiecia dziesięcinę na kościół i kasztel ściągają, a Niemiec na prawie swoim siedzi i o nikogo nie stoi, a panoszy się.

- Dziepro (Dziepro - dopiero) na próg go puściłeś, jak całą chałupę zabrał - dorzucił Słup Domasławów.

- Kto im poradzi? - zwątpił z westchnieniem Jarach Klimów. - Kto nas sprości (Sprościć - wybawić, wyzwolić)?

- Każdy by poradził! - zakrzyknął gorąco łowczy. - Jeny w kupę kmieciów a włodyków wziąć i tę zarazę precz wygnać! Czego jeśli nie uczynim, ino

patrzeć, jak sietniakami (Sietniak (sietny) - słaby, lichy) ostaniem!...

- Wygnać Niemców! - powtórzył Prosimir, syn Prosza.

Wpatrzyli się wszyscy w księcia, strapieni i urażeni tym, że milczał. Zawdy na Niemców narzeka, a oto oni go pchają, miecz kładą w garść, podgrzewając słowy, on zasię siedzi jak niemy.

Rozumiejąc to spojrzenie Konrad Henryków zacisnął pod stołem potężne pięści, aż palce trzasnęły, i rzekł głucho:

- Wygnać Niemców lekka by to była rzecz, ale wojnę wszczynać ciężko...

Jarach Klimów kiwnął głową.

- Wiera, ośca trza szanować - przyznał.

- Nie o szanowanie ośca idzie, ale władzy - odparł krótko Konrad.

Tego nie rozumieli z goła i patrzyli weń czekając, że odpowie i wyłoży, co chciał rzec, ale on zamilkł znowu, splatając w męce z chrzęstem i rozplatając palce. I on miał w żyłach czerwoną, gorącą krew, nie lubiącą długich dumań, a nienawidził Niemców bardziej niż kogokolwiek. Nienawidził dniem i nocą, w izbie czy w polu, nienawidził okrutnie, zaciekle. Wygnać Niemców - stanowiło od dzieckich lat najmilsze marzenie jego duszy.

Oczyścić Śląsko - niech będzie raczej ubogie i ciemne, ale swoje. Co mu tam ociec i brat! Dawno ich już obżałował, dawno sobie to wszystko obmyślił.

Lepszej sposobności nie znajdzie, by z panoszami statecznie tę sprawę ogadać, a oto w ostatniej chwili lęk go jakiś obleciał niemęski.

Gdy jechał co ino przez puszcę, zmora się znadź uczepiła i za pazuchę wmotowała. Strach, strach przed wznoszeniem ognia w domu usiadł na piersiach i gniece.

Patrzą z urazą zdziwioną panosze na rozmysły książęce, trącają się łokciami z niechęcią. Nie rozumiejąc nic z goła. Prostaki są, gdy jego dziadów od dwustu lat i więcej Bóg włodarzami (Włodarz (staropol.) - władający, panujący) narodu postawił. Nie mogą pojąć ich umy (Um (staropol.) - rozum) włodycze (Włodyka - ubogi szlachcic), przecz książę się waha.

Jędrzej Szreszów patrzył na niego badawczo, kiwając głową i mamląc w ustach wyrazy. Wreszcie wykrztusił:

- Kiej się tyła trapią, niechajby poszli poradzić się wieszczby...

- Nie ma już wieszczunów (Wieszczun - wróżbiarz, przepowiadający przyszłość)... - westchnął książę.

- Jeździłem po onego legata - podjął nagle Jarach - ale jakby mnie drugi raz książę ślali, zdechnę raniej (Raniej (staropol.) - wcześniej), a nie pójdę... Niech se samych Niemców ślą... Dosić się człek wstydu nażarł...

- Która z wami jeździł?

- Otto van Reinbaben... ten gruby... Prawi do legata: "Tylko niewolnik a smerdy (Smerda (staropol.) - chłop służący) śląską mową gadają..." Ażem się zgorlił. Powiadam onemu legatowi: "Tukiej Ślązaki, nie Niemce..." On zasię: "To czemu wasze książę po niemiecku listy pisze?..."

- Słusznie rzekł - przerwał konrad. - Sami się Niemcami czynim z dobrawoli...

Złość go straszliwa ogarnęła. Grzmotnął pięścią w stół, aż zakołatały dzbany, i krzyknął:

- Na Krystusa i bogi pogańskie! Jaką na to radę naleźć?
- Włodyków skrzyknąć... - podszepnął lowczy.
- Wieszczunów się poradzić...
- Kany ich szukać?...

Strapiony wielce Spicymir szybko, nieznacznie gładził ręką brzeg stołu, szepcząc półgłosem zakłęcie, by chowaniec-skrzat mieszkający w stole nie uraził się porywczym zachowaniem księcia.

- Siła była luda z legatem? - zapytał pragnąc odwrócić rozmowę.
- Jużci nie jechał jak byle kupczyk - zapewnił Jarach.

Choć z natury małowówny, ożywił się i opowiadał o wszystkim, co widział i słyszał. O tym, jak ledwo zbiegli przed utopcem, i jak mnich jakisik pomyłony krzychał w gospodzie, że Mongoły idą na zagubę świata...

Zdziwili się wszyscy. Nikt o Mongołach jako żyw nie słyszał. Bywały Jazygi i Prusaki (Jazygi (Jazygowie) - związek koczowniczych plemion scyto-sarmackich), (Prusaki (Prusowie) - lud bałtycki osiadły w średniowieczu między dolną Wisłą a dolnym Niemnem. Spokrewniony z Litwinami). Najstarsi pomnieli, że Lutyki (Lutyki (Lutycy) - jedna z trzech grup Słowian połabskich) zachodziły. Ale mongoły? Nie było takiego plemienia nikandy (Nikandy - nigdy).

- Bo też odmieniec to był boginkowy, od rzeczy ze wszystkim gadał - rzekł Jarach i ziewnął.

Wstawali z hałasem z ław dopijając reszty piwa ze dzbanów. Wieczór był późny, pierwsze kury już piałły. Poszli wszyscy spać - kto do zasięku albo na strych, kto do brogu. Książę, strapiony, niechciwy sny, wyszedł rzucić okiem na konie.

W przelazie dogonił go Mojko, syn Mojków.

- Doczekajcie, panie.
- Czego chcesz?
- Chcecie wróżby, jest tu w boru żerca (Żerca (staropol.) - wróżbita w dawnych pogańskich kultach) jeden, z dawnych, zna wszystko... Gadają, że strasznie mądry...

Konrad stanął zamyślony. Chciał w pierwszej chwili przeżegnać się i odrzec chłopcu, że nie on, syn najświętobliwej pani, do pogańskiego żercy będzie szedł po radę, lecz ręka nie poszła za myślą, nie podniosła się do świętego znaku.

- Powiódłbyś? - zapytał wahająco.
- Ojej! - zawołał chłopak podnosząc ku księciu twarz swą młodą i różową jak twarz dziewczyny. Płonął chęcią okazywania swej zaradności i odwagi, jako jest mężem dojrzałym, nie bojącym się nawet w noc przez puszcę jechać.

- Jedźmy - zdecydował się nagle książę. - Gdzie konie?

- Wasz, panie, w stajni; sam wójt go tam dać kazali.

Weszli po omacku do niskiego, ciemnego chlewa. Pośrodku, w najlepszym miejscu, gdzie przybito kołkiem do żłobu serce pierwszego wiosennego kreta, by chudobę od uroków i zmory ochronić, stał wierzchowiec książęcy. Konrad wywiódł go ostrożnie, nie troszcząc się o siodło. Mojko odnalazł swego na dziedzińcu. Nie budzili pacholków, książę nie pragnął bowiem bynajmniej,



żeby kapelan zamkowy dowiedział się celu tej jazdy. Uspokoiwszy znające go psy, Mojko wywiódł konie za bramę i zamknął wierzeję. Ruszyli.

- Jechać trza ścieżką aż do rozstaju, gdzie grom dęba rozszczepił - mówił szeptem. - Stamtąd weźmiem się na lewo...

- Trafisz w tę ćmę? - powiewał książe.

- Trafię... I na drzewach ciosna (Ciosna - znaki, cechy) są...

- Uwidzimy je?

- Miesiąć ino poźrzeć, jak wychynie...

Jechali w milczeniu, zrazu w mroku nieprzeniknionym, nurzając się w cieniu. Rozwarte szeroko źrenice nie dostrzegały nic krom (Krom (staropol.)

- oprócz) zalepiając je omroczy. Konie chrapały stawiając ostrożnie kopyta.

Wysokie, mokre od rosy ziela, chebd (Chebd - chwast, zarośla) i psi bez, omiega (Omieg - trująca roślina) i rdest łaskotały podszwy jadących.

Kolana ocierały się boleśnie o korę drzew... Po pewnym czasie jednak, kędyś nad czochratą kopułą zielonej gęstwiny, wzeszedł już miesiąc na widoku. W ciemną głąb wlewał blade, przesiany obrzask. W mroku, który nasiąkł srebrem, rozróżnić się dała czarna gęstwa pni.

Wielkie wykroty jeżyły płatanienę korzeni, w których utkwione były kamienie silnie ułapione pazurami włókien, wydarte z ziemi przemocą. Niby olbrzymi procarze wyciągały je ku jadącym, i księciu znów się wydało, że sama ziemia podaje mu orężne ramiona na wspomóżenie.

Chwilami na zoranej, rozpadlistej korze drzewa majaczyło białawe ciosno.

Mojko podjeżdżał wtedy tuż koniem, sprawdzając ręką znak, zali zdradza gładkość zacięcia siekiery, i jechali dalej w milczeniu, wsłuchani w groźną ciszę boru, złożoną z tysiąca głosów. Nie oglądali się w tył, nie spoglądali na prawo ani - broń Boże - na lewo. Choć Konrad był nieustraszonym rycerzem, a Mojko zuchwałym, gotowym na wszystko pacholkom,

serca kołatały im trwoźnie i głośno. Byli sami, podani w moc straszliwych, rządzących puszczą w nocy potęg. Czuli je - skradające się wokół cichymi stopami rysia. Sowa hukala w pobliżu: "pójdź! pójdź!, co oznacza rychłą śmierć. Na szczęście druga odparła: "powij! powij!, unicestwiając tym poprzednią wróżbę. W koronach drzew łopotało coś, pewno, nocnice, i obaj jeźdźcy przymykali oczy w obawie, by ich nie ujrzeć. Trzeszczały suche gałęzie opodal. Deptał je może dzik, jelen, a może chłop leśny, duch?

Pełni trwogi wjechali na jasną polanę, srebrzystą od miesiąca, stumanioną leżącymi nisko mgłami, powstającymi z barzyny. Wokół drzew - szybko, szybko, cicho, cicho - odmierzały swe trójkąty i koła gacki-wieczorki. Z drugiego krańca polany dobiegało rzeczywiste i dodające otuchy chrząkanie i paćkanie dzików. Trzciny syczały przeciągle, jak gdyby wzdychając, szurały z cicha lepiechą.

- Tu w środku słotwina (Słotwina - mokradło) jest... - szepnął Mojko. - I łoś tędy nie przebieży... Wiły w łabuziskach siedzą... My pojedziem pod samym krajem, na prawo... Ady patrzcie - wskazał nagle drżącą ręką migocące w oddali, blade w jasności światelka. - Wiły są!

- Baić! Wilków ślepiea świecą - odszepnął książe.

- Nie wilcy! Dziwajcie się! (Dziwajcie się! - patrzcie się!)

Jedno światełko powędrowało chwiejnym zygzakiem ku górze, drugie ostało przy ziemi.

- Wiły - przyznał ksiązę, przekonany.

- Aby się, panie, nie żegnajcie, bo umartwią; tu jeden z jeich władanie jest.

Konie lgnęły wyżej pęcin. Wyjechali wszakże na suszę, potem w obrzedni (Obrzedni - rzadki), wielki las, gdzie drzewa stały daleko od siebie. Trawa zniżyła się aż ku końskim kopytom, opadłe liście szeleściły pod nogami. jechali pod górę, kłoniąc głowy przed chłostą ciężkich od rosy gałęzi.

- Tu, na wierchu - rzekł Mojko i zamilkł.

Koń stanął.

Przez rzadkie, stargane wichrami konary dębów, których męski wiek krzyża chrześcijańskiego nie znał, padało światło miesiąca strugami. W takiej strudze widniał, o parę kroków przed nimi, wielki, płaski głaz, połyskujący jak woda. Od środka głazu-ołtarza czerniała kuta w nim rynienka, spust na krew obiat (Obiata - ofiara) żywych. Wypluwały z niej dawno deszcze rdzawy ślad. Więcej niż sto, więcej niżli dwieście lat minęło, odkąd nikt tu obiat zapomnianym bożycom nie składa. Chyba ukradkiem, nocą, jak teraz, ktoś, komu Bóg chrześcijański leku na udrękę nie zwoli.

Stanąwszy, zaczęli hukać.

-Czego chcecie?

- Wróży, dziadu.

Zabłysło łuczywo; wysunął się z mroku, podszedł ku nim brodac, stary żerca, w potarganym gieźle konopnym i takichże portkach. Na głowie miał szeroką opaskę z brzozowej kory, powstrzyganą w dziwne znaki, laskę wieszczuna w żylastej łapie. Tenże sam, którego dziasy, prawdziady obiatty nad rzeką wobec całego ludu składały. Obleciał ich oczyma baczenie, wychylił się nasłuchując, czy w cieniu nie podchodzi kto więcej.

- Ktoś jest? - spytał podejrzliwie rycerza?

- Konrad Henryków.

Radość mignęła w oczach starego. Zgasił ją przezornie pod powieką.

Nie wydacie mnie biskupowi?

- Głupiś - rzucił z gniewem ksiązę.

- Czego chcecie, panie?

- Nie potrza mi twojej wróży, kiej sam uznać nie poradzisz, po com tu jest.

Stary odsapnął głęboko.

- Złażcie z konia wieszczyć.

Powiódł rycerza naokoło głazu. Pod wielkim, dziesięciokroć stuletnim dębem, wokół mocarnego pnia, sklecona była maleńka kącina (Kącina (gontyna)

- dawna świątynia pogańska), waląca się, szerniała. Kiedy biskup albo rycerze przejeżdżali tędy czasu gonów (Gon (staropol.) - łowy), stary udawał, że smolarnię tutaj trzyma.

Gdy weszli, rozdmuchał święte zarzewie, pod popiołem tlejące, dołożył trzasełek. W wypróchniałym wnętrzu drzewa, wysokiej dziupli dębowej, stał posąg Swaróżyca (Swaróżyca - słowiańskie bóstwo solarne. Bóg słońca), na

poły spróchniały, czworokątny słup, z głowskiem niezdarnie wyciosanym u szczytu. W ciszy pryskał głośno ogień. Koniezymane przez Mojka chrupały opodał trawę.

Stary wygarnął z dziupli liście zasłaniające bożyca, oświecił łuczywem tępe lico, perkaty, nadłamany nos. Pokłonowszy się nisko, namaścił posąg tłuszczem dla uczczenia, w przechodzie uchylając lekko głowy przed leżącymi na boku głazami, poświęconymi bogom służebnym, zwanym Strzybóg i Rgło (Rgło

(Rgieł) - prasłowiańskie bóg urodzaju). Z ukosa spoglądali na stojącego nieruchomo u wejścia księcia. Wzrok jego na poły był chytry, na poły proszący. Zdawał się skomleć o dobrą wiarę, o monetę czci dla toczonego przez korniki w dziupli dębu, potężnego niegdyś boga Swarożyca, którego imię wyklada się ogień, syna Dadźboga (Dadźbóg - bóstwo solarne, utożsamiane niekiedy ze Swarożycem), który jest Słońcem i Panem.

Podśpiewując starczym, piskliwym głosem niezrozumiałe słowa i przebijając pociesznie stopami w szczątku jakowegoś obrzędowego płasu, strzelał raz po raz oczyma na stojącego, z niepokojem. Unikali spojrzenia na siebie z cichym, niepojętym wstydem. Stary dorzucał dREW do ognia. Teraz wnętrze kąciny oświetlone było jasno. W górze zbudziły się ptaki. Pachniało mocno ciskane w ogień zioła. Siwy żerca biegał wokoło płomieni szybko, jak w kołowaciźnie. Patrząc nań książę poczuł znużenie i szum w uszach.

Więzłaste, pokraczne nogi starego migają przed oczyma wśród frędzli obdartych gaci. Ręce zataczały koła. Laska wiła się jak wąż, kreśląc w zarzewiu ginące wnet znaki. Choć starał się być czujnym i uważnym, stracił poczucie jawy i czasu. Gdy się ocknął, płomień dogasał, świt sączył siną bladość poprzez drzewa. Ujrzał zmęczoną twarz żercy nad sobą.

- Dziady przysły - mówił półgłosem, sepleniąc - gadałem z nimi... Wielka groza idzie na dziedzinę... wielki lęk, haj!

Książę zawrócił się ze złością. Stary wieszczun dreptał za nim potulnie. W niepewnym brzasku twarz miał frasobliwą jak poprzednio, lękliwie chytrą i proszącą zarazem. Konrad ogarnął rzutem skośnym oka tlejące ognisko, szerniałe, chruściane ściany kąciny i ciemniejące w dziupli, spróchniałe, niekształtne bożę.

Wyciągnął z wiszącej u pasa kalety (Kaleta (z tur.) - woreczek skórzany na pieniądze i drobiazgi) grosz i rzucił go starcowi. Ten schylił się chciwie po dar.

Nie spoglądając już w jego stronę książkę poszedł żywo, deptając białą od obfitej rosy trawę.

Mojko, zziębnięty i skulony, przecierał zaspane oczy. Wskoczyli żwawo na konie. Stary żerca, cały szary, na tle szarego świtu do zwidu podobny, patrzył na nich tępo, oparty na kiju.

- Co wam rzekli, panie? - zapytał nieśmiało Mojko ukazując palcem na stojącego.

- Ze będą wielkie boje... - odparł Konrad zamyślony.

Zapadł w poprzednie dumania. Wielkie boje?... Z kim? Wielki lęk przyjdzie... Na kogo? Jużci na Niemców, na Niemców!... Hej! ujrzyć Śląsko bez Niemców! Jak było niegdy, zanim diad Bolko Wysoki (Bolko Wysoki -

Bolesław Wysoki, książę wrocławski; zm. 1201) jął ściągać osadników, co najlepsze pola nad Odrą im dawać... Takim je znowu obaczyć...

Ściągnąć mimo woli wodze i rozejrzał się. Byli już na skraju polany, gdzie wiły nocą widzieli. Trzciny syczały przeciągle, jak wczora, stukając tępo o siebie brunatnymi, ciężkimi pałkami. W samym środku zniżającej się polany szeregi rozstępowały się nagle, bagno najgłębsze. Tam chroniły się w dzień wiły i topieluch siedział gmerząc grubymi paluchami w rdzawym błocie, aż bańki wyskakiwały na powierzchnię. Choć raz na rok musiał dostać na obiatę człeka, którego mu napędzały wiły. Kiedy nikt się nie kwapił w tę przekłętą stronę, wysadzał krągłe, uszate łbsko z wody i wołał: "Czas idzie i godzina, a człowieka nie ma..." Tak powiadali starzy, co sami i to słyszeli. Wątlwym kozuchem zarastająca jego schronisko zdradna zieleń darni wabiła urągliwie ku sobie, oddychała ludzającym spokojem.

Południe już dochodziło. Mimo spóźnionej pory wiatr ciepły, prawie że letni, pociągał nad doliną Odry. Kręcił drobne wiry z pyłu, wzbijał je słupem do góry, mierzwił ziemię i zgarniał w okółkę liście i źdźbła słomy.

- Taka jesień, a Strala (Strala (Srala) - diabełek w wichrze) jeszcze się wierci... - zauważył półgłosem jadący za swoim panem pacholek książęcy.

Dźwięk słów obudził Konrada z niewesołych myśli. Spojrzał bystro przed siebie - naraz wyciągnął w tył rękę:

- Masz nóż? Dawaj, a żywo.

- Mam, panie - pisnął z przejęciem pacholek podając rozwartą kozik.

Konrad uchwycił go w garść, przeżegnał się, splunął w tył trzykroć i gdy wirujący tuman wiatru się przybliżył, cisnął błyskawicznie kozikiem w sam środek, aż ostrze utkwilo w ziemi.

Lej podniósł się dalej, płasając. Pacholek, stojąc z tyłu przezornie, śledził ruchy księcia z rozwartymi szeroko ustami.

- Ady, panie, nie podchodźcie! - krzyknął przerażony widząc, że książę schodzi z konia.

Nie bacząc na to, Konrad już się pochylił nad ostrzem, badając pilnie ziemię naokoło.

- Nigdzie krwie nie znać, chybiłem - mruzczał gniewnie. Znowu się przeżegnał i splunął trzykrotnie, zanim wyciągnął kozik tkwiący w ziemi. Nie mogąc się pogodzić z myślą o niepowodzeniu, starannie oglądał ledwie dostrzegalny otwór, pozostawiony przez ostrze.

- Nie ma - stwierdził z żalem.

Tuż blisko zatętniły kopyta. Podniósł głowę i poznał w nadjeżdżającym brata spochmurniał jeszcze więcej.

"Ten tu czego? Szlakuje (Szlakować - szpiegować) mnie czy co?"

Ale Henryk, syn Henryków, rozjaśnił się na jego widok uśmiechem, w którym nie było miejsca na podstęp.

- A witajże! Skąd to jedziesz?

Podjechał tuż, wyciągając prawicę po rycersku, dłonią otwartą do góry.

- Czego tu szukasz po gościńcu?

- W Stralę godziłem nożem, ale chybił.

- Niesadno go trafić; będzie ci teraz zapiekał...

- Niech spróbuje! - Konrad spojrział ze złością za tumanem, w którym zdawało mu się, że dostrzega wyraźnie płasającego duszka-wietrznika, i pogroził mu pięścią siadając na koń.

- Kajżeś bywał? - powtórzył Henryk.

- U Spicyryna wójta, na zrękowinach.

- Legataśmy przyjmowali - opowiadał młodszy z ożywieniem. - Wielki był fest... nie było cię. Pan ociec srodze się o to ozeźlili.

- Żeśta poźrzeli, jako mnie nie ma?

- Jakże? - odparł Henryk nie spostrzegając szyderstwa. - Ociec przykazali szukać cię wszędy i pachółków rozesłali. Takiego gościa witamy, prawi, a mój najstarszy kajś sobie precz ujechał...

Podjechał trącając brata nogą w strzemię.

- Dlaczegoś nie był? Gadaj!

Konrad machnął niecierpliwie ręką.

- Dlaczego? - powtórzył Henryk nagabliwie.

Lecz w tejże chwili w pobliskim już grodzie dzwony uderzyły na południowe Ave (Ave (łac.) - witaj. Tu: nabożeństwo). Henryk zdjął czapkę, przystanął. Rozzażył się cały modlitwą. Usta szeptały pacierze, oczy zawisły na niebie w żarliwym oczekiwaniu. Gdy dzwony zamilkły, oderwał się od modlitwy jakby z żalem... Podobny był do Konrada z rysów i ubioru, jeno szczuplejszy.

Nosił przy tym brodę, co wydłużało jego wąską twarz i przydawało wieku.

- Po cóżeś jeździł? - zapytał po raz trzeci?

- Nikomu nic do tego - burknął Konrad.

- Bez małaś dwie niedziele za Odrą siedział...

- Niewola mi sterczeć doma?

Henryk wzruszył ramionami i jechali w milczeniu. W mglistym powietrzu stukotała niedaleko, sennie, uparcie, kołatka. Dźwięknęła mocniej. Zza krzów przydrożnych wyszedł lepur (Lepur (z gr.) - trędowaty) paskudny, trędowaty, w zrudziałej, czarnej szatce, na której bracia szpitalnicy przyszyli na piersi kształt ręki, z szarego płótna wycięty. Z wyżartej maski szkaradnika patrzyły opłynięte śluzem kaprawe oczy. Ślina ściekała kącikami spuchłych warg. Widząc jadących stanął kornie z boku drogi, wyciągając przed siebie drewnianą miskę, która stanowiła kołatkę zarazem.

- Wszędy się to plugastwo rozłazi - sarknął Konrad odwracając oczy ze wstrętem. - Napędzić by go trza do szpitalników z powrotem.

Nie odpowiadając Henryk szukał grosza w wiszącej u pasa kalecie. Znalazłszy chciał rzucić do miski, lecz zatrzymał się w pół gestu. Z dziwnym, bolesnym półuśmiechem zsiadł z konia. Lepur cofnął się o krok, nie wiedząc, czego chcą od niego, lecz ksiązę Henryk położył mu dłoń na ramieniu, popatrzył z bliska w zaropiałą gębę, wsunął w opuchłą dłoń pieniądz. Uśmiechnął się znowu i pochylił nisko. Owionął go, odrzucił mdły cuch gnijącego ścierwa. Zmógł się. Ucałował nędzarza w oba policzki. Zawrócił, skoczył na konia schylając głowę, by ujść wzroku brata. Paliła go chęć otarcia rękawem ust, na których czuł śmierdzący posmak ropy, ale zabronił sobie dać temu pragnieniu folgę. Beznosa maskara patrzyła za nim ogłupiała, obracając w ręku monetę.

Konrad śmiał się w głos szyderczo.

- Świńtuchu! Nie boisz się?  
- Nie.  
- Po cóżeś to robił? Gadaj! Mgli mię we wąpiach, ino wspomnę. Henryk odwrócił pobladłą twarz.  
- Przeto zrobiłem - rzekł głosem przerywanym czkawką - że Krystus Pan srodze ich doświadczył, nas niesłusznie wywyższając...  
- Gadanie! Pana Krystusowe rozrządzenie chcesz odmienić? Naraz przypomniał sobie zwykłą bolączkę.  
- Skludziliście nowych Niemców? - zapytał z urazą.  
Henryk ożywił się.  
- Ano. Trzy rody, w każdym kupa ludzi. To przednie osadniki są, aże spod Bamberga... Obaczysz, jakie gospodarze! Dwa razy tyle ziarna zbiorą, ile naskie... Dali im książkę ociec rolę pod Buczyną i niwkę na Zaodrze przyczynili...  
- Kany poszły Kocury i Biesiagi, co na Buczynie siedzieli?  
- Nowinę (Nowina - ziemia pod pierwszą uprawę) im książkę ociec dali karczować na Wielkiej Polanie.  
- Tak? - mrucał gniewnie Konrad. - Czegóż Niemce na nowienie nie siały? Henryk roześmiał się z wyższością.  
- Karczowałyby, a ino! Nie takiej one roboty zwyczajne... Ledwoś je na pole uprosił, choć po trzy małdry (Małdr, małder - miarka zbożowa) zboża dostały na zasiew... W puszcę nie poszłyby nijak...  
Konrad zmarszczył gęste brwi.  
- A kiej Kocury nowinę wytrzebią, znowu ją Niemcom oddacie, bo one takiej roboty nie zwyczajne? Hyrtonie (Hyrtoń - krtań. Tu: pijak) jedne! Próżniaki! Bogdajby im Kocur gnaty połamały, a na swoje nie puściły...  
Henrykowi błysnęły oczy.  
- Do buntu przeciw oćcu ludzi namawiasz? - syknął.  
- Namawiam, bo ścierpieć nie lza, jak ze Śląska Niemce robicie.  
- Nie robimy Niemców, ino z puszczy dzikiej kraj bogaty, sposobny, jako na zachodzie są... Toć wiesz. Chodzi nam z oćcem o zbudowanie wielkiej władzy (Włada - władza), jako była... Chrobrowej...  
Zły śmiech zarechotał Konradowi w gardle.  
- Ejże! Jakosik inaczej dziad Chrobry budował. Uczył się, wiera, od Niemców, podglądał, ale ich do nas nie skludzał.  
- Przychodziły zeszłego nowiu - rzekł Henryk z powagą - wielkopolskie nobile, co Odonica, gada podłego, przegnany, o koronowaniu radzić... Stałem za stolcem oćcowym, słyzałem... Gadali: Kraków jest serce Polski, a Śląsko Głowa. Trza, by serce i głowa do kupy wszystko zebrały... Tak my gadali... Mamy teraz, przy Śląsku, Krakowskie, pół Sandomierszczyzny, Wielką Polskę, ziemię poznańską, kaliską, pyzdrską, średzką aż po Giecz... Z dobrawoli, nie siłą, nie gwałtem, cała Polska k'nam się kupi... A przeczże? Przeto, że Śląsko z Zachodu rozumu nabrało...  
Ponowny zły śmiech Konradowy.  
- Wiera, nie przez niemieckie umy nin wasze, jeno rozum pradziadowy. Cesarza słuchać, ot wasz psi rozum, i tyle!  
Ciemna luna oblała szczupłą twarz Henryka.

- Święte państwo rzymskie od samego papieża nadaną ma władzę - rzekł rozkładając z poddaniem ręce.

- W zadku mam cesarza! Wiesz?

- Tss... Tss... - szepnął Henryk z niepokojem.

- Boisz się? Ino go wspomnieć, nogami smykasz jako stryjec Płatonogi (Stryjec Płatonogi - Mieszko Płatonogi, książę raciborski, zm. 1211 r.).

- Ci się rozumiesz na tych rzeczach! - zgrzytnął Henryk. - Z puszczyś nikandy nie wylazł, gdy ja kawał świata zjeździłem...

- cichaj! - warknął głucho brat. - Oczu nie kłuj! Posyłali cię ociec we świat, choć to moje było prawo, starszego! Ano wieleś przywiózł z onych pąci (Pąc - pielgrzymka)? Schodzoną gebę, smętek - trapiduch... Omniszczyli cię ze wszystkim... Mój rozum z puszczy krzepciejszy...

- Mieszko Ziemowitów (Mieszko Ziemowitów - Mieszko I, zm. 992 r.) także cesarza lennikiem był, zanim całą Polskę zładził - podjął Henryk. - Tego i my z oćcem żywnie chcemy.

- Mieszko Polak był, a wyście są Niemce.

- Zawrzyj pysk!

- Niemceście! - wrzeszczał Konrad szarpiąc wodze, aż koń przysiadł na zadzie. - Po jakimu gadasz na zamku: Które twoje przyjaciele są? O kogo się z oćcem staracie?

- Zawrzyj pysk! - powtórzył brat groźnie.

Najechali na siebie blisko końmi i spojrzeli wzajem nienawistnie w oczy. Obu oblała gorąca fala, aż się zachłysłi.

## 7

Książę Henryk zwany Brodaczem, syn Bolesławowy, pan na Śląsku, księstwie krakowskim i Wielkiej Polsce, słusznie piszący się na pieczęciach: dux totius Polinae (Dux totius Poloniae (łac.) - książę całej Polski), wychodził z sali obrad, czyli rycerskiej, ozeżlony i zafrasowany, aż drżała gniewnie siwa broda, spływająca po bogatym, rozciętym bokami tabardzie (Tabard (z fr.) - płaszcz wojownika). Sękatym czekanem (Czekan (z tur.) - dawna broń mająca kształt nasadzonego na lasce toporka), okrutnym miedzią, stukał ostro w kamienną posadzkę. Zgnębieni i onieśmieleni zdążali za nim: wójt grodzki Witosław Dominików z Borka, kapelan zamkowy ksiądz Marcin, danny czyli maj Lutdolf, rycerze Klemens i Otto z Jeskotel. Trefiniś Kwiatek, w podartym przez niedźwiedzia kozuchu, włókł się za nimi drapiąc zawsze kudły.

Książę stanął na ganku kamiennym, wykuszu, gdzie z okna słał się szeroki, rozległy widok na rzekę, ostrowy i leżący na drugim brzegu gród wrocławski, lecz nawet ten miły nade wszystko obraz nie rozjaśnił jego lica. Trząśł nim gniew i żal zarazem. Syn Konrad groził przed chwilą otwartą wojną i buntem, o ile ociec nie wyzynie wszystkich Niemców precz. Szaleniec, przyglupek, czy otumaniony? Wyzegnać? Wygnać to, co się z takim trudem sprowadziło? Zburzyć własnymi rękami wzrastającą kosztem tylu ofiar potęgę? Z mocnego księcia, rozporządzającego dobrą drużyną rycerską, bogatym skarbem, silnymi grodami, zejść na dzikiego knezia, co w chlewie, szumnie tynem (Tyn (z

niem.) - ogrodzenie o charakterze obronnym) zwanym, mieszka, jako Bolko sandomierski (Bolko Sandomierski - Bolesław V Wstydlivy (1226-1279), książę sandomierski, później książę krakowski), jako Konrad Mazowiecki (Konrad Mazowiecki) albo Odonic Plwacz, mizgocz (Mizgocz (staropol.) - ten, który się umizguje; gach) przeklęty! Napatrzył się do syta takowych świetności na czerskim grodziszczu w niewoli Kondratowej siedząc. W rozumnej, wyrazistej twarzy ciemne oczy błyskały gniewem. Ejże! Niech tej roboty nie tyka, choć syn!... Zbyt wiele w nią włożył trudu, lat pracowitych, zabiegów... Co mu, odmieńcowi, Niemce wadzą? Uczciwe są ludzie, pracowite, a mądre, a przemyślne! Ejże, niech mi ich nie tyka!

Rządny gospodarz, staranny włodarz dziedziny zaciskał pięści na samą myśl, że miałby wygnać najlepszych swoich pracowników.

Odszedłszy od okna chodził tam i sam po ganku, klnąc z cicha a jadowicie. Ręką mądrego polityka prowadzone i wyzyskiwane wypadki układały się dla niego tak pomyślnie. Upragniona chwila scalenia dziedziny Piastowskiej błyskała coraz to bliżej. Dlatego nawet legatowi wszystko, czego żądał, wypłacił - dwa wozy pełne dobrych, srebrnych pieniędzy - by wspaniałą szczodrością rzymskie intrygi arcybiskupa Pełki (Arcybiskup Pełka - biskup krakowski, mąż stanu i przeciwnik Henryka I Brodatego) i Odonica unicestwić, a w razie koronacji pozwolenia Ojca Świętego sobie zapewnić. Wszystko układało się tak, jak pragnął, jak to długimi laty pracy przygotowywał, aż tu szalone zamysły rodzzonego syna groziły zwaleniem całej budowy.

Towarzyszący mu woje milczeli, czekając przezornie, aż gniew książęcy minie. Wsparci plecami o ścianę, grzali się radzi do słońca. Dzień był ciepły, prawie upalny, więc wójt Witosław objaśniał szeptem drugich, że widno w ty roku kulawy chmurnik deszczem i śniegiem zarządza, co zdarza się, jak wiadomo, raz jeden na roczków dwanaście. Chromemu ciężko liną śnieg ciągnąć, sporzej mu z deszczem poradzić, to i lato dźwizy, nie śpiecha się do zimy.

Jakoż powietrze parne było i nieruchome. Na zachodzie wałęsały się ciemnoszafirowe chmury, i kapelan ksiądz Marcin zwierzał się również szeptem, że od rana łamie go w kościach na burzę. Choć danny Lutdolf powątpiewał o możliwości burzy w tej porze, mogła się ona zdarzyć, bo niecierpliwy, gorący wiatr Strala kręcił tumanem po drogach, przypadek jak zaczajony, by po chwili zerwać się znowu, niosąc wprost na zamek chmury pyłu i kurzawę żółtych, opadniętych liści.

Książę przerwał swą gniewną wędrówkę i wpatrzył się bystro w nadciągające szybko chmury.

- Ha! - rzekł nagle, wyciągając dłoń przed siebie.

Spojrzeli wszyscy we wskazanym kierunku i groza odjęła im mowę na chwilę. Od sinych, strzępiastych wałów nadlatywał czarny ptak, większy od kosa, a mniejszy od kruka. Pióra mieniły się stalą pod słońce, gdy leciał kwiląc przeraźliwie jak rybitwa. Zwiesił się w górze nad zamkiem, ważąc się w wietrze niby jastrząb.

- Jezus Maria! Latawiec! - wrzasnął przeraźliwie kapelan.

Wydobył z zanadru krzyż i zasłonił oczy. Reszta biegała po ganku



machając dłońmi i krzycząc jak opętani. Wójt grodzki Witosław z Borka przecinał ze świstem powietrze wójtowską swą laską. Książę powiewał purpurową czapką, zatkniętą wysoko na czekan. Spłoszony ptak śmigał pod okap dachu. Równocześnie w oddalonym wnętrzu chmur zagrzmiało.

- Już go wypatrzył! Już bić będzie! - zachrypiał z przerażeniem kapelan.

Zdwilili krzyki i gesty. Wierzyli wszyscy święcie, że ptak ów, zwany latawcem, jest duszą nie chrzczonego dziecka, utrupionego przez matkę. Lata kwiląc bez spoczynku i woła: "chrztu! chrztu! Nie wiedzieć czemu, osobliwie nie cierpi go piorun. Wtedy kędy latawiec się zjawia, już grzmi, już łyska, już zewsząd ścigają się chmury. Latawiec pod strzechę - piorun za nim. Chroni się przeklętnik pod czyjeś ręce litościwe - już spalił owe ręce piorun zawzięty. Odganiać go trza gorzej od zarazy, by cały dobytek nie spłonął. więc też krzyczeli wszyscy, co sił, machając rękami, a gdy spłoszony ptak odleciał wreszcie w stronę grodu, otarli spotniałe lica i spojrzeli po sobie jak ludzie, co uniknęli szczęśliwie wielkiego niebezpieczeństwa.

- Poszedł - westchnął z ulgą książę.

- Leć na zgubę! Na ztratę!

- Na bory, na góry, gdzie największe pagóry!

- A kołował, a pod dach chciał...

- Oj, napędzi on i tak jakiegoś nieszczęścia...

- Błyskało się już... widzieliście?

Nie widział wprawdzie nikt, lecz wszyscy potwierdzili skwapliwie, schodząc po stromych kamiennych trepach na dziedziniec. Książę szedł pierwszy - i przystanął zdziwiony na widok obcych, cudacznie przystrojonych ludzi.

Opięty w ciasny szairowy kaftan z bufiastymi rękawami, zamiatając pył podwórca czarną aksamitną czapką, Gaetano (był to bowiem orszak mandaryna

Czang-fu-tse) podszedł do księcia i przyklęknął przed nim na jedno kolano.

- Karawana handlowa, z dalekiej Azji przybyła, prosi, by wasza książęca wysokość raczyła przyjąć jej hołd i skromne dary - rzekł wcale biegłą niemczyzną.

Zazwyczaj rad cudzoziemcom, książę zbyt był wzburzony świeżym zajściem i poprzednią sceną z synem, by się rozpogodzić od razu.

- Skądęście? - zapytał szorstko.

- Ja z Italii, ale tłumaczem jestem jeno, te zaś kupce z Chin...

- Z Chin? - zdziwił się książę. - Kapelan kajskiej gadał coś o Chinach...

Chiny, prawi, to już na ostatku świata...

- Tak jest, wasza wysokość. Rok z okładem trza stamtąd jechać śpiewając.

Książę obrzucił ciekawym wzrokiem mandaryna Czang-fu-tse i sekretarza jego Pen-ta-san - nieruchomych, uprzejmie uśmiechniętych, wyglądających na tle piastowskich murów jak dwie dziwaczne kukły - oraz rozpięty nad pierwszym z nich parasol i barwnie przybranych niewolników.

- Czegóż chcecie?

Chrapliwym, szybkim głosem mandaryn Czang-fu-tse rzucił parę słów

tłumaczowi, który odparł:

- Mój pan, mandaryn, co po naszymu znaczy wielmoża, bo to wielmoża jest, chociaż się handlem zabawia, prosi waszą wysokość o przyjęcie skromnych darów, zasię o pozwolenie na kram w grodzie.

- To ten cudak z daszkiem?

- Ten, wasza wysokość.

- Po cóżeście aż tu przyjechali?

Gaetano zwrócił się do mandaryna, który zakrakał szybko po swojemu.

- Mój pan powiada - objaśnił tłumacz - że w dalekiej swej dziedzinie słuchu nabral o wspaniałości krajów Zachodu i ciekaw wielce jechał. Dotąd przecie jeno barbarzyńskie i dzikie strony oglądał. Ni Halicz i drewniany Kraków, ni Sandomierz i inne grody zgola mu się nie udały. Dopieroż tutaj przybywszy, osłupion jest i wielce rad.

Książę odął wargi z zadowoleniem i spojrzał na Chińczyka przychylniej.

- Zali zna, u kogo jest? - zapytał.

Gaetano zamienił z mandarynem kilka słów.

- Ja mu gadam, wasza wysokość, że w dziedzinę można książećcia śląskiego wjechał, on zasię prawi, że to nie może być. O Śląsku, prawi, siła słyhać, wzdych tu - tak on gada - stoi chyba sam cesarz niemiecki, ten gród zasię musi być Rzymem, bo strasznie szumny i wielki.

Książę rozpogodził się zupełnie.

- A wiera - rzekł biorąc się pod boki - jakisik niegłupi twój kupiec, skoro to uznał. Niejeden już tutaj gadał, że Rzym Wrocławowi nie zrówna...

Obejrzał się, czy zbuntowanego syna nie ma opodał, czy słyzy, jaki to o Śląsku hyr (Hyr - wieść. pogłoska) po obczyznach idzie? A za czyją sprawą?

- Kramu chcecie? - zwrócił się ponownie do Gaetana.

- Usilnie prosim waszą wysokość.

- Najdzie się szmatruzie (Szmatruz (z niem.) - kram) miejsce wolne? - zapytał książę panoszę Witosława, wójta, stojącego nieruchomo za nim.

Panosza Witosław Dominików na Borku zamyślił się drapiąc brodę oznaką swej władzy, laską zakończoną trzema głowami, z których jedna trupia.

- Najdzie się, wasza wysokość; podle Węgrzyna złotnika i sukiennika Komczorka.

- Dajże tam tych ludziów, niech se kupczą. Niezgorsze jakieś, choć pewnie pogany.

- Nie ze wszystkim, wasza wysokość - zaprzeczył z udanym przekonaniem Gaetano.

Zręcznym ruchem weneckiego kupczyka wziął z rąk Iwana Rusaka toboły z darami; rozwinął, błysnął przepychem jedwabi, złocistością czar, na klęczkach podał księciu dwa krzyże nestoriańskie, z kryształu i kości słoniowej cudnie wyrobione.

- Hej, dobry macie towar, jako widać. Rzeknijcie cudakowi, iż mile przyjmuję. Będą miały księżniczka Zofia i pani Anna uciechę.

Pogodnym kiwnięciem głowy zęgnął cofającego się w trzykrotnych dygach i ukłonach mandaryna. Wójt grodzki poszedł przed cudzoziemcami, postukując dumnie laską i dźwięcząc wójtowską karboną (Karbona (z wł.) - skarbonka) wiszącą u pasa.

Zapomniawszy zupełnie poprzednich trosk książę wyszedł poglądać za nimi. Orszak mandaryna Czang-fu-tse wchodził już na most łączący ostrowie (Ostrowie (staropol.) - wyspa) zamkowe z ostrowiem drugim, na Piasku, wspaniale sterczącymi kościołami i opactwem fundacji Piotrka Własta Dunina (Piotrek Włast Dunin - Piotr Włostowic, wuj Władysława II Wygnańca, fundator kościołów i klasztorów wrocławskich; na skutek konfliktu z siostrzeńcem oślepiiony i pozbawiony języka) pobożnej pamięci. Tuż przy kościele św. Wojciecha wielki czworokątny słup kamienny zamykał w swym wnętrzu pustelnicę, zamurowaną tam z dobrowoli przed dwudziestu laty, wielce świętobliwą pannę. Pstry parasol mandaryna, niby wielki barwny motyl, otarł się o słup surowy i znikł za skrzytem częstokołu klasztorowego. Po chwili ukazał się już z drugiej strony, u wejścia na most prowadzący z ostrowia na właściwą suszę, w muru grodu. Jaśniał przez chwilę niby punkt barwny, aż znikł. Książę okiem gospodarza spojrział w przeciwną stronę, na prawy, lesisty brzeg Odry. Ponad drzewa wystrzelały benedyktyńskie wieże, przez Piotrka Dunina ku chwale bożej wystawione. Wąziutką, krętą taśmą pętlął się i bielił gościniec psarski, poprzez lasy przerąbany. Bystre oczy starego księcia dojrzały na nim złotawy kłębuszek pyłu.

- Ktosik tu jedzie - rzekł trącając podkomorzego w bok.

Rzucili obaj uważne oczy na drogę. Książę spochmurniał nagle. Nie wiedzieć czemu, ów konny szparko sunący przywiódł mu na myśl zapomniane przez chwilę strapienia: niespodziane ukazanie się latawca, co zawdy coś złego wieści, a przede wszystkim groźby i zamiary syna.

"Pierworodnego syna, jenże (Jenże - który) okoniem staremu oćcu się "stawia" - westchnął z goryczą.

Baczny na każdy ruch pana, trefniś Kwiatek, chłop sprośny i rubaszny, zwalony dotąd nieruchomo w kącie, poderwał się furkając podartym kozuchem, machnął niezgrabnie trzy kozły, stanął na rękach, padł plackiem i zaskrzeczał przeraźliwym głosem:

Przyleciał gawron  
Bylekandy (Bylekandy - byle gdzie) w dom,  
Usiadł w okieneczku,  
Roztoczył ogon...

Lecz książę nie uśmiechał się wcale, bacznie śledząc wzrokiem gościa, który dojeżdżał już do bramy. Pachół to był w wytartym i połatanym lajbiku. Wiecha jasnych jak len włosów spadła mu na ogorzałe czoło. Zeskoczył z ziajany z konia i trzymając go za chmyz (Chmyz - kosmyk grzywy końskiej), jął bić pokłony przed księciem gospodzinem.

- Skądżeś jest, chłopie?

- Z trzebnickiego klasztoru, wasza wielmożność. Księżna opacicha w odwiedziny tukiej jadą; w Psarach się zadzierzeli na modły.

- Laboga! Księżna pani? - zakrzyknął książę ze zdumienia.

- Ano.

- Księżna pani! Z Trzebnicy! Sam Bóg ją zesłał - zwrócił się do danego -

jej tu rady było trza!

- Opacicha! Aj, aj, aj! - zaskomlał Kwiatek, pamiętający, że księżna jego trefnych gadek nie lubiła.

Spojrzał zezem na pacholka i zaśpiewał fałszywie piskliwym głosem:

A bodaj cię były  
Kamienie ubiły,  
Gościu niemiły!

- Stul pysk, durniu! - huknął książę. - Wielkie święto! Przybko, bieżaj do dziewczek, niechaj komnaty gotują! Księżna pani jedzie... Jadwiszka - dodał półgłosem do siebie prawie z rozrzewnieniem.

Zawrócił, by iść do komnaty; nagle przystanął zakłopotany.

- Rany boskie! - zawołał. - Przybko! Wracać się! Leć, a duchem, za panem wójtem, zapytaj, czy tego szelmowskiego syna Paciokę obwiesił już, czyli nie?

Chłopak puścił się pędem ku bramie.

- Czekał, głupi! Tak mu rzekniesz: jeśli już wisi, niechaj mu gnaty skoro poprzetrąca, a ścierwa na szubienicy nie dzierży. Jeśli zaś Paciółka jeszcze żyw, niech mu zaraz łba utną, bo go inaczej księżna pani, ani chybi, od kary wyprosi.

Powiódł oczyma po otaczających go czterech wielmożach.

- Ady niechże kto nie gada o Radosze, że się po komnatach fyrta (Fyrtać (staropol.) - szastać się) - zauważył jak od niechcienia. - Gotowa księżna pani co szpetnie pomyśleć.

Zaprzeczyli z oburzeniem. Kto by się kwapił z ozorem paskudnym lecieć? Wždy i kapelan tego by nie zrobił.

Drzwi gdzieś trzasnęły rzucone wichrem radosnym, aż mur się oderwał. Przysadkowata, czerwona Kachna Prusaczka, famula (Famula (z łac.) - służebna) księżnej i pochrzestna, z pogaństwa przez nią nawrócona, wyleciała jak burza na dziedziniec.

- Moja pani jedzie? - rzuciła się do księcia.

Otrzymawszy potwierdzenie stanęła przed bramą, obcierając brzegiem podwinki (Podwika - chusta kobieca) łzy lecące jak grad po szerokiej, czerstwej twarzy. Oczyma wewarła się w szczelinę lasów, skąd mogła nadjechać pani, milejsza od Boga samego. Niech się tam dziewczki same krzątają jak chcą. Ona nie ruszy się stąd, póki się pani swojej nie doczeka. Wpatrzony również w białawą pętlę gościńca, książę spojrzał w twarz byłej poganki, pełną bezgranicznego oddania, pomyślał, że chętnie stanąłby podobnie czekający, gdyby to księciu przystało. Poklepał przyjaźnie Kachnę po ramieniu i poszedł do komnaty uprzedzić o przybyciu najrzadszego gościa niewiastkę swoją, Ottokarową córę Annę, Henrykową żonę.

Wesołe dojarki i pomywaczki zamkowe zabrały się już wcześniej do piekarni gońca klasztornego na poczęstunek, ciekawie go wypytujac, jaki też dwór z księżną jedzie. Pachol strzygł bystrze oczami spod wiechy konopnych włosów, aż odstawiwszy od ust dzban z maślanką rzekł:

- Hej, szumny dwór. Obaczycie!

- Gadajże, gadaj, syneczku, kto jedzie?

Z szydliwym uśmiechem siorpał ponownie maślankę, dopóki dna nie obaczył.

- Ano, teraz słuchajcie.

Rozparł się wygodnie, palce rozczapierzył zaczynając:

- Siostra Dowmunda - to raz; siostra Ignacja (zawdy coś cierpi do człeka ta marcha (Marcha - ścierwo)) - to dwa; przygłupek śmierdzący - trzy...

- Przygłupek? - wykrzyknęły równocześnie.

- Dyc gadam: przygłupek. Przywākronił (Przywākronić się - przybłākać się) się do klasztoru. Kiej księżnę opacichę widzi, łaskawy jest i pacierze po krześcijańsku gada. Ino jej nie ma, diabeł go chyta i o ziem praska, aż dziw. Nie chciała go opacicha diabłu na poniewierkę ostawiać i zabrała. Paskudne jest chłopisko i z gęby mu śmierdzi.

- A więcej?

- Więcej nikt... Laboga, byłbym zapomniał: dwie kaleki jeszcze są, które księżna sama karmi...

- O reta! Czegóż sama?

Wzruszył ramionami nie wiedząc.

- Miały ostać, ale kiej jęły skomleć a zawodzić, zlutowała się (Zlutować się - zlitować się) pani nad nimi i wzięła...

- Siłaż wozów jedzie?

Wytrzeszczył oczy ze śmiechem.

- Wozów? Jeden stary.

Kołysały się gibkie, do śmiechu skore, zdumione wielce tymi nowinami. Wysoka, urodziwa Radocha trząsa szyją strojnā w otrzymany od księcia sznur bursztynów, wzruszając ramionami z niechętnā pogardā. Starsze dwórki, porządki i skubaczki, pamiętając księżnā paniā z dawnych czasów, kiwały głowami znacząco. Tak, tak: obaczą te młódki, co będzie! Klasztorny ze wszystkim ład... Bez igry, bez płasań nijakich, bez chłopców...

- O, Jezusiczku, aby choć niedługo! - wzdychały strwożone dziewczęta.

Nakarmiwszy uprzednio w kącie izby przygłupka i obie kaleki, pani Hedwiga, Brodaczoza żona, zajęła miejsce przy stole, dwoje wnuczāt, Henrykowskich dzieci, usadziwszy koło siebie. Rada by posadziła je wszystkie dziewięcioro, ale snecha (Snecha - synowa) nie zezwoliła. Cóż by to było za jedzenie! Więcej dziecięcego pisku i swawoli niż niczego.

Stół był długi, z dębowych desek pięknie oheblowanych zbity, szerniały i gładki od starości, na krzyżalach wsparty, obsadzony gęstym wieńcem - familiā książęcā, domownikami, rycerstwem i starszā czeladziā. W pośrodku, naprzeciw siebie, dwa krzesła rzeźbione górowały nad otaczającymi ławami wysokim, zdobnym oparciem. Dziesięć lat mijało, jak krzesło z herbami panów na Andechsie i Meranii (Panowie na Andechsie i Meranii - niemiecki ród książęcy, który u boku cesarskiej rodziny Hohenstafów zrobił wielkā karierę politycznā w w. XIII) stało prózne, bo książę pan nierad widział, by je ktokolwiek posiadał. Dziś z nietajonā radościā spoglādał na bladā twarz żony, wychylającej się ku niemu z obramienia ciemnego drzewa. Acz mocno w leciach pomkła, szczupła, pogodna twarz pani Hedwigi zdradzała jeszcze

dawną urodę, z której słyneła niegdyś ponad obie swe siostrzytce, piękną Agnesę, żonę Filipa Augusta, króla Franków, i Gertrudę, królową węgierską. Nad biały rąbek podwinki, wąskim sierpem opasującej czoło, spływał luźno czarny welon cysterek. Z szerokich rękawów burego, szorstkiego habitu wysuwały się ręce wężle od postów i umartwień, omal przeźrocyste. Zwykle nie jadła nic, prócz postnej polewki i chleba, lecz dziś, nie chcąc jedzących widokiem zbytnej wstrzeźliwości zasmucać, zwoiliła, by dla niej podano kluski gotowane w piwie. Jadła mało, troskliwie za to karmiąc wnuczeta. Z łagodnym uśmiechem wodziła oczyma po otaczających. Czujnym, przenikliwym spojrzeniem opatrywała z kolei rozumną (jakże postarzała!) twarz męża, chmurne głowy synów, rumiane liczko najmłodszej swej, Zofki, kwaśny uśmiech Anny, synowej żegnającej się przed każdym kędsem, a obwieszanej relikwiami jak ołtarzyk. Patrzyła w zadumie, niby na nowość, na głowy Szymona, syn Waclawa - kasztelana legnickiego, Konrada, syna Zygryda - starszego sędzię grodu, danego Lutdolta, komornika Olrycha, miecznika Frydrycha, rycerzy Mikołaja, Chwalisława i Waltera, na okrągłą twarz kapelana, księdza Marcina, sumiaste wąsy starowiny Piotra z Sokolnicy. Schyleni nisko nad stołem, szeroko w ławach rozparci, jedli wszyscy żarłocznie, w milczeniu zaspokajając głód. Psy chwytaly chciwie rzucane przez ramię kości. Odgłosy żarcia i głośnie przełykania piwa wypełniały jednostajnym szmerem izbę. Nikt nie zabierał głosu dla zbytcejnej, przeszkadzającej w jedzeniu rozmowy. Starczy na nią czasu, gdy syci popijac będą miód, zagryzając kukielkami z białej, pszennej mąki.

Nasycona dostatecznie kilkoma łyżkami strawy, gładząc wąską dłonią jasne głowy wnuczat, stara kobieta przeniosła wzrok z ludzi na ściany. Mówily do niej więcej niż schyleni nad jedzeniem domownicy. Znała każdy sęk i słój w szczeriałych belkach pułapu, każdy fałd spłowiałych, zwieszających się ze ścian tkanin, dzianych z rozkazu pradziada Krzywoustego w herby panów Piastów. Z każdego kąta wzyerały ku niej wspomnienia. Klasztornicę z dobrawoli wracającą tutaj nieopatrznie, opadły natarczywe. W nawale ich wydało się księżnej, że ubogie dziesięć lat życia zgoła nie istniały... Nie porzuciła nigdy swego domu. Nie przestawała przodować temu stołowi, licznej rzeszy rodziny i dworskich, siedząc w wysokim, rzeźbionych w herby ojców krzesle, którego gryfy-poręcze (Gryf - uchwyt, rączka), wygładzone jej dłońmi przez lata, wsuwały się same w rękę, chłodne, a miłe jak dobry przyjaciel. Nie zmieniło się nic zgoła. Ino patrzeć, kiedy zza drzwi wysunie się szturchający kosturem, stękając i kaszląc, Odonicowy stryjec, Laskonogi (Władysław Laskonogi - (ok. 1161-1231) książę wielkopolski, przejściowo - krakowski), okutany w ten sam niedostępny kozuch zimą i latem - groźny starzec, którego bały się dzieci i ona też. Za nim, z właściwym sobie tylko, niewypowiedzianym wdziękiem wejdzie piękny rycerz Peregryn z Wissenburga, najulubieński przyjaciel książęcy, co w Gąsawie Henryka Brodacza od Leszkowego losu ocalił i sam przy tym zginął ("... rycerz Peregryn z Wissenburga (...) co w Gąsawie Henryka Brodatego i Władysława Laskonogiego) w Gąsawie w 1227 roku miał podjąć uchwały o zjednoczeniu Polski. Zamach księcia Światopełka pomorskiego i Odonica

pokrzyżowały te plany. W zamachu stracił życie Leszek Biały, a rannego Henryka Brodatego osłonił własnym ciałem rycerz Peregryn). Tak uczynił z miłości ku niej, o której to miłości ona nic nie wiedzieć, nawet gdy konał, nie chciała... A otóż sama siada na koń, pana swojego i męża z Konradowej niewoli na zamku czerskim wypraszać...

Jakże pałace, bolące były to wówczas te sprawy, jak mocno dzierżyły duszę, ni chwili wytchnienia nie zwoląc... A jakże dziś są dalekie, na podobieństwo opon na ścianach zetlałe!

Z westchnieniem ulgi stwierdziła sama w sobie tę dalekość, lecz równocześnie zły dreszcz szarpnął serce - jakoby przeczucie, że niedługo nowa niewola wejdzie w ten dom, a ona nie pozostanie obcą jej, równie jak wtedy. Stuliła mimo woli ramiona, niby unikając ciosu. Zaniepokojony umysł odnalazł w pamięci zasłyszane niedawno od wędrownego zakonnika słowa. Oczyma pełnymi pytania spojrzała na męża. Skończył już jeść i patrzył na nią.

- Gadają wiele - rzekła - o Mongołach. Tartari ich pono zowią... Pielgrzym jeden z klasztoru zachodził i prawił, co na krześcijany się zmawiają, co już idą...

Książę Brodaty machnął ręką wzgardliwie.

- Pewnikiem brat Julianus, który u nas był. Z Kijowa szedł. Widno się rozum niebożatku ze strachu pomylił, bo dziecko w to, co gadał, nie uwierzy...

- Naisto?

- Naisto - potwierdził z mocą. - Gadał, że niby Mongoły, ino zechcą, przyjdą tu i wszystkich zawojują. A juźci! Taki szmat drogi! Rusowie nigdy tu nie przyszły, a Mongoły! Nie przyjdą, nie. Dzicz to sprośna, pogańska, nic zgoła nie rozumiejąca.

- Wždy Rusów pobily - zauważyła nieśmiało.

- Baić (Baić - opowiadać, zmyślać)! - uśmiechnął się z wyższością. - Siła tam ruscy znaczą! My, chwalić Boga, rycerstwo mamy przednie, a grody! Nie byle potęga! Po śmierć by chyba przyszły te Mongoły!

Zdufniał własnymi słowy i powiódł z dumą oczyma wokoło.

- Przyjechał dziś - ciągnął - kupiec niektóry z zamorskiego kraju, pono z Chin. Dary szumne przywiózł, byle mu miejsca na kram nie skąpić... Ten ci prawił, że chyba do Rzymu zajechał, a z samym cesarzem gada, bo strasznie mu się udały gród i zamek, że warownie a wspaniale.

Szmer zadowolenia obiegił siedzących. Drzwi skrzypnęły, uchylone przez pacholka Przybka.

- Wasza wielmożność - meldował - pan wójt grodzki pedali, co Paciokę obwiesili jeszcze wczora.

- Dobrze, idź precz! - mruknął książę. Mimo woli przeniósł wzrok na żonę.

- Co on gada? - zapytała.

- Et! - machnął ręką - posyłałem na gród spytać, czy jednego hultaja z piekła rodem powiesili, czy nie, bo sprawiedliwie rzekłszy, bojałem się, że go każecie odciąć, jako z Chwostkiem było, i do żywota niecnego przywrócić.

- Wiera (Wiera - oczywiście), wszystko, jak drzewiej bywało - odparła z pewną goryczą. - Szubienica stoi niepusta, a mistrz i jego pacholki też

pewnie nie próżnują na placu...

- Bo i zbóje nie próżnują - burknął książe. - Ten ci Pacioka z pół kopy ludzi napsował.

- Nie napsowałby ich, żeby go bieda nie żarła albo żebyście z nim gadali po krześcijańsku.

- A ino. Wolej niech ta kat z nim gada.

- Hańba z szubienicą rządzić - odparła z wielką powagą. - Toć każdy z tych niebożadek krwią przenajświętrzą Krystusa Pana jest odkupion, i wy, na męki go dając, tę krew najświętrzą poniewieracie...

Łzy zburzenia i żalu zabłyśły w jej oczach. Dzieci przestały jeść, patrząc na babkę z niepokojem. Wszyscy zamilkli onieśmieleni, nie spoglądając na się wzajem. Nie podzielał jej zdania nikt, nawet ustawicznie modląca się Anna. Kapelan mruczał coś pod nosem, niby potakująco, lecz bez przekonania. Wiadomo, ludzi, szczególnie gołotę, trza trzymać w strachu zbawiennym. By się lękali Boga, księdza i prawa. Jakże to zrobisz bez kata? Słowa jej wydały im się jakby pięknym kazaniem biskupim, którego rzewliwie jest słuchać bijąc się krzepko w piersi, ale czynić trza po ludzku, jako i sam biskup czyni.

Wyczytawszy jawnie te myśli z ich schylonych głów, przygryzionych w zakłopotaniu wąsów, księżna westchnęła z cicha. Żal jej się zrobiło, że wnet po przyjeździe tak im jedzenie osmęca.

- Gdzież to Kwiatek? Czy żywie? - zapytała męża.

- Żywie, żywie! - odparło z ulgą kilka głosów.

- Żywie, jeno się skrył - parsknęła śmiechem Zofka i zatkała usta opaloną na brunatno dłonią.

Przytaszczono Kwiatka, który się opierał, niepewny, zali kapelan lub Kachna nie powtórzyli już księżnej jego uciesznych gadek na biskupa. Lecz pani powitała go dobrotliwie, gładząc kudłaty łeb błazna i dając mu własnoręcznie kukiełki ze stołu. Uradowany tym przyjęciem Kwiatek stawał na głowie, tańczył jak niedźwiedź, piał jak kur. Jeno śpiewać ani grać nie chciał nie sądząc, by cokolwiek z jego gędźby (Gędźba - cicha muzyka lub instrument muzyczny) mogło się spodobać pani. Patrząc na jego niezdarne kozły i wierzgania biesiadnicy śmieli się do łez, klaszcząc w dłonie i plaskając się rozgłośnie po udach, gdy nadziawszy na głowę wywrócony włosem

na wierzch kozuch, Kwiatek droczył psy, które doskakiwały do niego ujadając zaciekle, zapłakany ze śmiechu kapelan oparł głowę na ramieniu sędziego grodu, Konrada, i obaj podrygiwali w ławie w konwulsji radości. Izba trzęsła się od śmiechu i szczekania psów. A dziwna: im bardziej niefrasobliwie cieszyli się obecni, tym gorszy ucisk, lęk ścisnął serce starej kobiety przybyłej z klasztoru.

Z nie ukrywanym zadowoleniem Anna, córka Ottokara, powiodła świekrę w gospodarskie obejście, by się rządem swym pochlubić.

Otwierała z dumą skrzynie, plecione z sitowia beczki i stępy (Stępa - dawny przyrząd do tłuczenia, rodzaj moździerza) palone w pniu i wielkie gliniane gary, pełne zapasów ziarna, krup, mąki, miodu i serów. Okazywała bogactwo run wiszących, konopi, lnu międlonego. płótna, wędzonego mięsa i



żółtej ze starości słoniny. Z lubością dotykała w przechodzie atlasowych, chrześzczących wieńców cebul, przesypywała w ręku mak, wachając, czy nie zatechł, raz po raz spoglądając wyczekująco na świekę, rada słyszeć, jak się to jej widzi.

- Ejże, nigdy za mnie tak nie bywało - uśmiechnęła się opatka zrozumiawszy to spojrzenie.

Mówiła prawdę. Nie umiała i nie lubiła gromadzić dostatków. Rozdawała wszystko zbyt, za grzech sobie trzymając ostawianie nie użytego dobra w komorze, gdy są, którzy głód cierpią. Wieleż razy dawniej mąż - żartobliwie, gdy był wesół, ze złością, gdy mu troski zajadały - pytał: "A ostawiłaś choć krzynę, byśmy jutro mieli co do gęby włożyć?"

Widok dostatków nie radował jej, owszem niepokoił w przykry, niewytłumaczalny sposób, niby rzecz Bogu przeciwna. Odwracając oczy od niszczących w nadmiarze swoim zapasów, śledzia współczującym wzrokiem Annę. Tak miłowała swe bogactwa; szczęśliważ choć była pośród nich? Chyba nie. Szła silnie podana naprzód, gdy w ciąży w siódmym miesiącu, z twarzą żółtą, nurtowaną tajemną jakąś troską. Z wąskich ust nie schodził jej wyraz zgryźliwej urazy, nawet gdy otwierała wieka pełnych skrzyń lub macała miękką, długą wełnę. W piekarni wyjmowano z pieca świeże bochny, więc Anna brała je kolejno, pobijając w spód dłonią, by sprawdzić, czy dobrze wypieczone. Gdy odpowiadały głuchym dudnieniem, kreśliła nad każdym znak krzyża palcem, nie zmieniając przecież kwaśnego skrzywienia ust. Stara księżna patrzyła na nią przenikliwie.

- Szumna z ciebie gospodynia - zauważyła pragnąc rozjaśnić jej lice.

Anna zacisnęła gniewnie wargi.

- Ino patrzeć, kiedy trza będzie to ostawić - mruknęła niechętnie. - Z Jątrwią (Jątraw (staropol.) - bratowa) nie będę żyć społem, a ociec Konrada chcą swatać.

- Bywa, że w jednej kleci (Kleć - schowek, przybudówka, spichlerz) cały ród żywie, a ten dworzec na dwie bratowe ciasny?

Lecz Annie oczy ściemniały ze złości.

- Ja tam nie dam przewodzić nad sobą nikomu. Królowa jestem!

- Toć można żyć w zgodzie nie przewodząc sobie wzajem.

- Starszy on - syknęła młoda, z urazą patrząc na świekę. - Ja, królów cerka (Cerka - córka) i siostra panów wielmożnych, na stolcach osiadłych, nie będę mniejsza przed Jątrwią!

- Srogie to są słowa, Anno, bo nigdy nie wiada, kto będzie mniejszy, a kto większy w królestwie niebieskim.

Snecha nie odparła nic. Z mrocznych zatechłych komór, z przepojonym pyłem chlebnym piekarń i spiżarni wyszły na tylny dziedzińczyk zamkowy. Rozsypana słoma lśniła na ziemi jak złoto. Gruchały pod dachem gołębie. Z długiego, niskiego chlewa, stojącego naprzeciwko, doleciała piosenka.

- Zofka zawdy pieje - odezwała się Anna z przekąsem.

- Pianie nie grzech - uśmiechnęła się opatka.

Lecz piosenka zmiłkła, bo Zofka obaczyła nadchodzące. Z ciemności chlewa, gdzie doglądała dojarek, wyszła na światło mrużąc błękitne oczy przed blaskiem. Ciężka płowa kosa zwieszała się z pleców. Ugięta kiecka

odslaniała smukłe nogi.

Podeszła lekko, podejmując matkę pod kolana z nabożnym, nieco trwożnym szacunkiem. Czuła zawsze pewną bojaźń przed świątobliwą opatką - ona, co jedyna z córek przeciwiała się pójść do klasztoru. Niewiele by jej przeciwieństwo znaczyło, jeno że ociec ją wspomógł. "Wszystkie mi zabierasz - gadał - ostawże choć jedną..." Zofka nie wiedziała, ani przypuszczała, że mimo to matka miłowała ją najbardziej, więcej niż potulną Gertrudę albo niemrawą Agnieszkę. "Juści, spokojniejszam o tamte - mawiała - że je do furteczki niebieskiej rażno doprowadzę; ale skoro chce na świecie żyć, to niech ta".

- A wiesz już, jak potrza doić? - zapytała, w odmłodzonym nagle błysku oczu przywołując jakieś im dwom tylko wiadome wspomnienia przyuczania w kunszt dojarski.

Nieśmiałość dziewczyny prysła. Buchnęła śmiechem głośnym, słonecznym.

- Oj, wiem! Byście też zaszli, pani matko, podziwiać się na krowy?

Weszły w ciemną, niską szopę, pełną zapachu nawozu i mleka. Stara księżna z przyjemnością gładziła lśniące kłęby, rozłożyste grzbiety. Zwykłym swym, zbolałym głosem Anna objaśniała, że żywinę (Żywina - bydło) trza już było zabrać do obory, bo wilki strasznie się znęciły do stada. Pastuchy rady dać nie mogły.

- A paszy jest jej tyle... jej-jej! Na dwa roki by starczyło - mówiła Zofka.

Szła przodem nazywając krowy po imieniu: Czarnula, Pstrocha, Śniegula, Łaciocha, Środula. Słyszac swe nazwy odwracały połyskliwe, łagodne oczy. Szorstkie jęzory okrężnym chwytem próbowały zagarnąć fałdę habitu. Środula ocieliła się dziś rano. Była to ulubienica Zofki, chronna dniem swego urodzenia - środą - od uroków i odbierania mleka. Właśnie starsza dojarka pryskała na krowę wodą, zaklinając, by równie obficie pryskała mlekiem. Ciele, pokracznie rozparte na zbyt długich, słabych jeszcze nóżkach, z czołem umazanym twarogiem gwoli przyszej mleczości, merdało ogonkiem owiniętym czerwoną, przeciwuroczną krajką. Za przegrodą z cieni (Cień (staropol.) - strop\_ buhaj porykiwał krótkim, przepojonym żądzą i siłą grzmotem... Stara księżna chwaliła krowy. Lubiała wielce wszelką gadzinę domową (Gadzina domowa - zwierzęta domowe). Anna cierpko dogadywała coś dziewczkom. Zofka ze śmiechem przyniosła półroczne jagnię, tulące się do niej jak dziecko.

Noc już była i pani Hedwiga kończyła długie wieczorne pacierze klęcząc wytrwale na stergłych kolanach, gdy książe pan uchylił drzwi komnaty. Spojrzała nań zdziwiona, podnosząc się z trudem.

- Ugadać bym z wamim chciał - rzekł prawie nieśmiało.

Skloniła głowę dotykając lewą dłonią brzegu sukni i szyi na znak posłuszeństwa, lecz równocześnie wskazała stojącej we drzwiach siostrze Dowmundzie miejsce za sobą, na ławie. Usiedli z mężem naprzeciw siebie. Henryk Brodacz patrzył na żonę uparcie, kręcąc w palcach runo brody. Nie wiedział, od czego zacząć, choć tyle miał do gadania. Onieśmiewały go jej

powaga, dostojność, dalekość. Jak gdyby zamknięta w wyniosłej świetlicy swej duszy, gdzie dosięgnąć jej nie lza nikomu. Z trudem uprzytomnił sobie, że wszakże to jego Jadwiszka, ta sama, luba niegdyś, nade wszystko roztomiała żona, matka troskliwa dzieci, podpora tyłu lat. Siedzi oto uśmiechając się - jak nikt kromia jej uśmiechać się nie potrafi - bliska, jeno ręką sięgnąć, a zarazem dziwacznie daleka, on zaś nie wie, jak do niej zagadać.

- Zeście do nas przyjechali... - rzekł w końcu.

- Cniło (Cnić - tęsknić) mi się bez was - odparła z prostotą. - Chciałam obaczyć, jako się wam żywie...

- Hej, cniło mi się bez was! - westchnął. - Tyle lat! Dziesiąty roczek już minął! Ani razuście się do nas nie dowiedzieli - dodał z zadawnionym żalem.

- Niedobrze jest sercu folgować.

- Tyle lat! - powtarzał, jak gdyby chcąc się uskarżyć na długą tęsknotę.

- Pomnę ja dobrze... Tak wam śpieszno było do mnie, żono, żem zbójców puścił z lochów, by klasztor... Żaden ksiązę takiej łożnicy swojej pani nie ustroił, jako ja...

- Toteż wszystkie siostry modlą się codziennie za zbawienie duszy waszej, panie mężu, i modlić się będą, póki tego klasztoru stanie.

- Bóg zapłać i za to... Bardziej mi was potrzeba niż modłów.

- Cóż potrzebniejsze jak modły? - odparła wzruszona do żywego bluźnierstwem.

Nie odpowiedział patrząc na nią błagalnie.

- Jadwiszka - rzekł z cicha - ostań z nami! Wielmi (Wielmi - wielce) trzeba twojej rady... Starym jest, sfrasowany... Ani wiem, co począć... Hej, rozpowiem ci jutro, wiele trosk, zgryzt dojadło... Najgorsza z Konradem...

- Z Konradem? - powtórzyła zdziwiona.

- Ano, z nim. Niemców przeżywa, że Śląska chce pędzić precz...

- Za co?

- Bo ja wiem? Że cudzy są. Że się przy nich Ślązaki w Niemce przekocą... Że już nie będą po swojemu gadali...

- Cóż mu to wadzi? - zapytała ze zdumieniem. - Byle dobrymi krześcijanami ostali.

- Gada, że mu srodze wadzi. To moja przednia bolączka. Druga... trza by w końcu królestwo zładzić, Polskę zebrać... Ty wiesz, wiele lat czujno o tym myślę... Pomnisz, jako trzydzieści roków temu przyganiałaś mim nieraz, że przy tobie leżący o koronie owej myślę, nie o pieszczotach?

Księżna oplotła rękami kolana. Czasy owe wydały jej się tak dalekie, wypłowiłe, ciału obce, że nie zarumieniła się nawet.

- Zawsześ o tej koronie myślał i gadał - rzekła. - Bacz, byś przez nią niebieskiej nie zaniedbał...

- Takeś mi i wtedy prawila - roześmiał się. - Ja zaś aże wzdychałem przez sen. Owo teraz nadszedł czas: mogę królem być... Nie dawno legat z Rzymu przyjeżdżał. Dałem świętopietrze, aż się zdziwił. Błogosławił... Poniechał tu do czasu pieniądze, a sam do Konrada Mazowieckiego pojechał.

Wyciągnie on co z tego piskorza - jużci! A ja dałem. Tyle srebra, aże lutość (Lutość (staropol.) - srogość żal) brała... Ale na przypadek koronacji trza mieć przyzwolenie Ojca Świętego... Chciałem też, byś rada była...

- Grzeszysz, panie mężu, taką mową - rzekła - boś dał z krześcijańskiej swej powinności, a nie dla innej przyczyny.

- Niech ta - przystał - jako chcesz... Zbliża się korona, zbliża... Kilka niedziel temu, kiedym był w Krakowie, powiada do mnie Sulisław wojewoda: "Pora już, pora!..." Isto, pora. Ale kogo naznacę po sobie? Henryka? Konrada?... Jednemu dać królowanie, drugiemu Śląsko? Żle! Cóż Polska bez Śląska? Jako bez głowy... Jednemu wszystko, drugiemu nic?... Także źle. Konradowi by się godziło, bo starszy, Henryk zasię sposobniejszy... Ta krzywa gęba, Anna, ciągiem się stracha, że Konradowi dziedzictwo ostawię, i judzi na niego jak może... Gadzina! Ot, kłopotów tyle... Ostań ze mną! Z samym Pełką nawet się ugodzę... Tracić nikogo nie zwolę... Ostań! Razem dobijemy lat...

- Ma wodzić chromy ślepego - odparła łagodnie - nie lżejsze, jeśli jeden pójdzie do Tego, co widzi, prosząc, aby powiódł obu?

Westchnął i umilkł. Nie umiał uczenie z nią prawić ani przekonywać, a czuł się taki stary i samotny...

## 8

Choć kram chiński od pierwszego dnia cieszył się wielkim napływem kupujących i ciekawych, Iwan i Proć, Rusini, wystarczali, by się z nimi porozumieć. Ponury, barczysty Ujgur, Wan-ho, siedział nieruchomo w kącie, przyjmując i wydając denary niemieckie, grosze czeskie i polskie, cienkie, poszczerbione brakteaty (Brakteat (łac.) - cienki pieniądz średniowieczny) oraz zastępując monetę łupieżę kun i płaty lniane.

Kram był dość mroczny, gdyż ciągnące się wokół szmatruza podcienia zakrywały światło. Żelazne, kute drzwi zamykano od wnętrza na mocne wrzeciędzie, po czym górną połowę spuszczano na zewnątrz w kształty klapy, na której Iwan rozkładał przedziwne cuda dzierganych atłasów. Zniżające się przed zachodem słońce, odbite tęczą w otworze, mieniające się w połyskliwych strugach tkanin, wpadało ukośnym snopem do wnętrza, zapalając gorące połyski w zwiniętych na półkach jedwabiach. Za sklepem była komora, raczej alkierz, zgoła już mroczny, z zejściem w dół, do lochu-składu, i z tylnymi wąskimi drzwiczkami. Tam, w ciszy i samotności, za przegrodą z malowanego papieru, w przesianym świetle czerwonej latarni, przebywał mandaryn Czang-fu-tse wraz z sekretarzem swoim Pen-ta-san. Podczas gdy za ścianą, oddzielającą komorę od kramu, rajcowały głośno mieszczki, płaszcząc w dłonie z radości na widok pięknych szmat i kłócąc się z mężami, nieskorymi do supłania grosza z kalety, gdy zabłąkane przypadkiem w grodzie puszczanki wykrzykiwały niezrozumiałym, na poły ptasim bełkotem swój zachwyt, a rycerze stąpając ciężko i władczo, rozbierali co najdroższe tkaniny na płaszcze - głuchy i obojętny na tę wrzawę uczony czy-jen dyktował pracowitemu sekretarzowi długie, a szczegółowe memoriały. Zwinięty ciasno

pergamin, pokryty kolumnami dziwacznych znaków, włożony w rurkę miedzianą, oddawany był następnie własnoręcznie przez mandaryna kosookim wysłańcom,

którzy każdego nowiu zjeżdżali na miejsce chwilowego pobytu Chińczyków, przywożąc nowe zapasy towarów. Gdy przybył znajomy wóz, a zaszyte w cienką chińską rogożę (Rogoża - mata pleciona ze słomy, łyka itp) tłumoki złożono już na półkach pod baczynym okiem Wan-ho, wysłaniec, wprowadzony za papierową przegodę, wręczał mandarynowi, leżąc na twarzy, wyciągniętą z zanadru wąską puszkę miedzianą ze zwisającą pieczęcią, na której wyrażony był żółw opleciony przez dwa smoki, a odbierał bliźniaczo podobną. Bez żadnego gestu dodatkowego ze strony mandaryna, bez słowa, posłaniec wycofał się tyłem, bijąc trzykrotnie czołem, siadał na oczekujący na rynku wóz i zawracał. Nie potrzebował ani śmiał zatrzymać się na chwilę dłużej w mieście, do którego dążył rok.

Zwijając nowe tkaniny na wałki, odmierzający je polskim łokciem, miast chińskim "tszi", Iwan i Proć odprowadzali przybysza obojętnym sennym wzrokiem. Chwilowe ich ożywienie czasu przejazdu przez rodzinne strony - zgasło. Niewola trwała taka sama, tu czy tam. Lęk przed Chińczykiem wzrastał. Zbyt nieporadni i bierni, by obmyśleć plan ucieczki, zbyt ciemni i leniwi, wykonywali obojętnie rozkazy Ujugura i sekretarza, nie myśląc o niczym więcej.

W przeciwieństwie do nich Gaetano trwał w nieustannej gorączce. Od rana do wieczora wałęsał się po mieście, wbrew wrodzonej nieśmiałości podsłuchując, pytając, dowiadując się. Gdzie jest Trzebnica? Jak daleko? W której stronie? Pod wpływem poczucia bliskości jego miłość rozzarzyła się, podniosła. Niegdyś, gdy Beatrycze obleczono w habit, płakał, cierpiał, na poły jeszcze jak dziecko bezradne i skrzywdzone. Dziś pożył widoku jej i wyzwolenia jak mąż dojrzały. Z bijącym sercem wyszukiwał wśród grodzkich ludzi takich, co byli w Trzebnicy, mogli o niej coś powiedzieć. Było ich niemało, lecz wszystko, co mówili, ograniczało się do tych samych rzeczy: że klasztor jest strasznie szumny, tak iż równego na świecie nie znaleźć, dachem ołowianym kryty, który sam jeden kosztował dziesięć tysięcy grzywien, że go ufundował pan dla świątobliwej pani Hedwigi i że siła w nim żyje sióstr bardzo uczonych, z dalekich krajów zawiezionych.

Słuchając tych skąpych szczegółów, Gaetano układał w myśli tysięczne plany działania. Zawile, fantastyczne, niewykonalne, wznosiły się i opadały same przez się. Daremnie dla podtrzymania ducha powtarzał sobie po raz setny znajome przykłady o porwanej z klasztoru dziewczce Pikardzie lub Pi, o szlachetnym Marku del Rosso, który zabrał swą lubą z klasztoru wszedłszy do rozmównicy przebrany za krewną opatki. Nawet tu, we Wrocławiu, opowiadano

wszak na ucho o jednym z nieboszczyków książąt, co mniszkę norbertankę na złość ksieni porwał i nałożnicą swą uczynił. Zatem podobne wypadki były możliwe... Różane, najmilsze liczko wysuwało się z mgły, chyliło tuż przed oczy. Płonęła dusza. Ale rozsądek otrząsał go trzeźwo z tych myśli. Insza rzecz książę, inna nieznany kupczyk cudzoziemiec. Jawne szaleństwo

zamierzeń chłodziło mu głowę widmem kata i szubienicy na placu. Przeto w poczuciu swojej bezradności i niemocy zdawał codziennie mandarynowi sprawę

w postawie tak beznadziejnej, głosem do tyła żalonym i zniechęconym, że sekretarz Pen-ta-san, unosząc w dwóch palcach pędzelek, krzywił wymownie usta nie tając pogardliwego zdziwienia nad podobnym stanem ducha.

Otoczony chmurą dymu opiumowego, mandaryn zdawał się nie dostrzegać oplakanego wyglądu swego wywiadowcy, przecie pewnego dnia odłożył fajkę od ust i rzekł niespodziewanie:

- Jeżeli tolholos udzieli im ścisłych wiadomości, dobrych wiadomości, ważniejszych niżli nieciekawe gadaniny, jakie powtarza obecnie, obmyślę plan skuteczny wyzwolenia jego dziewczki z klasztoru.

Gaetano pobladł i oblał się pąsem, by zblednąć ponownie. Dygocąc jak liść i szczękając z wrażenia zębami, zapewnił gorąco, że udzieli wszystkich wiadomości, jakie mu zebrać rozkażą.

- Drogi, gościńce w całym Śląsku - jał wyliczać mandaryn. - Odległość stąd do Opawy, do Legnicy, do Kamiennej Góry, do Lubania... Wszystkie drogi ku granicy czeskiej i niemieckiej. O każdej dokładne mieć wiadomości. Lasem idzie czy łęgami, sucha czy błotna, wąska czy szeroka...

- Jakoż to uznam? - bąknął Gaetano w nawrocie dawnej ślamazarności.

Grymas zniecierpliwienia przeleciał po martwej masce mandarynowej. Krótkim gestem ukazał sekretarzowi jakoby brzdąkanie w struny, po czym, przewróciwszy się wygodnie na wznak, zaciągnął się dymem, obojętny już i obcy dalszej rozmowie.

- Aoh - rzekł z cicha Pen-ta-san. - Niezrównany, mądry i stary mój mistrz, perła czy-jenów, chluba Państwa Środkowego, raczył objaśnić, że młody cudzoziemiec może iść po wszystkich tych drogach jako tolholos wędrowny.

- Mogę, rzeczywiście - rozjaśnił się Gaetano. - Znam wiele pieśni italskich i parę niemieckich...

- Nie potrzebuję przypominać młodemu cudzoziemcowi - ciągnął poważnie Pen-ta-san - iż żadne jego słowo nie ma zdradzić zamiarów ni właściwej przyczyny wędrowni.

Gaetano skinął głową z przejęciem. Nie tak snadź obojętny rozmowie, jakoby się zdawało, mandaryn wydał krótki gardłowy pomruk.

- Mój wielce stary, czcigodny i uczony mistrz - rzekł Pen-ta-san, spoglądając ze czcią w stronę leżącego - raczył zauważyć, że aby powzięty przez niego doskonały plan dał się zadawałajaco przeprowadzić, młody cudzoziemiec ma zbadać wprzód odleglejsze drogi, do samej Trzebnicy ani razu nie zachodząc, i nie starając się mówić o swej lubej z nikim.

Mandaryn chrząknął ponownie.

- Wielki i mądry czy-jena, chluba Państwa Środkowego - tłumaczył śpiecznie ten odgłos sekretarz - raczył zwrócić uwagę nam, niegodnym swoim słuchaczom, że w razie niedopełnienia powyższego przez tolholosa, przestanie myśleć życzliwie o jego miłosnej udręce i wykonania planu zaniechania.

- Nie uczynię tego, na pewno - zaręczył gorąco Gaetan.

Wzruszony, szczęśliwy, wyszedł z dusznej komory do kramu. Ukośny, jaskrawy płomień kładł się w poprzek izby, olśniewał oczy gorącą poświatą. Kupujących na razie nie było. W kącie Wan-ho skrzypiał chińskim liczydłem, przebierając po nim szybko i wprawnie śniadymi palcami. Proć porządkował na

półkach. Iwan drzemał złożony głowę na pace z towarem. Nie patrząc na nich Gaetano oparł się oburącz o spuszczoną na zewnątrz klapę. Serce miało pełne radości, również świetlistej, jak grający tęczę ponad jego głowę promień. Z nieśmiałą, przecie żywą wdzięcznością pomyślał o mandarynie, uznał w duchu po raz pierwszy jego przenikliwą mądrość. Nie wiedział, jak wyzwoli Beatrycze, ale nie wątpił, że potrafi to uczynić, skoro obiecał. W myślach zobowiązywał się do gorliwego, śpiesznego przebieżenia wszystkich dróg, udzielenia żądanych wiadomości najdokładniej.

Odetchnął radośnie, szeroko wyciągając powietrze, które zresztą nie zasługiwało bynajmniej na miano świeżego. Sąsiedni sklep sukienniczy ławnika miejskiego Komczorka zatruwał wokoło atmosferę gęstym, niemiłym zapachem świeżego foluszu (Folusz (z łac.) - przyrząd do zgniatania sukna, tu: sukno). Niezdolny usiedzieć na miejscu, Gaetano wyszedł na plac, zdecydowanym krokiem kierując się ku winiarni miejskiej, w piwnicy radzieckiej umieszczonej. Plac targowy, dość okazały i rozległy, był o tej porze podwieczornej prawie pusty. Wiatr polatywał kręcąc lejki z kurzu i śmieci. Babie lato, przywiane z pól, z łęgów nadodrzańskich, płynęło nad ziemią czepiając się pustych już kramów. Plac otoczony był drewnianymi domami o misternie rzeźbionych podcieniach, lecz zdarzały się wśród nich murowane, stanowiące chlubę grodu. Do szmatruza przytulona była waga miejska żelazna i ołowiu, a tuż za nią, obwarowana mocną kratą, topnia srebra i złota, własność książęca, lecz wydzierżawionych myncarzowi (Myncarz (mincarz) (z niem.) - przełożony mennicy) niemieckiemu nazwiskiem

Hans Kuna. Za tonią srebra leżała druga, podlejsza, wosku i łoju, dla młynarzy cechowych, dalej dwie postrzygalnie, a za nimi łaźnia, browar książęcy i ogródek wójtowski. Miasto było rozległe, nad Odrą rozsiadłe. Z trzech dzielnic złożone: w środku niemiecka, pobok niej polska i włoska. Wszystkie te dzielnice podzielone były na trojaki odległości, czyli rozstaje. Z tych pierwszych ograniczona była idącymi od rynku przecznicami, druga murami grodu, trzecia końcowymi miedziami pól miejskich i brzegiem Odry. Mieszkańcy wszystkich trzech rozstajów zaliczali się do mieszczan i podlegali władzy wójta oraz srogiego "Saksonu", bezlitosnego, lecz mądrego prawa, zwanego Sachsenspiegel (Sachsenspiegel (niem.) - saskie zwierciadło: najstarszy zbiór niemieckich praw w średniowieczu). W myśl jego nakazów każdy mieszczanin mieszkający w rozstaju pierwszym, czyli w sercu grodu, obowiązany był zamiatać codziennie drogę przed swoim domem aż do połowy rynny granicznej, a płacił kopę groszy, jeśli przechodzącego ulicą oblał nieuważnie nieczystościami wylewanymi przez okno. W rozstajach drugim i trzecim podobnie przykrych obstrzeń nie było, pozostawał jednak nakaz chodzenia wieczorem bez broni, ale z latarnią. Na rogach cyrkułów, czyli kwartałów, wisiały osęki i bosaki na wypadek ognia, najstraszliwszego wroga

grodu. Skoro strażnik z ogródka zatrąbił na trwogę, każdy miał obowiązek biec na ratunek, a pierwszy przybyły na ratunek z wodą otrzymywał wiardunek (Wiardunek (z niem.) - czwarta część grzywny), czyli nagrodę primum vas (Primum vas (łac.) - pierwsze naczynie). Natomiast biegnący w stronę ognia bez narzędzi ratunkowych chwytni byli i zamykani na tydzień do loszku jako próżniaki lub złodziejaszkwowie. Obowiązek wykonywania wszystkich surowych przepisów "Saksonu" - kar za szpetne ozory przekupek, publicznego smagania czeladzi świętującej w poniedziałek, obcinania na targu ogona pozostałym z poprzedniego dnia rybom - należał do "silke-meistrów", zwanych też głównymi lub wiertnikami. Było ich dwudziestu, dobrze płatnych, tęgich chłopów, naczelnikiem zaś nimi pozostawał panosza Więcymil z Miechowic, były wójt grodzki.

Gaetano przeszedł rynek śmielszym niż zazwyczaj krokiem i zszedł po mrocznych, stromych schodach w głąb buchającej wrzawą piwiarni. W obszernych piwnicach, słabo oświetlonych pochodniami, widniały pod ścianami

ustawione rzędem beczki z winem francuskim, węgierskim, reńskim - winem riwola, romania, syrmijskim i krajowym, dość kwaśnym, lecz zgoła niepodłym. W dalszych piwnicach stały beczki z piwem świdnickim, książęcym i grodzkim wrocławskim. Między dwurzędem beczek ustawione były stoły, ciasno obsiedzone ludźmi. W środkowej, największej piwnicy, gdzie siadali rajcy niemieccy, donośnym cechu, wielki gębacz górował ponad wszystkimi Henko płatnerz (Płatnerz (z niem.) - rzemieślnik wyrabiający miecze, tarcze i zbroje rycerskie), mistrz cechu, wielki gębacz i głowacz nie lada. Nikt, tak jak on, nie pamiętał wszystkich ustaw i przepisów, przeto używano go do sądu jako ławnika, nawet gdy jego kolej nie przypadała.

Wprawdzie "Sakson" spisany został na pergaminie przez ojców cystersów, lecz obok niego istniały niezliczone wilkierze (Wilkierz (z niem.) - ustawa miejska), czyli prawa zwyczajowe, lub ustawy dodatkowe, w pamięci, na podstawie powszechnego mniemania przechowywane. Tych nikt nie znał tak szczególnie i pewnie, jak płatnerz z Koźmina. Niczym księga potrafił na żądanie wyliczyć bez myłki wszelkie wilkierze, tyczące czynszów wyderkafowych (Wyderkaf (z niem.) - prawo odkupu), zasiedzenia dziedzictwa w ciągu roku, schwywania wyświeconego (Wyświecić - wygnąć z miasta siekąc różgami) gry w kości, zdobycia miecza, proskrypcji (Proskrypcja (łac.) - wyjęcie spod prawa, wygnanie z kraju) doczesnej - na rok i jeden dzień oraz wieczystej - na sto lat i jeden dzień, szczebrzuchu (Szczebrzuch - sprzęty domowe w wyprawie panny młodej), opłaty postrzygacza, pławienia niewiernych

żon, wywożenia błota lub zwalczania wyzysku chytrych prasołów (Prasoł - przekupień handlujący solą) krakowskich.

Dzisiaj biegły w prawie płatnerz rad był z siebie szczególnie i piwo w krąg fundował, udało mu się bowiem przeprowadzić stateczną ugodę między nieżyczliwymi sobie z dawna cechami rymarzy i pasamotników (Pasamotnik (z wł.) - rzemieślnik wyrabiający pasy). Nieżyczliwość szła stąd, że jedni i drudzy robili pasy rycerskie, wzajem sobie tego zaszczytu zazierając. Pod wpływem miodopitnej wymowy płatnerza ugodzili się, że rymarze robić będą



jego pasy wybijane cyną, zaś pasamotnicy mosiądzem i srebrem. W zamian za to ci ostatni zaniechają wyrobów pasów ruskich i szytych wędzideł.

Pojednanie po wielu latach cechy piły na umór. Henko Koźmińczyk rozpowiadał po raz setny nowo przychodzącym, w jaki sposób zwaśniony do zgody nakłonił. Rajcowie kiwali z uznaniem głowami obwieszonymi strąkami kołtunów. Pośledniejszy ludzie książeńcy i grodzczy, skupieni w bocznych piwnicach, słuchali ciekawie tych wywodów ze zjadliwą, drwiącą przekorą gołoty, przeciwko której wzniesione jest wszelkie prawo, broniące możnych i sytych. Tu jeno słyszeć się dawała z rzadka mowa śląska, głuszona zgoła przez niemczyznę.

Gaetano siadł wśród nich, rozglądając się nieśmiało i uważnie wkoło. Rybałt (Rybałt (z łac.) - wędrowny śpiewak i aktor) w pasiastych portkach i wyłożonym kaftanie, tęgo podpity, podśpiewywał chrapliwie. Dwie dziewczynki kłóciły się zajadle w przejściu, oskarżając się wzajemnie o odebranie kochanka. Skakały sobie do oczu jak rozjuszony kocice. W ciemnym kącie magister szkolny w czarnej, brudnej szacie i dziwacznym czepcu na głowie rozprawiał uczenie po łacinie z biało-czarnym mnichem z świeżo sprowadzonego zakonu, dominikanów. Gęsty opar z piwa i rozgrzanych głów wisiał w powietrzu kłębiąc się i wijąc, gdy przeciąg powiał od drzwi. Pochodnie płonęły w nim czerwono, jak we mgle. Twarze pijących wynurzały się z dymu, to ginęły w nim, rozchwiejne, nierzeczywiste. Głosy brzęczały jak w ulu.

- Naturą ognia jest dążyć ku górze - dowodził uczenie a głośno magister.

- Ergo (z łac.) - więc piorun jest w sprzeczności z naturą ognia, ergo piorun jest ognia grzechem...

- Słuszna, bo nic na świecie nie jest wolne od grzechu, nawet ślepe elementa ("Ślepe elementa" - w średniowieczu żywioły, podstawowe składniki świata (ogień, woda, ziemia, powietrze)) - zauważył posepnie dominikanin.

- Nie wszystkie, ojcze! Cztery są elementa ziemskie skażone i grzechem jest niebo i istoty duchowne, wolny zostaje od wszelkiej skazy...

- Bo mu nic do ziemi; ziemia zasię i wszystko, co z niej, na szczęt jest plugawe - odparł z goryczą mnich.

Magister spojrział na niego zezem pogodniejszego będąc ducha.

- Gdym uczoność zbierał w sławetnym mieście Rawennie, przez Tubala, wnuka

Noego, jak księgi prawią, fundowanej... - zaczął.

Gaetano przesunął się koło nich nieśmiało i usiadł naprzeciw rybałta. Rad był zaznajomić się z nim, by jakie wskazówki co do swego przyszłego zawodu usłyszeć, lecz nie wiedział, od czego zacząć. Czując na sobie nieśmiałe jego spojrzenie, obieżyświat, wagarus (Wagarus (z łac.) - włóczęga), uśmiechając się bezczelnie i kpiąco, podnosząc kufel do ust. Zwał się Adalbertus, a po prawdzie Wojtek, i był rodem spod Lubiąża.

- Rybałt jesteś? - zdecydował się nareszcie zapytać Gaetano.

Adalbertus zmierzył go pogardliwym wzrokiem:

- Nie rybałt. Goliardus sum, poeta vagans ("Goliardus sum, poeta vagans" (łac.) - Jestem goliard, poeta wędrowny).

- Poeta?... Libentissime poetarum carmina cano ("Libentissime poetarum

carmina cano" (łac.) - Najchętniej śpiewam pieśni poetów)...

- Umiesz po łacinie? - zdumiał się, już po niemiecku, łacinnik.

- Znam mowę łacińską, niemiecką, polską, ruską i jeszcze inne, których tu nikt nie zna - odparł chłopiec z dumą.

- Ja po łacinie umiem to ino, com rzekł, i pacież - wyznał szczerze Adalbertus. - Po niemiecku zaś gadam niezgorzej... Coś jest sam? Rybałt?

- Rybałt, ale dopiero od dzisiaj; przódzi w kramie siedziałem.

- Przegnali cię?

Gaetano zawahał się nad odpowiedzią.

- No - uspokajał Adalbertusa - ja tam nie taki ciekaw ani do wójta nie pójdę... Dobrze robisz: niewola siedzieć w grodzie, kiedy we świat można iść.

Roześmiał się na samo wspomnienie dalekich, swobodnych dróg, bardziej przyjaznych nogom włóczęgi niż chata, i przychyłając się przez stół klepnął przyjacielsko Gaetana po ramieniu.

- A śpiewać umiesz? - zapytał.

- Znam siła pieśni italskich i trochę niemieckich.

- No to wędrujemy razem; a ninie postaw wina na pocziwe przyjacielstwo.

Gaetano fundował z pośpiechem, wypytujac wraz ciekawie nowego towarzysza,

w którą stronę najpierw pójdą.

- Gdzie oczy poniosą - roześmiał się Adalbertus. - Mnie tam żadna droga nie dziwna, a ludzie wszędy radzi gęźby słuchają...

Ależ drą się te dziewczki jak sroki!

- Bo ja bym wprzód chciał ku Legnicy albo... - Urwał, gdyż nieludzki pisk zwrócił uwagę wszystkich na kłójące się dziewczyny.

- A ja hnet wszystkim rozpowiem, żeś czarowała! - wrzeszczała jedna, daremnie usiłując pochwycić ręką włosy przeciwniczki.

- Łżesz! Samaś czarowała!

- Ty, ty, płomiennico! Bodaj cię spalili!

Darły się jak opętane, nie dbając, że ludzie słuchają. Dominikanin podszedł ku nim. Oprzytomniały i pierzchły.

- Czart coraz gorzej swawoli po ogrodzie - wzdychał mnich. - Co druga dziewczka to albo czarownica, albo z bękartem chodzi, choć prawi, że chłopca nie znała... Czyli: szatańska to przyczyna...

- Albo przyrodzony wpływ planet ("Wpływ planet - średniowieczna astrologia doszukiwała się wpływu położenia ciał niebieskich na zjawach ziemskich, zwłaszcza losy ludzkie) - oponował magister. - Wiadomoż, iż wszelka płodność pochodzi z ruchu okrężnego ciał niebieskich.

- Ja widzę w tym dzieło szatana - odparł twardo zakonnik. - Zbliża się dzień sądu... idzie! Kara boża nad nami! Mongoły pono idą... Sam widziałem zakonnika, który stamtąd zbiegł. Od trwogi i rozum utracił...

- Mongoły?

Słowo złe skupiło wszystkich wokół niego.

- Prawcie, ojczco, o Mongołach. Przyjdą zaś?

- Przyjdą! - grzmiał mnich podnosząc ręce do góry. - Przyjdą, jeśli w sromocie a grzechu waszym ostaniecie! Jakoż nie mają przyjsć czarty, skoro

czarownice jawno już chodzą po ogrodzie i niecnymi praktykami się przechwalają!

Słuchacze żegnali się bijąc w piersi trwożnie, ale silniejsza nad wszystko ciekawość przemogła.

- Prawcież, ojcze, co wiecie o Mongołach - proszono zewsząd.

- By wam to ku zbawieniu dusznemu pomogło, opowiem. Wiadomo, jako w piekle siedzi sześćdziesiąt cztery diabłów znacznych, wielmożów szatańskich, co księdzem Lucypera, Antychrysta mają. Imion jeich gadać nie będę, bo niejeden z was pewnikiem w grzechu zostaje i diabeł mógłby się go snadno czepić...

Przeżegnali się wszyscy spokojnie.

- Z tej diabelskiej starszyny pługawej posłał Antychryst jednego, którego imię przekłete Belial (Belial (Hebr.) - szatan, wódz złych duchów), byb chrześcijańny popsował. Ten ci Belial Dżingis-chanem się nazywał i na samym kraju świata, gdzie Mur Wielki z prawieka na utwierdzenie zawiasów ziemi stoi, usiadł.

- O Jezu!

- Ze smrodu swojego nałagał sto i dwieście, i trzysta tysięcy diabłów podlejszych, niedużych. W wojsko, czyli horde, zebrał i na chrześcijany pchnął... Tatarami piekielnikami, ich nazwał na świadectwo, że z piekła się rodzaj...

- Panie Jezu Kryste, ratuj!

- Bo Mongoły a Tatarzy to jedno, a wszystko razem: diabelstwo. Szare, żółte, małe, pokraczne, do człowieka niepodobne.

- Biada nam, ludkowie! Biada! Co począć, ojcze wielebny?

- Jako się od nich zratować?

- Jezu Kryste, sprości nas!

- Grzechów się wyrzec, w czystości, a cnocie żyć, by Bóg dopostu nie zwolił... - objaśniał zakonnik żarliwie.

- Ja byłem u Mongołów - odezwał się naraz słuchający wraz z nami Gaetano.

- U Mongołów byłeś? - zakrzyknął magister. - Jakaś się tam dostał? Praw!

- Nie - podniósł rękę zakonnik. - Pokaż wpierw, żeś chrześcijanin, a nie diabeł! Pacierz mów.

Gaetano padł na kolana głośno trzepiąc po łacinie Pater i Ave.

- Amen - powtórzyli wszyscy z ulgą, uspokojeni, przysuwając się do niego z powrotem.

- Gadajże, a gadaj, coś widział?

- Pewnikiem zmyśla - mruknął Henko płatnerz. - Język bez kości, co chce, to ochłóści: gdzie by tam taki zajechał?

- Bo pewnie!

- Z towarem jeździłem... Ojciec mój kupcem są - bakał nieśmiało Gaetano żalując mocno, że się wprzódy odezwał. - Jechać do nich potrza rok, a rok nazad!... Insze to ludzie, ale jako i my... I niewiasty mają, ino szpetne... Dziecka też... Mur Wielki jest, ale za nim ziemia taka, jak po tej stronie, daleko pono się ciągnie.

Dominikanin, który słuchał uważnie, postąpił krok naprzód.

- Łiesz! - krzyknął. - Stul gębę! Ludziom mętu nie przyczyniaj!

- Dwa miesiące tamen był... widziałem - bronił się chłopiec.  
- Widziałeś oman szatański, którym cię diabły znamyły, żebyś tu ludzi nie ostrzegł... Durny otroku! Gadasz, a sam nie wiesz co!

- Kiedy widziałem - powtarzał próbując dowieść swej prawdy Gaetano.  
- Gadaj sto razy, a ja ci mówię, łiesz! Tak tam jest, jako ja prawie!  
Oszukały cię omanem, zwidzeniem diabelskim; toć ukazały, co chciały!

Gaetano spojrział nań rozszerzonymi oczyma...

- Oman!... - powtórzył z przerażeniem.

Wspomniał nagle wszystkie swoje w Karakurum lęki i obawy. Świat dziwaczny bez Boga; krzyż, co nie był krzyżem; chrześcijan nie będących chrześcijanami; rozległy, szeroki step, falujący szarym, milczącym mrowiem, sprawnym, wynurzającym się spoza wzgórze, to znikającym jak duchy.

- To prawda... - wyszeptał drżącymi wargami. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

- A bacz! - zagrział triumfująco zakonnik spoglądając dumnie na magistra.

Inni tłoczyli się dookoła Gaetana, radzi usłyszeć coś więcej, lecz znękany i zatrwożony chłopiec wyrwał się i uciekł chyłkiem z winiarni.

Tuż u wejścia ktoś uchwycił go silnie za dłoń. Cofnął się w tył, przerażony.

- Chodź! chodź! - rzekł uspokajająco napastnik po włosku.

Na dźwięk mowy rodzinnej Gaetano pochylił się w przód, pilnie wypatrując w ciemnościach. Dłoń jego mocno trzymała w garści otrok dostatnio odziany, o żywej i ciemnej twarzy.

- Chodź! - powtórzył. - Padre (Padre (wł.)- ojciec) przykazali cię przyprowadzić. Biegł żywo naprzód nie puszczając ręki Gaetana, który zaciekawiony, pobiegł bez oporu.

- Jutro przed odwieczerm w gospodzie! - wołał za nim Adalbertus.

Gaetano skinął potakująco głową.

Klaszcząc trzewikami o ubitą, suchą ziemię, biegł żywo ze swym przewodnikiem przez ciemne już zupełnie uliczki grodu. Górą, między zębatą, stromą linią dachów, przeblyskiwało jeszcze bladą barwą niebo, lecz dołem leżał już mrok. Gdzieniedzie tylko z oświetlonego okna padała na ulicę jasna plama, pocięta dziwacznie wzorem krat. Gdy weszli na platea Romanorum, chłopiec odsapnął i szarpnął kołatkę przy drzwiach narożnego domu. Mosiężny dźwięk brzęknął donośnie w mroku, aż psy jęły ujadać na sąsiedniej ulicy. Ze zgrzytem otworzono małą furtkę, wykrojoną w połowie okutych drzwi.

Chłopiec wszedł ciągnąc za sobą Gaetana. Stara baba, podobna do wiedźmy, z chustą nasuniętą na oczy, stała z kagankiem olejnym w ręce. Zmierzywszy Gaetana od stóp do głów, wprowadziła obu do sklepionej izby, gdzie kilku mężów obsiadło stół popijając wino. Gwar ojczystej mowy, zapach oliwy smażonej oraz czosnku uderzyły mile uszy i nozdrza wchodzących. Z wysokiego świecznika świece - książęcy zbytek - kapały woskiem zastygającym w długie, bursztynowe warkocze. W wytartym, niegdyś aksamitnym, domowym kaftanie

czarnej mycce na głowie podniósł się zza stołu Antonio de Pueto, gospodarz.

- Gadałeś w winiarni, żeś do Mongołów jeździł? - zwrócił się do Gaetana.

- Prawda to?

- Prawda ista.

- Jak się zowiesz?

- Gaetano, syn Bartolomea di Candiano, weneckiego nobila...

- Weneckiego... - powtórzył Pueto i spojrzał znacząco na otaczających.

- Weneccjanin, szatańskie nasienie! Czarownica jego mać! - mruknęła głośno stara i splunęła hałaśliwie trzy razy.

- Milcz! - huknął na nią gospodarz. Zwrócił się do chłopca wpierając weń przenikliwie oczy: - Gadaj, a gadaj skoro, po coś do Mongołów jeździł.

- Z oćcem - odparł krótko Gaetano, urażony.

- Ociec po co?

- Z towarami.

- Z towarami! - powtórzył szyderczo siedzący obok gospodarza Paolo Bicarani. - Odkądże członkowie Wielkiej Rady z kramem do Azji się wybierają?

Pueto zmarszczył gęste brwi i nachylił twarz blisko ku chłopcu.

- Ty piaskiem w oczy nie miotaj - syknął z cicha. - Boć sam widzisz, że nas tu kupa, a tyś jeden. Bacz, co mówię! Nie ukrzywdzim cię, ale otworzyście gadaj, po co ociec jeździł do pogan?

- Toć mówię, że z towarami - zapewniał Gaetano najszczerzej.

Daremnie na przemian to grozili mu, to kusili obietnicą nagrody. Daremnie wypytywali podchwytliwie, co ojciec robił, z kim mówił, dlaczego on, Gaetano, przybył do Wrocławia z kupcem chińskim. Co do ostatniego, chłopiec nie byłby zdradził się za nic, o ojcowych zaś sprawach nie wiedział istotnie nic. Nie pozostało mu w głowie ani słowo z rozmów, które bezmyślnie tłumaczył, nad właściwym znaczeniem których nie zastanawiał się nigdy.

W głosie jego, gdy o tym zaręczał, dźwięczało tyle szczerości, że widząc bezowocność usiłowań kupcy genueńscy puścili go na koniec wolno. Wskoczył na ulicę spotniały ze strachu, nie rozumiejący, czego od niego chcieli, przysięgając własnej duszy po wielokroć, że nigdy, przenigdy, nie wspomni nikomu o swej podróży do Azji. Stary Pueto żuł w ustach koniec siwiejących wąsów.

- Albo chytry i mądry jak wąż, albo głupi jak muł - zdecydował. - Beno - zwrócił się do syna - żebyś mi zawsze znał wszystko, co ta pokraka wenecka tu robi...

- Uhm... - mruknął chłopiec potakująco.

Rozparty wygodnie na krześle Guido Ricci wzruszył z lekka ramionami.

- Wszędy wrogów widzicie, messer Antonio - zauważył. - Wielkie rzeczy, że Weneccjanin do Karakorum jeździł! Podrywu nam tam nie robi...

Antonio de Pueto zaczerwienił się i obrócił twarz ku mówiącemu.

- Na święte kości męczennika Paschalisa! - zakrzyknął. - Czy wam mgła na uszy zaszła? Rada wenecka (oby ją piekło zeżarło) posyła swoich do Wielkiego Chana, a wy gadacie, że to nic! Toćże pewnikiem na naszą szkodę chcę coś wymyślić...

- Weneccjanin, chwost diabelski, piekielne nasienie! - stwierdziła

energicznie stara, spluwając z obrzydzeniem za siebie.

9

Choć tęgo upchane jadem i przyodziejkiem tobołki, niesione przez Kachnę Prusaczkę i siostrę Dowmundę, lżejsze były niżli torba, którą podjęła na plecy siężna Brodaczowa, obie naślednice z trudem nadażały za szybkim krokiem starej opacichy. Mimo ciężaru i wieku szła ona chyżo, niedbała o chłód i ostrość kamieni, przykrych bosej stopie. Nowe aksamitne jej trzewiki miały bowiem powstrzygane przemyślnie podeszwy, by zarazem i życzeniu małżonka zadośćuczynić, i ślubowania nie naruszyć. Dawnymi jeszcze laty wotum złożyła latem czy zimą boso tylko chodzić. Za te słowa haftowane pyszne ciżmy jednych, za zżarte mrozem i gnojem nędzne stopy drugich. By to wyrównać, odplacić, niechże będzie aksamit książęcy po wierzchu i zziębła, obolała, skurczona pięta pod spodem.

Szła zamyślona, bez zwykłej pogody na twarzy. Drzazga nieznaney udręki dowierała mocno w piersi. A zdawało jej się szczęśliwe lata klasztorne, że wszystkie zgryzoty duszne odeszły ją, złożone raz na zawsze z ufnością w ręce Najwyższego. Sądziła, że nic nie zakłóci serca, nad którym panuje Bóg. Zaś starczyło paru dni spędzonych wśród swoich, by jej pogoda skurczyła się w męce. Głuchy lęk przeczuć straszliwych gniotł niby obręcz szczupłe żebra, gdzie pod twardą, starannie przed oczami wszystkich ukrywaną włosiennicą tłukło się i cierpiało biedne, zwyczajne serce macierzyńskie.

Widząc nadchodząc, straż nad bramą podniosła z pośpiechem do góry zębatą, kolczastą bronę (Brona - tu: krata w bramie), lecz księżna skręciła jeszcze w bok, ku pustelnicy. Prastary świątek, o którym niektórzy gadali, że nie jest bynajmniej wyobrażeniem św. Odon, za Mieszka Pierwszego stawionym, lecz pogańskim bożkiem przez pomyłkę przez biskupa poświęconym stał, jak od

wieków, szerniały, beznosy. Poniżej jego stóp ciemniał wąski otwór, w którym to wnętrzu kładziono jadro dla zamurowanej.

Księżna podeszła do słupa.

- Siostro, moja siostro... - szepnęła z niewypowiedzianą słodyczą.

Nasłuchując odpowiedzi przyłożyła głowę do otworu, z którego bił smród jak z chlewa.

- Siostro, śpisz czy modlisz się? - zapytała z nieśmiałym szacunkiem.

Na wpół zwierzęce chrząknięcie, a wraz głośnie czochranie się grzbietem o chropawą ścianę doleciało z głębi. Podniosła się zdziwiona.

- Już ze trzy roki, jak całkiem zgłupiała - objaśniła ją półgłosem Kachna. - Jeść, zje, co by jej nie dali, ale po ludzku nie gada...

Z zabobonnym lękiem księżna spojrzała w omszałe lico św. Odon. Wydało jej się w słońcu obce i szydercze. Przeżegnała się pośpiesznie.

- Naisto, chyba to pogańskie bożę...

Weszły w gród ruchliwy, gwarny, bo dzień był targowy. Księżna spuściła podwikę na twarz, by jej nie witano. Próżna obawa. Kto by tam jeszcze pomniał panią Hedwigę. Starzy ludzie grodcy, co ją dobrze znali, siedzą grzejąc się w słońcu na przyzbach, zobojętniali na wszystko, zaś młodszy co

innego mają do czynienia. Kto by baczył na starą mniszkę do szarej, czarnogłowej wrony podobną, gdy w samym środku rynku przybyłe świeżo z Krakowa hecowniki rozstawiły swoje kozły? Już zaciągnęli na nie pomost z desek łaskawie użyczonych przez gospodzkiego, Kurcwursta, lubiącego krotochwile (Krotochwila (z niem.) - dowcip, żart) i krotochwilników. Już je zasłali obszarpaną, wyrudziłą płachtą. Przed pomstem niedźwiednik siadł okrakiem na zwalonej jak kupa starego wrzosowiska bestii i pobrzękuje łańcuchem czekając z tańcem, , aż się zbierze większy tłum. Kosmaty jak miś, spocony stoi na pomoście siłacz ważąc nad głowami widzów ciężkie żelazne kule. Rybałty siedzą wiesiwszy w dół nogi. Dwóch kobziarzy gra stare śląskie, pono pogańskie zaśpiewki, o które biskup się gniewa. Cisnąc miechy pod pachami ruszają ramionami śmiesznie, niby ptaki jednoskrzydłe, chcące latać. Choć mało kto z miejskich zna te stare pieśni z boru, rytm pradawny budzi w sercach nieświadomy oddźwięk. Jak przed wiekami na świętych polanach, przystają naprzeciw siebie wkoło powagą. Jeden ruch pociąga drugi, przytajony w najgłębszej świadomości. Zbiega się ciekawa gawiedź, a wraz ktoś przybywa ku tancerzom-obrzednikom. Ino patrzeć, a tańczyłby cały rynek, a potem poszliby do grodu precz, tańcząc, jako już niegdyś bywało.

Szczeńciem próżności niewieście ratują gród od uroku i w ślad za nim nadchodzącej ostrej pokuty biskupiej. Mdłe zazwyczaj i do każdego grzechu gotowe białki umknął się od pogańskiego czaru, gdy im oczy połaskocą precudne barwy atlasów porozkładanych w szmatruzie. Rozpadło się koło. Tanecznice, przemocą wyrwawszy stopy z rytmu płasów, biegną do chińskiego kramu.

- Plac czyńcie! Plac! - krzyczą zbrojne pacholki rozgraniając tłum.

Wierzchem, sztywne w wysokich siodłach poręczowych, jadą córy i małżonki nobilów, każda w otoczeniu służby. Barwne, frędzliste rańtuchny (Rańtuch (z niem.) - chusta na głowę) okalają rumiane twarze. Długie końce rękawów zwieszają się od dłoni aż ku ziemi. Na równi z młódkami grodzkimi ciągnął wszystkie do szmatruza, urzeczony miękkim połyskiem jedwabi lśniących z daleka. Obok Chińczyka Węgrzyn złotnik kusi klejnotami, przesuwa w palcach barwne kamyki jak tęcze. Ławniczki przełykają głośno, pożądliwie ślinę. Co rozważniejsze wcale tutaj nie podchodzą, idą wprost na lewo, gdzie imć Komczorko króluje wśród sukien brugijskich, lowiańskich, mechelskich, tyńskich, świdnickich, dyllermundzkich i kluczberskich.

Flet cienko zapiszczał tuż nad uchem przesuwającej się z trudem przez tłum księżnej, aż drgnęła. Wysoki, chudy, w płaszczyku z mucetem (Mucet (z łac.) - kaptur, czapeczka duchownego), jako sędziowie noszą, ale barwy szarej, z piszczałką w gębie, szczurołap, sam do szczurka podobny, przewinał się tuż obok, spojrział na starą mniszkę i nurknął z powrotem w gromadę, wołając:

- Szczury, szczury, szczury wywieść!

Kilkoro dzieci bieгло za odmieńcem. Widząc to kumoszki chwyciły je z przerażeniem za ubrudzone łapięta i przeżegnawszy krzyżem świętym, a tęgiego klapsa przyłożywszy, gdzie należy, zwracały co rychlej z powrotem. Plugastwo niech se wywodzi, owszejki, ale wara od grodzkich dzieciek!

Wiadomo, co to szczurołap. Jak stary gotów pójść w płasach za kobziarzem, tak dziecko za szczurołapem. Bo na każdego człowieka czyhają uroki, których ustrzec się trudno...

Za szmatruzem, wagą miejską, topnią łoju i postrzygalnią, na targu kurzym, gdzie stoją zwyczajne kramy, przekupki rozsiadły się w otoczyćcie rozpostartych kieckach i pytlują ozorami tak, że nie grozi im zgoła ni kobziarz, ni pisk fletni szczurołapiej. Wokoło leżą stosami kukielki, kapią miodem kolorowe pierniki, w kształt rycerza, panny albo króla wyrobione, i maszczą się w słońcu rozpływające tłustością połcie słoniny. Szeleszcząc szatami wybierają te specjały bogate, zażywne mieszczki. Niejeden nawet ławnik brzuchaty, syty dostatku i wygod, sam przychodzi pulchnymi palcami obmacywać kupry ptasie, czy smakowite będą i kruche...

W rozgdakanej wrzawie babskiej ani się spostrzegają kupczące jejmoście, że w kącie, koło fołdrowni (Fołdrownia (z niem.) - miejsca składania skarg sądowych), zbiera się kupa wagarów, łazęgów, obieżyświatów półnagich. Patrzą łakomie na owe połcie błyszczące, na stery pszennego chleba i kołaczy, umawiają się, rozchodzą chyłkiem w parę stron...

Nagły wrzask z dwóch końców rynku:

- Mongoły idą! Ludzie, uciekajcie!

Strach osłupiały zmienia przerażonych w kamień.

- Mongoły w grodzie! Tartary! Tartary!

Straciwszy ducha, kiecki nadziwaszy na głowę, piechrzają z wrzaskiem przekupki i strojne żony ławników. Depcą w ucieczce stragany nie zważając na nic, boć każdemu miłszy żywot niż mienie.

- Mongoły w grodzie! Biada, ludzie, biada!

Już sprawcy trwogi głabią (Głabać - porywać, ściągać) w kieszenie i sakwy co wlezie. Tłum skołowany przewrócił kozły rybałtów. Siłacz spadł, kulą żelazną przetrącił krzyże ławnikowej Gamrotowej. Krzyki coraz to sroźsze nad grodem:

- Uciekajcie, ludzie! Biada!

Ze szmatruza, znad barwnych atlasów, wychodzi Ujgur, Wan-ho, kosooki, żółtogęby, w czarnym jedwabnym chałacie.

Gardłowym głosem woła łamanym rusko-łacińsko-niemieckim językiem:

- Pax (Pax (łac.) - pokój), pax, krestiany! Znaju Mongołów! Kenne die

Tartari (Kenne die Tartiary (niem.) - znam Tatarów)! Są o dwa roki stąd... Są daleko. Nie ma w grodzie...

Lecz nikt nie zwracał na niego uwagi, zbiera w drugą stronę szeleszczących, mieniących jedwabi i z dziwnym szyderskim śmiechem wąskich warg zatrzaskuje żelazne wrota kramu. Sąsiad jego, Węgrzyn złotnik, już przed chwilą to uczynił. Tylko imć Komczorko wychyla ciekawą głowę na rynek. Strażnicy nadbramni trąbią co sił, że nikt do grodu nie wchodził, więc poniektórzy już się opamiętali w przestachu i wracają do swych kramów. Tam, widząc znaczny ubytek, przekupki drą się głosem w niebo. Mongołów nie ma, a szkoda stała się wielka...

Kto winien?

- Kto winien? - huczy tłum wstydem i gniewem za swój własny nieopatrzny lęk.



Spasne, bogate kupce niemieckie targają sobie włosy ze złości. Ciężka teutońska krew (Teutońska krew - tu: krew niemiecka (od nazwy jednego z plemion germańskich) kipi w nich chęcią ukarania sprawców szkody. Ale winowajcy, chytrogębe, chyżonogie wagary grodzkie, dawno już pierzchły ze swą zdobyczą szczęśliwie. Natomiast kilku wiecznie głodnych Ślązaków, czeladników majstra farbiarskiego Kozieoko, stoi z niekłamaną uciechą patrząc na rozżartych Niemców.

Cały gniew tłuściochów skrzywdzonych spada na ich Bogu ducha winne głowy.

Nie kto inny pewnikiem zrobił tumult, tylko oni. Prać ich!

Wrzask bitych ściąga cały tłum w tę stronę. Mistrz farbiarski Kozieoko broni swych chłopców jak może, ale niewiele to znaczy. Stara się więc chyłkiem. Naraz głos gromki na rynku:

- Nie dajcie się, Ślązaki! Bić Niemców!
- Nie dajcie się, Ślązaki! - podchwytyują głosy.

Zbierają się swoi do kupy. Padają razy. Zwołują się po swojemu Niemce, skrzykują głośno Ślązaki.

Walczące pięścią gromady wałą na przody ku narożnemu domowi kwartału, gdzie na wypadek pożaru wiszą na murze haki, drągi i osęki. Potrącana przez wszystkich, stara mniszka z tobołem na plechach patrzy na to oniemiała. Co się stało? Jaki dur (Dur - głupota) padł na tych ludzi? Żyli przecież drzewiej w zgodzie... Daremnie jej towarzyszki starają się ją odciągnąć w bezpieczniejsze miejsce. Z twarzą pobladłą ze zgrozy stoi niby urzeczona, wsłuchana w głos - och, znajomy! - który najgłośniej przewodzi:

- Bij Niemców!

Wysoka postać o władczych ruchach rycerza, z podgoloną po książęcemu głową, zrywa osęki ze ściany, rozdaje. Skupia się ciżba wokoło... Kto to?

- O dla Boga!

Lecz już, chrzeszcząc włożonymi śpiesznie zbroicami, biegną co sił wiertelnicy. Panosza Więcymił z Miechowic, strażnik grodzki, na ich czele. Stalowe berdysze (Berdysz (łac.) - szeroki topór o silnie zakrzywionym ostrzu i długim drzewcu) rozgarniają zgiełk jak wiosła wodę. Tumult przycicha. Donośny głos Więcymiłowy góruje nad lamentami babskimi:

- W imię miłościwego pana, rozejść się!

Rozchodzą się śpiesznie walczący. Wsiąkają w bramy domów, w boczne zaułki. Wysoki rycerz, rozdający osęki, gdzieś znikł. Może go zgoła nie było?

Potrząsając ciężką od frasunku głową księżna zawróciła ku kościołowi.

Na stopniach siedzi dwurzędem łachmaniasta ciżba żebraków, z obojętną ciekawością śledząc rozruch wśród ludzi tam na dole. Poznali przychodzącą, bo niejedyn z nich drugi dziesiątek lat tu siedział, i gdy słowo-imie padło w krąg, wszystko rzuciło się ku miłosiernej zawodząc, krzycząc, skomląc, jęcząc a przepychając się. Okropne trzony beznogie, na deszczułkach pod pośladkami i kukłach w sukno opiętych łązące, podskakiwały niezdarnie. Sztykutały kuternogi, wyciągały powykęcane kikuty kaleki - ona zaś objęła je wszystkie serdecznie miłującym spojrzeniem.

- Pochwalony Jezus Kryste...

- Na wieki wieków! - ryknęli cisnąc się bliżej.

Usiadła pośrodku, a rozdając przyniesione jedło i szmaty zapytywała łagodnie: Jako się im tu żywie?... Czy nie grzeszą i Pana Jezusa Krysta miłując dziękując mu za to, że dopustem żebraczej doli zapewnił im koronę niebieską u siebie?

Zaręczali gorąco, że tak. Nie rozumieli wprawdzie jej górnych słów, lecz wzbierali dumą, że tak do nich przemawia jakby do uczonych. Najedli się i legli wkoło, mrucząc z radosnego dosytu. Dwie naślednice siedziały tuż za swoją panią, rade z chwilowego odpoczynku. Księżna objęła dłońmi swe chude kolana, spoglądając z góry na szumiący jeszcze zgiełkiem płac.

- Ejże - westchnęła - pono lepiej być proszakiem spod kościoła niżli ksiąźciem na dworze...

Ogarnęła ją niechęć do świata, a wraz tęsknota za klasztorem tak silna, że rada by zerwać się i już, już do swojej Trzebnicy uciekać.

- Ostań się... - szepnęło serce. - Może nieszczęście, co się gotuje, odwrócisz...

Pokiwała z żalem głową. Otóż to!... Byłeś, człecze mizerny, wszedł w życie, byś mu ino parstek (Parstek -(parst) - palec) podał, jużci całą garść przychwyci, już omota, oplączę, przytrzyma tysiącem paści (Paść - pułapka)... Już utracona swoboda! Nie odwróci ona nieszczęścia, nie... Chybaby zechciał sam Bóg...

Bęben zahuczał, przerwał jej zadumę. Stojąc opodal obwoływacz miejski wykrzykiwał szkody poniesione przez zacniejsze osoby grodu, czasu jeno uciszonego rozruchu. W imieniu wójta grodzkiego nawoływał społeczność chrześcijańską do zwrotu skradzionych rzeczy, grożąc opornym "Saksonem". Gdy jał wyliczać przedmioty, hurma żebraków ruszyła ku niemu z równym pośpiechem, jak przedtem ku księżnej, rada posłyszeć, jakie też straty ponieśli bogacze.

Pani Hedwiga podniosła się z trudem i zeszła znowu na plac. Wydobywszy się z gęstwy szły szybko w stronę gródka wójtowskiego, w którego sklepach siedzieli więźniowie. Uprzedzony rozkazem miłościwego księcia, stróż otworzył niewiastom zgrzytając wrota i zapaliwszy pochodnie ruszył w głąb podziemi. Wesoła Kachna spoważniała. Milcząca siostra Dowmunda oglądała się

z trwogą wokoło. Schodzili jakoby w samo dno niewoli po oślizgłych, stromych stopniach, głębiej i coraz to głębiej. Czerwone światło pochodni pełzało z trudem po ścianach pokrytych liszajem pleśni. Po drodze mijali otwory, z których szedł ziąb, trupi dech wiekowy. Na koniec stanęli na dnie, na długim chodniku. Chropawe ściany czerniały wnękami lochów.

Księżna przystanęła nagle.

- Bracie - rzekła do dozorczy - straszliwą władzę dał ci Pan. Pomnij, że jako ty uczynisz tym ludziom, będzie ci odpłacone w wieczności.

Spojrzał na nią tępo, osłupiały.

Chwyciła jego dłoń żylastą i przycisnęła do warg.

- Bądź miłosierny, bracie mój, bądź miłosierny!

Pochodnia wypadła z ręki zdumiałego człeka, zasyczała na wilgotnym gruncie. Ogarnęła ich omoka.

Oprzytomniawszy chłop poderwał z ziemi tlejącą jeszcze żagiew, rozkołował szybko nad głową, rozżarzył.

- Tu! - rzekła księżna wskazując wnękę środkową.

- Miłościwe książe tam nie kazali... - bąknął zalękniony, nieśmiało.

Mocnym, nie dopuszczającym oporu ruchem wskazała ponownie zawarte wrota.

Odsunął. Weszli w głąb jamy-ciemnicy. Światło wyrwało z jednostajnej czerni ściany rząd nieruchomych postaci, wyłuszczyło trupie twarze, bezmyślnie w światło patrzące, sztywność nóg sterczących z dybów.

- A obiecywał, że w dyby kuć nie zezwolił... - westchnęła księżna z żalem.

Podeszła tuż do dwóch ciężkich belek, zamkniętych kłódką żelazną. W ciasnych otworach więziły nogi ośmiu ludzi. Ciężkie obroże ruchomymi nogami i głową siedzieli tak wiele lat drzemiąc jak ptacy, nie znając rozkoszy wyciągnięcia członków na najtwardszym bodaj legowisku, ułożenia strudzonego

kadłuba na ziemi.

Męka litości i grozy zaświeciła w oczach księżnej.

- Otwórz to! - rozkazała krótko, wskazując na belki.

Dozorca spojrzał na nią przerażony.

- Otwórz! - powtórzyła z mocą, biorąc z rąk jego pochodnię.

Zaświeciła z bliska w twarze siedzących upiorów. - Ktoście są?

Nie odrzekli nic, nie słyszeli pytania, wpatrzeni w nie widziane z dawien dawna światło.

Dozorcy nie było. Pobiegł - może po klucz, a może po kogoś drugiego, co by z nim ciężar odpowiedzialności za spełnienie rozkazu podzielił.

- Dawność tu? - zapytała wprost w twarz najbliższego.

Oderwał z wolna niewidzące ślepie od światła i spojrzał w kierunku głosu.

- Ha? - stęknął głucho.

Przysiadła na kłodzie, z której sterczały sztywne gnaty jego nóg.

- Dawność tu?

- Bo ja wiem...

- A za co?

- Bo ja wiem... - Głos wydobywał się z krtani ze świszczącym wysiłkiem.

Stróż powracał. Snadź polecono mu wykonać rozkaz, bo bez słowa jął majstrować koło zardzewiałej kłódki. Wyciągnął ją, odjął skobel, ze skrzypem przeraźliwym podniósł wierzchnią belkę, ale żaden z więźniów nie drgnął...

- Odejm im skoble ze szyjów...

Nie próbując już oporu odkręcał mutry śrub ściągających obroże. Gdy rozwarł pierwszą, człowiek zwałił się bezsilnie, załamany w samym sobie jak zwiotczała szmata. Stróż podjął go i złożył niby ścierwo na ziemi. Niebawem wszyscy leżeli pokotem. Silnymi, zdrowymi dłońmi Kachna. Prusaczka rozcierała zmartwiałe nogi, siostra Dowmunda karmiła ich i poila. Pani Hedwiga siedziała na belce z twarzą ukrytą w dłoniach. Naraz podniosła głowę, spojrzała martwo na pusty łańcuch zwieszający się ze ściany.

- Daj mi to - rzekła do stróża.

Ujęła odczepiony łańcuch, ważąc go w dłoni zamyślona. Ruchami niby sennymi założyła sobie kleszcze obroży na szyję.

- Zakręcić! - rozkazała.

Stróż cofnął się o krok, wytrzeszczając osłupiałe oczy. Uśmiechnęła się żałośnie. Twarz jej stała się podobna do twarzy Henryka, gdy trędowatego całował.

- Zakręcić, bracie - powtórzyła łagodnie.

Drżącymi palcami założył śruby i mutry unikając starannie jej wzroku. Kachna załamała rękę. Siostra Dowmunda skończyła już karmić leżących, zapaliła od pochodni przyniesioną świecę i umieściła ją w wygrzebanym w ziemi dołku. Spojrzała pytającym wzrokiem na swą panią czekając dalszych rozkazów.

- Chodźmy już - rzekła księżna nieswoim, chrypliwym głosem. - Wrócimy tu jutro. Ostawajcie, bracia, z Bogiem...

Wyszły przed wrota mrużąc oczy przed słonecznym dniem. Księżna nie poszła, jak zwykle, do pobliskiej niemocnicy ni do drugiego więzienia pod wieżą; zawróciła z powrotem do zamku. Szła szybko, dźwięcząc łańcuchem skazańca. Obie naślednice dążyły przy niej, z niepokojem poglądając w zmienioną, posępną twarz i gorejące oczy. Ona zaś biegła prawie, lękając się, że nie zdierzy, że stanie i pocznie bluźnierczo krzyżeć ku niebu:

- O Boże mocny, wszechmocny! Czemu cierpisz zło na świecie? Kiedyż temu położysz kres?

Słaniając się od bólu minęła dudniący głucho most i weszła w mroczny sklep bramy zamkowej. Odprawiła ręką naślednice; miał iść do komnat, skręciła na lewo, w boczny dziedzińczyk-wirydarz, sadzony jeszcze pono ręką pobożnego biskupa Joana, co pierwszy tym tutaj budował. W środku otoczonego

murami dziedzińca zieleniał ciemny krąg murawy do bielienia płótna przeznaczonej; bokiem, na grzędach, kwitły jesienne nieśmiertelniki i żółte nagietki. We wnętrzu muru stał posąg Bogarodzicy, przed posągiem wielki, płaski głaz, zastępujący ławę. Ostatnie czerwone i złote liście drzew odcinały się na bladoturkusowym niebie... Usiadła na trawie, opuściła bezwiednie ręce na kolana. Z zardzewiałym szczękiem łańcuch zsunął się z kolan, spłynął od szyi ku ziemi. Wolnym końcem tonął w trawie, jak gdyby skuwając z ziemią starą, zmęczoną kobietę, siedzącą bezsilnie wśród pogodnej złocistości jesieni, z rozpaczą bluźnierczą w duszy. Jakiś szyderski głos przypominał zawzięcie, że w klasztorze jest źle. Isto, krzywdy się wielkie nie dzieją, bo regułka broni, te same są jednak, co na świecie, złości. Siostry lepszego rodu wynosiły się nad drugie. Siostra Ignacja zazdrościła innym wszystkiego. Siostra Eufrozyna gotowa była najgorszą rzecz powiedzieć na siostrę Dowmundę... A jakaż była żalność, z trudem ukrywana, sióstr, gdy ksieni zrzekła się prawa sądu, próby ognia i wody, które jej łaskawie książę małżonek chciał nadać! Oczy im błyszczały na myśl, że pławiłby kumające się z szatanem nieszczęśnice. Bo człowiek jest wszędzie ten sam, z przyrodzenia zły, i nic nigdzie nie masz krom zła...

- Babu... - szepnął nieśmiało dziecinnie głosik.

Podniosła głowę jak przyłapana na grzechu. Tuż przed nią, wychylając różowy pyszczek spośród badyli, mała Truda, wnuczka, patrzyła na babkę z ciekawością i niepokojem zarazem. Gdy pani Hedwiga uśmiechnęła się do niej, podeszła z powagą - maleńka kulka w sztywnej, szerokiej i długiej sukience, o sterczących jak szpilki, wysmarowanych masłem warkoczykach.

- Co tu masz? - zapytała dotykając paluszkiem łańcucha.

Księżna, zmieszana, ujęła łańcuch, wsunęła w zanadrze. Jak wąż zimny, zwisał między jej wyschłymi, starymi piersiami. Zapięła starannie szatę. Obrożę skryła pod podwiką i zawinęła szczelnie welon pod brodę.

- Pójdź tu - rzekł do małej.

Wzięła ją na kolana i otoczyła ramionami. Błękitne jak niebo źrenice dziecka były tak czyste i niewinne, że zawstydziła się poprzednich myśli.

- Gadaj, baję, babo...

- O czym ci gadać? O Dzieciątku i Trzech Królach?

- O Rżanej Babie (Rżana Baba - baba z rżyska, postać z folkloru)!

- Nie wiem nic o niej.

Dziecko spojrzało na babkę z niedowierzaniem.

- Stara Ofka zawdy o Rżanej Babie prawi - odparło z wyższością. - Rżana Baba w polu siedzi...

- Opowiem ci, dziewuszeko, o świętej Zofce, co miała trzy cerki...

- Ja chcę o Rżanej Babie!

Księżna nie odrzekła nic. gładząc odruchowo głowę dziecka, zacisnęła niechętnie usta. Nie po raz pierwszy ogarnął ją lęk przed tkwiącym wszędzie uparciem pogaństwem. Chrystus zwalczył je tylko pozornie, bo trwało wciąż żywe. Niewygnane, niezniszczalne rżane baby, uboża, południce, nawki (Nawki - duchy z nawi; naw - zaświaty, kraina duchów) i strzygonie (Strzygoń, strzyga - wampir) zaludniały po dawnemu świat. Darmo płoszył je dźwięk dzwonów. Wierząc mocno, na równi z innymi, w rzeczywistość ich, księżna rozumiała za grzech śmiertelny wspomnianie po imieniu przeklętych bożąt. Bo wiadomo, że nazwaniem syci się duch jak chlebem. Dawno by szczyły (Szczynać - gnić, niknąć), gdyby o nich zamilczano. Przycisnęła oburącz do siebie dziewczynkę, jak gdyby chcąc ją uchronić przed złem.

- Truda! Truda! - zabrzmiał opodal dźwięczny głos Zofki.

Stała w wąskich kamiennych odrzwiach, wychylając z mrocznej sieni oświetloną słońcem głowę.

- Truda, chodź a skoro! Rybałty przyszły na zamek!

Mała pisnęła radościem zsuwając się z kolan babki. Zofka spostrzegła matkę i podeszła bliżej, onieśmielona.

- Henryk rybałtów zwołał - objaśniła. - Strasznie pono cudnie prawią a gawędzą... Byście też z nami posłuchali, pani matko... - prosiła żarliwie, nieśmiało.

Więcej niż piętnaście roków mijało, jak pani Hedwiga nie słyszała świeckiej gęźby ani gadek, za siadła diabelskie dla duszy je uważając; odrzec więc chciała, jak zwykle, że nie dla niej one uciechy. Niech sobie same idą. Słowa zamarły jej na ustach. Lęk przed samotnością, przed wypuszczeniem z dłoni maleńkiej piąstki dziecięcej ogarnął ją przemożny.

Ino odejdą, przenagabania szatańskie powrócą, a jako się od nich sprości? Pewnikiem i na pustelnicę w słupcu zamurowaną przyszła takowa zła chwila, a nie było nikogo, co by niebogę od duszy własnej zratował, aż się jej rozum pomylił...

Poszła bez słowa za córką i wnuczką.

Izba była wielka, choć niska, z ciężkim sklepieniem, na dwóch filarach wspartym. W załomach sklepu wisały szare płachty pajęczyn, tak szare i zwarte, że zdały się być strzępkami kamienia samego. Nie omiatał ich nigdy nikt, biorąc jeno trochę pajęczyn dla tamowania krwi w razie wypadku, i to z należnym szacunkiem, by się cierpliwy tkacz-pająk nie uraził i zamku we wszystkim nie opuścił.

W głębokim brzegu okna, w ozdobnym, miedzianym, szczelnie zamkniętym naczyniu przechowywano wodę zaczerpniętą z krynicy w sam Wielki Piątek przed wschodem słońca, wielce pomocną na wszystkie pryszczę i wrzody. Szerokość całej jednej ściany zajmował długi, niski piec, który służył za łaźnię czasu wielkich zjazdów, gdy właściwa łaźnia na przeciwległej stronie dziedzińca położona, nie wystarczała. W tej izbie książę Brodacz ćwiczył osobiście winnikami (Winnik - miotełka brzozowa, używana w łaźni) w kadzi moczonymi co szlachetniejszych dworskich synów nobilów, gdy o zbyt obcesowe zaloty do dworek zostali obwinieni. Tu na koniec wesołe panny i dojarki zamkowe sprawiały swe wróżby dziewczynskie na św. Katarzynę, św. Andrzeja i na Gody, w wielkiej tajemnicy przed kapelanem, lejąc воск, ciskając kłosy jęczmieńne na wodę lub puszczając pomiędzy siebie gąsiora z zawiązanymi krajką oczami.

Teraz swawolna, świergotliwa ich gromada, wśród śmiechu i żartów oczekująca rozpoczęcia gędźby, zamilkła nagle, zmrożona widokiem wchodzącej

z Zofką starej księżnej Brodaczowej. Spuściły oczy skubiąc zawzięcie fartuszki, milczkiem już tylko, z ukosa zerkając na siedzących na ławie rybaków. Przed nimi, w głębokim poręczowym krześle, siedział Henryk, syn Brodaczowy, tak zapatrzony w śpiewaków, że ledwo zauważył wejście matki i siostry. Usiadły we wnętrzu okiennym i starszy rybak podniósł się z ławy, by wygłosić powitanie.

Był to człek średniego wzrostu, wielce otyły. Ruszał się z trudem, ledwie suwając nogami, bo w młodości krzyże mu niemoc poraziła. Jeździł przeto z grodu do grodu na mulicy. Znał niepośledni kawał świata. Urażał się wielce, gdy go nazywano rybałem, sam bowiem tytułował się minnesangerem (Minnesanger (niem.) - piewca miłości). Nazywał się Kuno von Katz, choć nikt nie wątpił nigdy, iż owo von sam sobie nadał prawem poetów i że właściwie jego miano było Kocur. Towarzyszyli mu Hans Maiczek i Wawrzyniec

Kobiela, młode chłopcy, bardzo pięknie mimo wioli i gęślach (Gęśle - słowiański instrument muzyczny (cytra) grające. Przyuczając się w zyskowny zawód, rybałci wyręczali nieraz mistrza, gdy był zmęczony lub słuchaczy za poślednich uważał.

Lecz dziś mistrz Kuno nie byłby oddał głosu nikomu. Chyląc z trudem

nieruchawą postać wyrażał ozdobnie radość, iż w tak dostojnym gronie będzie gadał. Pokłonił się nisko przed panią Hedwigą, dodając, że był niedawno w dolinie Andchesu, w kasztelu możnego grafa Bertholda, syna Bertholowego.

- Niedawno? - powtórzyła księżna, bezwiednie poruszona.

- Nawet roku jeszcze nie ma. Wiosna była i bagnięta (Bagnięta - bazie wierzbowe) ledwo się na wierzbach puszczały.

Poddał z cicha melodię Kobieli, który uderzył w struny. Księżna mimo woli zakołysała głową do wtóru. Uśmiech prawie że radosny rozjaśnił jej chudą twarz. Tak, to swojacka piosenka, którą śpiewywała wraz z siostrami, gdy w wirydarzu za kasztelanem ojcowym wiodły swoje płąsy dziecińskie... Ta sama znad Andechsu piosenka... Opuszczona przed trzydziestu laty ojcowizna stanęła w oczach jak żywa. Miłą, roztomiłą (Roztomiły - najmilszy) dziedzina! Ujrzała ją, ujrzała dom i ludzi, jak gdyby rozstała się z nimi wczora. Inksze wszystko niżli tutaj - ze wszystkim inaksze. Ludzie inaczej się ubierają, inne mają zwyczaje. Przed krzem bzu czarnego - pomni - zdejmują czapki, jak tu przed leszczyną...

Nie przestawała się uśmiechać tak pogodnie, jak gdyby samo wspomnienie dziecięcych czasów żywota wystarczało, by odegnać zmory i udreki duszne.

Lecz Henryk niecierpliwił się czekając powieści. Niecierpiwiły się Zofka i Truda, a dworki wzdychały już z dawna żałośnie, chociaż nieśmiało. Urodziwa Radocha potrząsała głową, kołacząc darowanymi przez starego przestępowali z nogi na nogę niespokojnie. Więc baczny na wszystko Kuno przerwał granie, zamilkł, spojrział wyczekująco na kamienny pułap. Wszyscy powstrzymali oddech. Na dany znak Maiczek i Kobiela podnieśli ręce, uderzyli w struny groźnie, szarpiać i zamilkli.

Głosem dźwięcznym, na podziw silnym minnesanger zaczął:

- Śmieje się głośno, rozgłośnie Fortinbras, hucznie się śmieje, aż parska nozdrzami. Od śmiechu jego drży góra Ararat. Walą się skały w doliny, spłoszone rzeki ciskają się w przepaść. Wicher mroźny tchnie na góry od śmiechu syna Badana.

Pierś Fortinbrasa jest szeroka jak stół okrągły rycerski. Kolano jak bochen chleba. Pięść jak wykrot dębu po burzy. Szczecina, co porasta jego brodę, jest ruda i wielka jak trzcina zeszłoroczna na mokradle. Gdy Fortinbras ucztuje posłuszne gromy pieką dla niego cztery woły. Całego wołu kładzie do gęby. Gdy zgryzie, wypluwa grubsze kości, rogi i racice, jak człek wypluwa pestki śliwy.

Pełne są góry lęku przed olbrzymem Fortinbrasem. On nie zna lęku przed nikim. Nie zna Boga. Nie boi się Go. Nie boi się go wcale.

Gdy poraził już góry swą mocą, idzie zawojować świat. Fortinbras, syn Badana, chce widzieć ustawicznie nowy strach przed sobą.

Podchodzi do bram Jeruzalem. Na wieczny wstyd, na wieczną hańbę Saracen

w niej posiadł. Waruje przy Grobie Świętym parszywy pies pogański. Hańba chrześcijaństwu! Biada!

- Biada! ach, biada! - powtórzyli obecni z przejęciem.

Mistrz Kuno rozejrzył się znacząco, co zrozumiawszy Radocha podsunęła mu dzban piwa.

Popił, odstawił i ciągnął.

- Gdy ziemia ugięła się pod stopami olbrzyma, aż ,morze chlusnęło na brzegi, strach padł na pogan siedzących w Jeruzalem. Wyszedł sam Sułtan Saracenów, możny i pyszny Mohammed, wielki jego wezyr El-Hassan, wszystkie

wezyry pomniejsze i dziesięć razy po cztery rotty janczarów (Janczar - żołnierz wyborowej piechoty tureckiej utworzonej z młodych brańców chrześcijańskich (tu: anachronizm, gdyż pierwsze oddziały janczarów powstały ok. 1330).

Gdy Fortinbras podszedł blisko, sułtan padł przed nim na twarz i zapytał, czego by chciał.

Olbrzym roześmiał się i rzekł: "Przejsć po was, zdeptać i zgnieść". I śmiał się znowu.

Sułtan Mohammed pobladł jak giezło i ofiarował synowi Badana cesarstwo Aleksandrii. Ofiarował mu wszystkie swoje wielbłądy i słońce. Wszystkie niewolnice i wszystkie swój skarb.

"Ofiarujesz mi to, co sam mogę wziąć i wezmę" - odpowiedział Fortinbras.

Mądry Ben-Almalik, uczony w piśmie pośród Saracenów, wyszedł wtedy zza pleców sułtana i zawołał: "Znamy rzeczy, których sam nie otrzymasz, Fortinbrasie".

"Nie wierzę" - rzekł olbrzym.

"Posłuchaj jednak, cóż powiem: cóż stąd, że zgnieciesz nas wszystkich w parę chwil później? Możesz poczekać. Posłuchaj".

"Posłucham" - zgodził się olbrzym zaciekawiony i otoczył ucho ręką, by lepiej słyszeć.

Uczony Ben-Almalik wspiał się na palce i mówił głośno wśród ciszy:

"Jesteś wielki, Fortinbrasie, jesteś mocny, lecz śmiertelny.

W twoich żyłach płynie krew podobna do naszej. Gdyby kto zranił cię i otworzył potok twojej krwi, powstałoby drugie Czerwone Morze, lecz ty leżałbyś blady i martwy".

"Któż by śmiało skaleczyć mnie i krew moją wypuścić?" - zapytał Fortinbras urażony.

"Istotnie, nie ośmieli się zapewne nikt. Lecz powiedz nam, jaką śmiercią zmarł ojciec twój, Badan?"

"Żmija go ukąsiła".

"Jakżeś zabezpieczony od ukąszenia żmii, Fortinbrasie?"

Olbrzym nie odrzekł nic, bo lękał się śmierci.

"Jeżeli oszczędzisz plemię Saracenów, odejdiesz stąd precz i nie wrócisz więcej, uczynię cię nieśmiertelnym, niewrażliwym na rany i ukąszenia".

"Rad bym wiedzieć, jak to uczynisz" - rzekł olbrzym.

"Wiem, o czym mówisz - szepnął sułtan do doradcy. - Cenna to rzecz, lecz życie cenniejsze. Niech Prorok błogosławi twą głowę, mądry Ben-Almaliku!"

Wydał rozkaz i cwałem na grzbiecie białego wielbłąda przywieziono z grodu małą cedrową baryłkę, starannie czopem zabita, i postawiono na ziemi przed sułtanem.

"Już przeszło dwanaście wieków, jak ta oliwa jest w Jeruzalem - rzekł uczony Ben-Almalik. - Nie wiem, od kogo pochodził, zapewne jednak od



wielkiego czarodzieja, gdyż ma cudowną moc zrastania uciętych członków i leczenia każdej słabości. Weź ją, a będziesz żył wiecznie".

Była to, o miłości, oliwa, którą pobożny Józef z Arymatei namaścił ciało Zbawiciela Naszego, Pana Jezusa Chrystusa, przed złożeniem go do grobu. Ten skarb, ten wielki skarb pozostawał w ręku pogan - ta świętość wydana zostaje w ręce sprośnego giganta! Biada, chrześcijanie! biada!

Kuno pociągnął znowu ze dzbana. W izbie panowała cisza, że - zdało mu się - słyhać było, jak pajak tka swoją przędzę w załomie sklepienia.

- Fortinbras rzekł: "Nie wierzę w cnotę tej oliwy".

Przywieziono trzech niewolników i na skinienie sułtana sam wielki wezyr obciął jednemu głowę, drugiemu rękę, a trzeciemu nogę. Po czym uczony Almalik namaścił ich rany oliwą z baryłki, obcięte członki przyrosły natychmiast, i poszli zdrowo do domu. Fortinbras klasnął z zadowolenia po udzie, aż wstrząsły się mury - obiecał oszczędzić dziedziny Saracenów i zabrał olej najświętszy. Obwiązał baryłkę sznurem jedwabnym, zawiesił sobie na szyi i ruszył prosto na zachód, w dziedziny państw chrześcijańskich.

Gdy szedł, zeszcła od długiej pogody ziemia pękała w głębokie szczeliny. Płakali umarli mówiąc: "Kto nas budzi nie ostawiając w spokoju, choć na Sąd Ostateczny jeszcze nie trąbiono?" A którzy w nie poświęcanej ziemi bezbożnie legli, korzystali z przejścia olbrzyma, by wstać i upiorem na świat wrócić.

Stróżujący na granicy chrześcijaństwa, czujny stary kruk Ogo posłyszał kroki straszliwe. Rozpostarł skrzydła jak złowieszczą płachtę, leci wskroś nocy do wyniosłego kasztelu, gdzie mężny rycerz Oliwier (Rycerz Oliwier - bohater najsłynniejszej francuskiej "chansons de geste" Pieśni o Rolandzie (z cyklu o Karolu Wielkim) przebywa. Kołace twardym dziobem w ołów okienny, bije skrzydłami w kamienną framugę, aż zbudzi się śpiący rycerz.

"Kto mnie woła?" - zapyta z wezglowia.

"Otwórz, Oliwierze, otwórz śpiesznie. Jam jest poseł złej bardzo nowiny..."

Poznał Oliwier głos kruka i wpuścił go do komnaty. - "Czego chcesz?"

"Zagłada idzie, już blisko".

"Nie wiem nic o żadnym wrogu, stary Ogo; nie toczymy wojny z nikim".

"Fortinbras, syn Badana, olbrzym z góry Araratu, idzie na zagładę chrześcijan".

"Gdzie mój miecz?" - rozglądnał się rycerz.

"Biada, strzeż się, Oliwierze, bo Fortinbras dostał od sułtana Saracenów baryłkę ze świętym olejem i orężem go nie pokonasz..."

"Gdzie mój miecz?" - powtórzył rycerz.

"Nie pójdziesz chyba sam, Oliwierze? Wszak nie przywołasz nikogo. Towarzysze twoi dawno zginęli lub żyją wygodnie, pojawiający urodziwe małżonki. Nie przyjdą. Niełatwo wstać z ciepłego łóżka od boku kobiety i pójść w wietrzną noc na bój śmiertelny".

"Gdzie mój miecz?" - rzekł rycerz z gniewem po raz trzeci. Opasał się pasem rycerskim, włożył hełm i srebrną zbroję. Wziął miecz do ręki. Zadał w krótki, złoty róg... Zbudził się strwożony giermek, wywiódł osiodłanego

żrebca, który zrywał się i parskął. Prawy rycerz dosiadł konia, odesłał giermka do domu i ruszył przeciw wrogowi...

Mistrz Kuno urwał i podniósłszy dzban do ust spojrzął znad niego bacznie na słuchaczy. Milczeli oddychając ciężko, jak ludzie zmagający się z nieznanym. Pod wpływem opowiadania jurnych, pogodnych prostaków ogarnął nigdy nie znany głód - osiągnięcia czegoś wyższego od siebie. Wzdychały żałośnie dziewczęta, sapali przygryzając wąsy rycerze. Nawet trefniś Kwiatek stękał głucho, przygnieciony ciężarem własnego, budzącego się człowieczeństwa.

Książę Henryk oparł szczupłą twarz na dłoniach, zasluchany w treść powieści. To było, czego całe życie pragnął, czego chciał: rycerzem być błędnym, swobodnym; zabijać smoki i olbrzymów, bronić chrześcijaństwa. Chwytał wprzód, zanim zostało wypowiedziane, każde słowo rybałta, pieczętował je upartą chęcią poszybowania ku lepszym, wyższym formom bytu.

Kuno podjął opowieść:

- Gdy światło: Oliwier posłyszał z dala, jak dudniła ziemia pod krokami olbrzyma, a wkrótce zobaczył wychylającą się zza wzgórz głowę jego, wielką jak kopica. Wyjął miecz z pochwy i rzekł: "Sam jestem w obliczu tej walki. Nie żywie już mężny druh Roland (Roland - główny bohater pieśni o Rolandzie). Skruszony jego jasny Durandal (Durandal - miecz Rolanda)... nie żywie Turpin (Turpin - postać z Pieśni o Rolandzie, jeden z dwunastu parów Francji, przyjaciel Rolanda) ni żaden z dwunastu cnotliwych parów frańkońskich. Sam jestem. Dziękuję ci kornie, Panie Jezu Chryste, za ten zaszczyt".

Cień upadł mu na głowę, bo olbrzym był o parę staj zaledwie. Gdy podszedł bliżej, rycerz zawołał: "Stój!"...

Fortinbras spojrział, ujął się pod boki i pyta: "Czego chcesz?"

"Bić się z tobą".

Olbrzym zarechotał śmiechem, aż położyła się puszcza, i rzekł: "Bić się? po co?"

"Abyś nie szedł dalej".

"Dlaczego nie chcesz, bym szedł dalej?"

"Bo tu jest ziemia pokoju, ziemia chrześcijan. Nic ci do niej, synu Badana! Tu ludzie pracować chcą, orać i siać. Chcą budować domy, hodować pszczoły i karczować lasy. W murowanych klasztorach mądrzy zakonnicy piszą w skupieniu księgi ku nauce przyszłych ludzi. Nie wolno ci przeszkadzać im".

"Wejść, owszem, rozgniotę jak robactwo śmiesznych rolników, przewrócę domy, rozrzucę kamienne klasztory. Kto mi w tym przeszkodzi? Ty?"

"Ja, ostatni żyw z dobrych rycerzy".

Fortinbras roześmiał się znowu i chciał odsunąć go nogą, lecz Oliwier, cofnąwszy się, natarł straszliwie i przebił kopią na wylot goleń olbrzyma. Fortinbras zawył z bólu i rzucił się na niego, jak się rzuca złom skały na potok. I walczyli ze sobą trzykroć i czterekroć, potykając się do samej nocy. Zadawali sobie wzajem straszliwe rany i broczyli obaj krwią, niby ziele broczem zwane. Lecz po każdej potyczce Fortinbras smarował się świętym balsamem i wstawał znów silny jak byk, a wściekłość jego wciąż

rosła.

Nie ustawało męstwo Oliwiera, lecz opuszczały go siły. Padł bez ducha wierny jego koń. Strzaskana dawno kopia. Wbity na głowę hełm. Nie zdejmie go, póki życia. Spękana zbroja; krew uchodzi ze stu ran, ale dłoń nie wypuszcza miecza.

Gdy mrok zaległ wzgórze, Fortinbras położył się, by spocząć i chrapał rozgłośnie. Oparty o pień drzewa, Oliwier modlił się gorąco: "Nie pozwól, Zbawicielu - mówił - by zasługą ran twoich najświętszych zniszczył syn Badana chrześcijaństwo". I pękł sznur owiązujący baryłkę, że zsunęła się i potoczyła aż pod stopy rycerza. Lecz on miał oczy zalane krwią i tego nie widział.

Gdy rankiem zbudził się świat, zobaczył Fortinbras Oliwiera stojącego naprzeciw niego w pogotowiu. Ruszył z wściekłością, waląc ciężkie głazy, lecz miecz podciął mu nogę boleśnie. Sięgnął ręką do szyi po olej i nie znalazł go: zobaczył natomiast baryłkę leżącą tuż pod stopami rycerza. Wtedy ogarnął go lęk i uciekł do swych gór wprost przez morze, które mu sięgało łądźwi.

A wówczas mężny Oliwier położył się na murawie. Wyciągnął znużone członki na miękkim węzłowiui ziół. Śmierć całowała mu lice, a radość serce. Zobaczył leżący tuż pod ręką olej święty i uśmiechnął się. "Niegodnym - pomyślał - dotykać się balsamu, który obmywał rany Zbawiciela. A zresztą, po cóż mam żyć? Nie spotka mnie już nigdy nic piękniejszego nad tę walkę, ani lepszej śmierci sobie nie wysłużę, bom walczył teraz sam jeden za dobro wszystkich chrześcijan przeciw złu".

Ostatkiem sił pchnął prawy rycerz świętą baryłkę do rzeki, przykazując wodzie śmiertelnym nakazem, by ją poniosła nie mieszkając aż do Rzymu, pod stopy Ojca Świętego. Sam legł ponownie na trawie patrząc w niebo z uśmiechem: "Gdzieś odleciał, stary Ogo?... Ponies co rychlej wiadomość w krainy italskie i lube francuskie, do Armoryki, Flandrii, Allemanii, że ostatni dobry rycerz odszedł chwalebnie ze świata..."

10

Chodzi sen koło okien, a drzymota koło płota... - śpiewała brzękliwym głosem Anna, bujając ręką kołyskę przywiązaną na sznurach do pułapu. Gdy drzwi skrzypnęły, żeście i wy, świekro, poszli słuchać żonglerowych gadek - rzekła synowa z przekąsem.

Dziewczynka, wesoła jak cieciora, puściła rękę babki biegnąc do rodzeństwa, które hałasowało w sąsiedniej izbie, piskając śmiechem co chwila. Było ich ośmioro, dziewięte w kołysce, a Anna chodziła ciężarna dziesiątym.

- Ja bym tam nie szła na owe bajędy... - powtórzyła Anna z naciskiem.

Pani Hedwiga milczała, nieco zmieszana. Isto, ona sama nie byłaby się spodziewała ani znała teraz, czemu poszła.

W kołysce najmłodszy wnuk wrzeszczał w niebogłosy mimo bujania. Babka wzięła go na ręce; siadłszy na ławie rozwijała sztywne powijaki, w modry wzór haftowane, odrzucając wprawdzie długie końce w tył. Odłożyła wkłętą

bukową deszczułkę, do której dziecko było przykrepowane, i ułożyła je sobie na kolanach, gdzie śmiało się szczęśliwe, kuląc i prostując nóżki.

- Niedobre te powijaki - zwróciła się do Anny wskazując czerwone odciski na miękkim ciałku.

- Nie będę go przecież powijała zwykłą krajką, niby syna smardy - odburknęła synowa. Była czymś przejęta, oczyma latająca niespokojnie po komnacie.

- Co wam to w szyję, świekro? - zapytała nagle.

- Mnie? Nic - odparła pani Hedwiga i splonęła.

- Bo widzi mi się, że głową nie ruchacie; pewnikiem was w tych lochach zawiało...

- Może i coś zawiało...

- Trza gnojem owczym obłożyć na noc, ale gorącym...

- Ano.

Anna usiadła na skrzyni krzyżując ręce na wyniesionym poprzód piersi żywocie. Rozbiegane oczy przykryła zmrużonymi powiekami.

- Słuchaliście wszyscy gadek rybałkich - zaczęła zjadliwie - a podczas piękne rzeczy działy się na zamku.

Pani Hedwiga oderwała oczy od zasypiającej na jej kolanach główiny i spojrzała na synową pytająco.

- Nie wiecie jeszcze? Toć Konrad wojnę ogłosił!

- Komu? - spytała mniszka ze zdumieniem.

Anna zaśmiała się schryple.

Komu, komu!... Oćcu, Henrykowi, mnie, wam, tym dzieckom pewnie też... Wszystkich by umartwił rad...

- Za co?

- Bo ja wiem! Że po niemiecku gadamy, że osadniki są... Wyżegnąć (Wyżegnąć - wygnąć) ich chce precz, grody rozbulić, dzicz, jak drzewiej była, zaprowadzić... może i pogaństwo wrócić... A najbardziej was pewnikiem zawzięty.

- Na mnie?

- Boście przecie Niemka są, a on Niemców nie chce... ni mowy niemieckiej, ni obyczaj... Taki się wam syneczek uchował - dogadywała szydliwie.

Pani Hedwiga milczała. Złe obawy, trapiące ją od przyjazdu, podniosły się naraz, zduciły dech i głos. Wydało się jej, że jest, jak Anna, ciężarna, jeno nie dzieckiem, ale przeczuciem złym, świadomością czegoś straszliwego, co nadchodzi.

- Włodyków ma za sobą, kmieci, całą ślązacką gołotę - ciągnęła Anna. - Dobrogost, psi syn, i tamte wyronie (Wyroń - nicpoń), marchy parszywe zza Odry... Jarach Klimów, Słup Domasławów, a Mojko, a inni... Powiał oćcu, że skrzyknie ich wszystkich i na gród pociągnie... Henryk ma naprzeciw iść. Nie strachajcie się. Da on mu radę, pociotowi diabelskiemu.

Mówiła dłużej, lecz stara księżna nie słyszała. Złożyła ostrożnie dziecko uśpione do kołyski i stanęła nieruchomo, zakrywając oczy dłonią. Własne poprzednie strapienia; chmurne lico syna; dzisiejsze zajście w grodzie; dłoń rozdająca ośki; Henryk idący na brata - wszystko to wirowało jej w głowie, zawrotnie, okrutnie szybko. Na ramionach legło z nagłą niepojęte,

nieuchwytnie poczuć jakowejś własnej winy czy omyłki...

Wyprostowała się nagle i nie zwracając uwagi na Annę, wyszła z izby szukać męża. Zapytany pacholek objaśnił, że księżę pan są na radzie. Poszła więc do sali rycerskiej.

Henryk Brodacz siedział tam otoczony wielmożami i rycerstwem. Kapelan ksiądz Marcin stał za nim zatroskany, bliski płaczu. Piastun Walter von Esse, miecznik Frydrych, danny Lutdolf, Otto von Reinbaben - źli, zgiełkowi, zasrożeni. Strażnik grodzki Więcymił z Miechowic, wójt pan Witosław z Borka - zmieszani, milczący... Wszyscy podnieśli się z ław na jej widok, zdziwieni, nigdy bowiem nie zachodziła tu dawnymi latami. Ona szła prosto do męża. Siedział zgryziony, posępny. Palcami gorączkowo kręcił oszełmaną (Oszełmany - oskubany, postrzępiony) brodę.

- Co z Konradem? - zapytała wprost.

Wskazał jej ręką stołek podle siebie i odparł nie podnosząc oczu:

- Kazałem wam o tym nie gadać, ale już ktoś, wiera, napytłował... Wojnę mam ze synem na starość; tak to jest!

- O co? - zapytała w nadziei, że inny powód, niż Anna podała, usłyszy.

- Gadałem już wam przecie, że o Niemców... Nieraz już drzewiej ludzi buntował, a mnie do oczu sięgał, mnie - oćcu! Że Ślązakom krzywda, że ich Niemce cisną... Może i cisną... wszystkich nie dopilnuję... Dziś w grodzie rozruch uczynił, bić mieszczan namawiał... Taka się zrobiła zawierucha, że ledwo ich więcymił z wiertelnikami rozgonił.

- Gdzie poszedł?

- Kto?

- Konrad.

- Wiem ja, gdzie ninie ten bies przeklęty? Do puszczy ujechał swoich zbierać. Dobrogost pono z nim, Prosimir Proszów, Jarach Klimów, i Słup Domasławów... Wszystkie łazęgi a smardy, i trochę włodyków też...

Uderzył pięścią w stół, poczerwieniały z gniewu.

- Nie bojam się ich! - zakrzyknął. - Henryk w mig rozpędzi to pasiarstwo. Dobrogost i tamci ze swymi nie starczą za moją drużynę. Ale hańba, ale żal... Ze synem bić się! Ze synem!

- Gdzie Henryk?

- Na dziedzińcu rycerstwo zbiera.

- Ślij po niego - rzekła rozkazująco. - Ślij, a skoro!

Pchnął oczyma pacholka, zasępiony, nie przestając kręcić właściwym sobie ruchem brody.

Orężne kroki zadzwoniły. Wszedł młodszy. W zbroi, gotowy do boju, przy mieczu. Szłom (Oszełmany - oskubany, postrzępiony) pierzasty trzymał w ręku dla niskości drzwi. Rozmarzenie wywołane pieśnią rybałcią znikło bez śladu. Twarz miał zawziętą. Stał unikając wzroku matki.

Podeszła do niego, dotknęła palcami miecza.

- Na brata - szepnęła. - Jedź za nim, ujednaj się - zaczęła natarczywie, błagalnie.

- A jużci!

- Ujednaj się! Nie śmiesz walczyć przeciw bratu!

Odsunął ją ruchem ręki.

- Nic tu po was, matko - rzekł twardo. - Idźcie do komnat; nie babskie to sprawy...

- Nie pójdziesz! - zawołała z rozpaczą.

- Pójdę! - odrzyknęła ostro. - Pójdę i tego chwosta śmierdzącego przywlokę. Na zamku zawrę. Niech siedzi. Dość mętu przyczynił. Wojny mu się chce. I o co? Bo miał choć o co! Że osadników jest moc? Co mu wadzą? Gadał tu dzisiaj jak głupi, że się Śląsko zatraci, że Ślązaki swojej mowy zabędą (Zabyć - zapomnieć), że się odmieniają, przeniemczą... Wielka wieca (Wieca - narady, rozprawy)! Niech się odmieniają! Byle były umne, mocarne a krześcijańskie.

Księżna spuściła głowę. Onaż zawsze tak mawiała wierząc mocno, iż wszelkie różnice w narodach nie pochodzą od Boga, jeno są wymysłem ludzkim... Teraz wahała się. To samo co przedtem uczucie nieznanej omyłki czy winy ścisnęło struchlałe serce. A ponad wszystkie strapienia wybiła się, nadleciała, nie wiedzieć skąd, swojacka piosenka z doliny Andechs, z jakimż radosnym weselem słyszana. Zadzwoiła skowronkiem, zapachniała niby

smugą kwiecia, błysnęła jakimś nagłym zrozumieniem.

- Nie lza by ludzie swojej mowy zabywali - szepnęła wahająco.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Samiście prawili zawdy, że mowa niewiele znaczy... byle krześcijanami byli.

- Źle gadałam...

Wzruszył ramionami z politowaniem.

- Nic tu po was, matko - powtórzył. - Idziemy! - zwrócił się do stojącego w sali rycerstwa.

- Nie pójdziesz!

Wyciągnęła ręce błagalnie, uczepiła się palcami krawędzi pancerza. W oczach jej pociemniało. W uszach poczuła szum, w duszy grozę i lęk. Ponownie wróciło uczucie, że jest ciężarna czymś niewymownie bolesnym. Pobladła z trwogi, jak gdyby miała urodzić potwora. Zatoczyła się bezwładnie, zasłoniła oczy dłonią, nie przestając wszakże widzieć wyraźnie, ostro, jaskrawo...

Oto nad ciemną ziemią sunie zmora, w chmurę spowita, większa niż pół świata... Sunie, nadchodzi, rzuca silny cień na gród i zamek, na całą dziedzinę. Wobec okropy widzenia ci, co stali za nią zagniewani, zdali się jej dziećmi baraszkującymi w obliczu powodzi. Z oczyma rozszerzonymi trwogą padła na kolana, wznosząc sztywną szyję ku górze, i jęła wołać przeraźliwym, nieswoim głosem:

- Rety! rety! biada!... Na siebie idą, a gniew Pański ponad nami!...

Waruj się na brata iść! Warujcie się społem stróżujcie, bo straszna pora nadchodzi! Który tysięcznego roku nie przyszedł Antychryst, ten ci jest... Sczerwieni się ziemia od krwi, zapłynie łzą...

Ugódź się, ujednaj brata! Żebyście bez grzechu byli w dzień Sądu Bożego!

Rzucała z siebie słowa nieprzytomne, oszalałe, przejęte takim lękiem przed rozą widziadeł, że obecni cofali się z przerażeniem, widząc, że uniesiona jest i z mocami gada.

- Ujednam się, matko - rzekł z cicha Henryk.

Pożegnał się, otarł zimny pot z czoła i wyszedł szybko z sali.

Pani Hedwiga zdała się tego nie słyszeć. Powstała z trudem z klęczek, zesłabła tak, że nogi ugiwały się pod nią, a kolana kołatały gwałtownie o siebie. Ukryty pod suknią łańcuch zaciążył nagle, jak gdyby ugiął ku ziemi. Spojrzała wkoło półprzytomnie i wyszła złamanym, wlokącym się krokiem.

Książę Henryk Brodacz siedział nieporuszony, patrząc za nią. I jego, podobnie jak syna, groza trzęsła, gdy widział żonę gadającą, jako dawne wróżychy gadały. Dotąd mróz mu szedł przez krzyże na wspomnienie jej przeraźliwie dzwoniącego głosu. Spojrzał na stojących wielmożów. Przeżegnał się - oni również...

- Księżna pani silno prorokowali... - westchnął kapelan przecierając zatrwożone oczy.

- Ba! - rzekł z uznaniem miecznik. - To przez te posty taki duch w człeka wstępuje...

- Nie każdy tak zdoła, hej!

- Gniew Pański ma przyjść... Słyszeliście?

- Co ma przyjść, kiedy już jest - rozgniewał się książę. - Mało utrapień z tym padalcem? Co może być gorszego?

Odetchnął raźniej, tkięty jakąś myślą.

- Żebyśmy tak Dobrogostowi łowczemu kasztelanię średzką obiecali?... - zwrócił się do piastuna Waltera von Esse. - Nie poniechałby odmienca?...

- Spróbować nie wadzi - odparł rycerz.

Gadali na razie długo, przyciszonymi głosami, aż wieczór zeszedł zupełny.

Goniec zaufany pojechał w skok do pana łowczego, za Odrę, wioząc pismo z pieczęcią książęcą. Książę sam wyszedł za nim aż na ganek skorość przykazując. Ze zdziwieniem zastał tam zawieszoną przez poręcz Annę, pilnie czegoś wyczekującą. Na jego widok cofnęła się szybko, ile jej na to ciężkość pozwalała.

"A ta tu czego?" - pomyślał książę, wracając do swych komnat.

Ledwo drzwi zawarł, Anna wysunęła się na krużganek ponownie. Ważne ją tam

trzymały sprawy. Gdy świekra modliła się, krzyżem leżąc na posadce, Zofka płakała, książę przemyślał nad ujednaniem łowczego - ona nie traciła czasu. Oddana dziewczka pobiegła już dawno do grodu sprowadzić na zamek tajemnie kumę diabelską, Margochę, zwaną na grodzie Mądrą albo Prychną, znającą wszystkie uroki. Niech przyjdzie zaziory (Zaziory - uroki) czynić, Konradowi przeciwne. Coby więcej na drodze młodszemu bratu nie stawał. Coby

się stał mały, lichy, zetlały jak próchno. Coby mu się pomyliła powrotna do domu droga...

Cicho człapiąc sukiennymi trzewikami po nierównym bruku, kołysząc się w biodrach, wiedźma Margocha szła żywo na to wezwanie. Nie była jeszcze stara i twarz jej, okolona kosmykami kręconych, tłustych włosów, czerwona była i krągła jak księżyc w pełni. Nie mniej słynęła jako wiedźma biegła i potężna. Sama już nie pamiętała ani umiała sobie wspomnieć czasu, kiedy

była wesołą, krzepką młodką, jako wszystkie inne dziewczki, okrutnie łasą na chłopów. Ojców nie znała; przedali ją dzieckiem. Podrósłszy, żyła z tym lub owym czeladnikiem z zacnego cechu szewskiego. Skończyło się to dobre życie, gdy się jej rymarz spodobał. Szewczyki ją zbiły i przegnały, a rymarze też zabronili swojemu wdawać się z dziewczką, która raniej z podlejszym, ich zdaniem, cechem do piwiarni i na odpusty chadzała. Została sama i głodna w pustej kleci za murami, nie wiedząc zgoła, co począć. Wówczas przywাকronił się do niej czarny, schudzony i strzępiasty kocur. Ocierał się lubo o nogi; mrucał, jakby wrzecziono furczało; pod włos pogłaskany, sypał skrami; ślepie miał zielone i łowny był wielce. Polubiła zwierzaka.

Aż raz sąsiadka Raduńka, zobaczywszy go na przyzbie, plasnęła w ręce z przestraczem:

- O Jezu Kryste! Adyc to ten samy, co go Bobkula, którą łoni (Łoni (staropol.) - zeszłego roku) na rynku spalili, wyhodowała z przestępu... Ten ci sam!

Gdy Margocha nic nie pojmowała, Raduńka podeszła bliżej, pokonywując trwoę, i wyjaśniła dziewczynie, że straszeczna jędz Bobkula trzymała dziewięć lat korzeń przestępu w węborku (Węborek (z niem.) - wiadro), dodając doń co dziewięć dni ziarenek zboża, aż wyhodowała sobie diabła - tego oto kocura...

Wtedy ju się nie bała niczego. Jeno e kajŚkiej posłała go strasznie daleko, i biskup zdŃ ył jŃ spalią, nim diabeł powróci. Wszyscy grodcy widzieli, jak latał potem po rynku ten paskudnik i miauczał. Biła się w szerokie piersi przysięgajŃc, e to ten sam, bez ochyby.

Struchlała Margocha cisnęła w kusiciela kamieniem, egnajŃc się dr ŃcŃ rękŃ. Kot fuknŃł i uciekł na dach. Ale odgonią ze wszystkim ju się nie dał. Wracał ciągiem na polepę, choą miotała za nim głowniami.

- Oj, nie odejdzie on ju , nie - zadecydowała po kilku dniach Raduka i spojrzła na Margochnę z oględnym szacunkiem.

Podobnie jęły spoglŃdaą inne kumochy, bo ju ci ozór Raduchy nie pró nował. Rychło ąwierą grodu ju znało, e Margocha diabła ma do posługi. Tedy jasne, czemu u Kubalów na Piasku krowy mleko postradały. Ta wiedźma oklęta zabrała.

Strwo yła się wielce Margochna zasłyszawszy o tym i zdumiała, e tak, ani wiedzią kiedy, czarownicŃ sprawiedliwŃ ostała. Tote sny jŃ zaczęły nawiedzaą diabelskie. Rankiem obudziwszy się, gotowa była przysięgaą, e latała na o ogu, widziała taczŃce ropuchy. Bała się okrutnie biskupa i mnichów schodzŃc im, jak mogła z oczu, lecz zarazem z yła się z własŃŃ potęgŃ, zapewnijŃcŃ ogólne powa anie i dochody. W czarach doszła do wielkiej bieğłŃci. Umiała zamawiaą i rzucaą uroki. RzŃdziła dowolnie mlekiem wszystkich krów w podgrodziu, i mieszczanie składali jej sute opłaty, by go im nie zabierała. Widziano jŃ siedzŃcŃ w lesie na orzechach, by naprowadzią tym sposobem grad na rolę bogatego kmiecia Włostka, który jŃ

biskupem straszyl. Znała moce wszystkich zioł. Posiadała grosza-inkluza (Inkluz (łac.) - przedmiot, z którym jest zwiŃzana zła moc), pod pachŃ wylę onego, który jej do ręki dobrobyt przynosił. Pojęła tak e i bieğle



prowadziła czary najgorsze, najniezawodniejsze: nakłuwanie woskowej kukielki dla czyjejs miłości lub śmierci.

Oczekująca nieruchomo Anna drgnęła gwałtownie, zobaczywszy nadchodzącą.

Przejęta w nośnej chwili, Margocha uśmiechała się oblesnie, kłoniąc się księżnej do nóg. Anna złożyła ręce na pełnym ywocie, zaciskając mocno palce. Dziecko w jej łonie poruszało się szybko, niby przerażone. Pędzone uderzeniami płodu serce podchodziło a do gardła, tamując oddech. Spojrzała na przybyłą i naraz wspomniała sobie, co mówiono - e w żrenicach więdźmy, miast patrzącego, odbija się kozioł. Spuściła więc szybko oczy, aby go nie ujrzeć. Ogarnęła ją trwoga straszliwa przed tym, co chciała uczynić.

- Idź precz! - wyszeptła zasłaniając oczy rękoma.

Margocha skuliła głowę zawiedziona.

- Idę ju - rzekła posłusznie - ale ja ka dń zziore potrafię... co ino zechcń wasza miłość...

Spojrzała przenikliwie na księżnę i przysunęła się bliżej.

- Mam za sobą wszystko, co potra - szepnęła. - Zadziera ją kogo trza? Utrupią? Znęćią?...

Ukazała w zaciśniętej dłoni brudną ółną bryłę wosku i długą drewnianą iglicę.

- Nie trzeba, to idę - mruknęła Margocha.

Schowała wosk w zanadrze i powoli cofała się w tył, nie spuszczając oczu z księżnej.

Naraz na dole, przy bramie, szcęknęły kroki orężne. Ktoś nadchodził. Anna porwała się z miejsca spłoszona, chwyciła więdźmę za ramię i pchnęła przed sobą do izby. Zaryglowała mocno drzwi od wnętrza. Czas był, bo łowczy Dobrogost Bazylów wchodził ju na schody. Za nim pacholek księżny okrutnie rad, e spotkał pana łowczego na grodzie i tak rychło rozkazanie mógł spełnić.

Łowczy szedł powoli z godnością. Stąpił z góry, w przeświadczeniu, e księżny byle czym go nie ujedna. O, nie! Dziś właśnie, wnet po umieszczeniu grodzkiego rozruchu, ogłędali statecznie z Konradem i innymi

wojami całą sprawę. Obliczyli swoich stronników, zmówili się, kiedy zaczną. On, łowczy, sam najbardziej namawiał, powściągliwością Konradów ganił, siły du e obiecywał - zawzięcie powtarzając, e Niemców trza wszystkich wyenąć bez zwłoki. Parły go przeciw nim zawiść i uraona miłość własna, tak palńce i zajadłe, e, by je ukoić, utulić, trzeba by niemałych rzeczy. Bodaj kasztelastwa znaczniejszego grodu, bodaj urzędu miecznika...

Pacholek otworzył przed nim drzwi komnaty.

Noc była głucha, gdy łowczy Dobrogost i więdźma Margocha spotkali się ponownie w sieni zamkowej, wracając. Radzi byli oboje z siebie, z osięgniętych co ino korzyści. Radzi byli i ci, których ostawili: stary księżny i jego synowa. Udając, e nie widzą wzajemnie, acz rozumiejąc doskonale przyczynę swej obecności - rycerz i czarownica przesunęli się przez ciemną bramę.

W cichym przymierzu schodzili do grodu i ani im w głowie powstało, e za dukata i tytuł pogrzebali przed chwilę wspólnymi siłami ostatniego księcia Piasta, co chciał być Ślęzakiem.

11

Siedzący w szałasie z gałęzi Świerkowych, naciętych i wokół drzewa ustawionych, Konrad podniósł głowę nasłuchując. Drobny deszcz mu padał

z bezlistnych gałęzi. Kilka koni uwiązanych tu koło szałasu gryzło gorzkie liście, kopytem niecierpliwie wygrzebując spod mokrej podścieliny po ółki, bezsoczystą trawę. Szara masa ludzi napełniała las, grzała się przy ledwie tlejących w wilgoci ogniach. Kilku kmieci, z pół kopy włodyków, a reszta smardy, łazęgi, stró e i popracniki (Popracnik - wyrobnik). Razem do tysiąca ludzi. Obozowało to wszystko już od paru dni, oczekując nadejścia Dobrogosta z drużyną i reszty rycerzy.

Skracając sobie czas oczekiwania, Konrad rozmawiał wiele z tymi ludźmi. Siedząc w ich kręgu, całymi dniami wypominał niemiecką butę i chciwość, niemiecki ucisk, niemieckie przewagi. Ukazywał ręce urodzajne pola, które dziady karczowały - a teraz Niemiec z pracy tej korzysta. Muszą te role wrócić do Słęzaków, gdy osadników precz się wygoni. Rozumnie, długo pouczał, jako mają wtedy gospodarować, jak zawłóczyą jęczmie i proso, by taki sam plon osiągnęli. Będą orać rolę tą samą pługą (Pługą (staropol.) - pług), co Niemcy, albo dobrą sochą o dwu policach (Polica - deska, półka), miast drapać ją starym krzywogrządzielny radłem z jałowcowego korzenia. Cisną precz brony z wierzchołka uschniętego Świerku, czyniąc sobie włoki, nabite kołkami. Te widzieli nie mało już lat niemieckie sposoby, przyuczyli się, potrafią podobnie czynić. Nie potraza Niemców. Swoi będą umieli tak samo pracować, by kraj nie wrócił do dzikości i ubóstwa.

Kmieciom a włodykom wspominał dawne zaszczyty i swobody, gdy dziesięciny nie byli nikomu powinni, zaś rycerz nie wynosił się ponad nich. Za jedno byli rycerz czy włodyka. To im nazad wrócić obiecywał, byle wprzódy Niemców przegnali. Wszystko to są niemieckie umy, prawili. Z Niemiec przyszła pycha jednych, krzywda drugich. Byśmy ino ostali na swojej ziemi, jak drzewiej, wróci dawny, dobry ład.

Słuchali potakując kiwaniem głów, nie rozumiejąc jednak wiele z jego wywodów. To jedno jasno pojęli, że Niemców, znienawidzonych osadników, najlepsze ziemie dzierżących, trzeba precz wygnać i samym na ich miejscu zasiść. To pojmowali łącznie, przenajbardziej, o resztę zgoda się nie troszcząc.

Siedząc w wilgotnym szałasie Konrad nasłuchiwał uważnie. W lesie słychać było stępanie ostrożnego konia.

"Od Dobrogosta" - pomyślał i wstał.

- Tętent ucichł, ktoś podchodził piechotą do szałasu.

Henryk!

Rozsunął gałęzie i wszedł. Bez zbroi był i bez miecza. Zwarli się oczami krótko.

- Czego chcesz?  
- Ujedną się z tobń chciałem... Matka kazała...  
Konrad parsknł śmiechem.

- Matka! Słuchaj się starej niewiasty, rycerzu!  
- Duch bo y przez niń gadał...

Konrad roześmiał się dwrińco. Henryk usiadł na mokrych gałęziach zatroskany. Chciał opowiedzieć bratu, podzielić się dreszczem grozy, co wstrzńsnł nim, gdy widział matkę nieprzytomnń, gadajńcń w uniesieniu, jako

dawne prorokinie Święte, ale nie umiał tego wyrazić. Nie wiedział, co rzec, by mu brat uwierzył. Westchnł i rzekł z prostotń:

- Przyjechałem ujedną się... Bracie, pogódźmy się...

Konrad spojrział na niego z posępnym zdziwieniem.

- Jam się z tobń nie wadził - odparł. - Przyta na moje, to zwady nie będzie...

- Na twoje?

- Wy ecie Niemców - objaśnił krótko Konrad.

Henryk zacisnł pięści.

- Nie mo e być! Tak uczynim: nie skłudzim więcej ni jednego Niemca, to ci z oącem obiecuję; ale którzy sń, ostanń.

- Nie!

- Umeś stracił! Ludzi, co dziesińtek lat tu ywiń, będziemy gonią? Za co?

- Nie trza ich było sprowadzają - odparł starszy twardo. - Za siń ich jest. Na dośą, by ślńsko niemieckie było za roków parę...

- Có ci wadzń?!

- Słuchaj - odparł arko. - Nigdyście z oącem nie chcieli słuchać, com gadał, za prostaka mnie trzymajńc... Słuchaj e ten jeden raz. Jaka wasza gospodarka? Grodów ju jest parę, co ino Niemcom mieszkać w nich wolno, bo ślńzaki, prawiń ociec, niech lepiej na roli siedźń ni by do podgrodziów ścińgały... Kany ta rola? Trzy ćwierci ziemi, co pod uprawń jest, dzierń Niemce. Nasi jeno nowiny karczujń a biedolń. Kiej szmat wykarczujń, dajecie rolę Niemcom, a ich dalej pchacie w puszczy... Niemce na swoim prawie siedźń i o nikogo nie dbajń, a z naszych, kto chce, ostatni łupie ścińga. Przez to Niemce sń bogate, a nasi nędzota. Niemce panoszń się, przewodźń, a nasi jeno za tym kęsem chleba patrzń. Ustajń od krwawej roboty. Tak nie mo e być! W klasztorach opaty i przeory Niemce. Nie dopuszczajń do ślubów ślńzaków albo ich potem chłostajń, jeśli po swojemu mówiń. W grodzie ju prawie polskiej mowy nie usłyszysz...

Odetchnł głęboko i cińgnł:

- Potrze osadników, ju ci lepiej było wzińą Prusaków pogaskich, Jadźwingów, Rusów, jeno nie Niemców. Ady e ślepy by widział, jako na zgubę robicie! Ociec Polskę chce zładzią, królowaą, Niemców odeprzeą, a Niemców, wiela mo e, skłudza... -eby była krzepciejszym, prawi... Na śmiech takie gadanie! Niemce będn was bronią od Niemców? I dziecko w to nie uwierzy! One

nas ze rń, te Niemce przechytre, ze wszystkim ze rń! Nic nie ostanie... Ni mowy, ni obyczaj...

Zacisnęły pięści, a chrupnęły. Łzy gniewu błysnęły mu w oczach.

- A ja za to - dokoczył - za Śląsko, w ąwierci dałbym się porzucić...

Henryk patrzył we uwa nie.

- Ze r... ze r - powtórzył. - Tak gadasz, jakby kto ino wilkiem, a od drugiego mieczem się warował... A wdy nie w tym sprawa... Nie za wojnę ciągiem patrzyą, a za przyjacielem... Trza, by Królestwo Bo e było na ziemi... Bracia mają być sobie wszyscy...

Nachylił się patrząc z natęgnięciem w oczy brata.

- Jeszcze u nas dzicz była - mówił - kiej w zachodnich dziedzinach ju grody białe kamienne stały i Ociec Święty na Piotrowym stolcu w trzykrotnej koronie ju z wieka zasiadał... My ostatni, najmłodszy... Trza się nam uczyą od nich... Z Zachodu rozum brają... Nie wstecz, ale w przód chodzą...

Biada, którzy ostaną z tyłu... Jakoby panny głupie, co oleju zobaczyły, gdy oblubieniec nadszedł (Panny głupie, co oleju zobaczyły - ewangeliczna przypowieść (Św. Mateusz) o dziesięciu pannach, z których pięć głupich zapomniało oleju do lamp i nie zostało zaproszonych na wesele), tak się oni zawstydzili w dzie chwały! Nadają trzeba pilno, a z Zachodem naprzód iść.

Urwał rozgorzały, porwany własnymi słowami.

- Bo wszystkie tamte narody idą do wielkiej boej słu by, do wolności, do ducha wyzwolenia... Było ci najpierw Królestwo Ojca wieków sto; potem Syna, Pana Jezu Krysta, drugie sto; teraz zaś ma ci być Królestwo Parakleta (Królestwo Parakleta - Królestwo Ducha Św. "Pocieszyciela" (wg Ewangelii Św. Jana), Ducha Bo ego, Mądrości... I ni ocz (Ocz - nic) mamy się kłopotować, jeno o to... Jako czasu pochodów krzyżowych... Wszyscy społecznie, razem iść - Franki, Normany, Burgundy, Niemce, Polaki. Nie zacierają sobie niczego... Społem... Jeden pogłos: Bóg tak chce!

W oczach zabłysły mu ognie zapału i tęsknoty. Krzyżowcem był z krwi i kości, wieczysto niepokieszonym, e do tamtych nie należał.

- Nie mnie bajki praw! - burknął Konrad. - Pomnę ja waszą potrzebę krzyżowców na Prusaków... Dya biskup Krystek włosy sobie targał prawiąc, e po onej krucjacie Prusaki będą mu przez dziesięć lat od krzyża uciekać jak od diabła...

Henryk spuścił głowę zmieszany.

- Nietęga to była isto krucjata - przyznał - ale nie o niej ja gadałem, jeno o tamtych, wielkich, co do Ziemi Świętej chodziły...

- Wszystkie one jednakie. Bym kopę lat w zamorskich krajach siedział, nie zmamłyby mię tak, jak ciebie... Durnyś! Gadasz cuda, niby o Świętych, a ja ci mówię, e to wszystko rabuśnicy są, zbroje, gorsze Prusaków czy Jadźwingów, ino, ino e chytne, mądrolowe... Nie o Królestwie Boym myślisz, ale o tym, jak by drugiego za łeb snadniej wzięć... Słabszego zekłnąć (Zekłnąć - położyć) jak szczupak płotkę... Ino krzepki się ostoi...

Będziemy krzepcy, to sami przyjdą do nas prosić się ze swoim umem... Bracia są jeno ci ludzie, co na jednej ziemi wzrosli, jednym językiem gadają.

- Bracia są wszyscy odkupieni przez Krystusa Pana.

- A ju ci! Brat, co ino patrzy, jak stryk na szyję załaja!

- Zali się ugodzą nie mo em? - zapytał Henryk zalem.

- Nie! Wybieraj mnie albo Niemce...

- Ja się z tobą nie będę.  
- Jeszcze lepiej - roześmiał się w głos... - Bez bitwy pójdę na gród i waszych Niemców precz wygonię.  
- Nie zrobisz tego!  
- Zrobię.  
- Nie śmiesz psuć ołcowej roboty!  
Konrad przybliżył twarz do twarzy brata.  
- Znaku z niej nie ostawię - szepnął schryplym głosem - jednego Niemca nie zdzierę, wiesz?  
Henryk chwycił go za ramiona.  
- Nie błążo (Błążonią - mówią głupstwa, błążnowaą)! Ty przeklętniku, odmiecze!  
- Pachółku niemiecki!  
Porwali się za bary, w bezprzytomnej złości. Zgarbieni, wygięci w łuk, wodzili się po ciasnym szalasiu jak dwa walczące tury. Naraz Henryk puścił brata.  
- Na twoją głowę... ty!  
Wyszedł chwiejnie się na nogach. Zatętniały kopyta - zacichły w wilgotnej jesiennej mgle.  
- Jest tam który? - krzyknął Konrad.  
Pacholek wsunął się strwo ony, patrznie w niego z niepokojem.  
- Rycerstwa nie widno? - zapytał księ.  
- Nie.  
Siadł na posłaniu z gałęzi, ściskając mocno skronie rękoma, niepomy obecności chłopca.  
"Nie przejedna mię - pomyślał. - Raniej zdechnę! Abo ja, abo Niemce... Sam tu przyszedł... Boi się widno... Bojnie się... A słuszna, bo się wszyscy za mną opowiedznie...  
- Dziw, e Dobrogosta jeszcze nie ma - powtórzył półgłoso.

Niemrawe, próne słoce oświetlało blado nieuytki, słotwiny i opatrzele studnickie. W porządnym szyku, "plotem" zwanym, księce wojska stały popod borem. Przednie wojsko! Druyna księca, suto opłacana, bo na jednego milesa (Miles (łac.) - ołnierz) wypada dziesięć łanów i zbroja w przydatku, ale obowiążana staną na ka de wezwanie. Nie jak u sandomierskiego Bolesława lub mazowieckiego Konrada, gdzie rycerze dawno ju na swoim chlebie, na skńpym nadaniu księcym siedznie, a gdy potrzebni i pacholek zielone wici (Wię - zwitek sznurów, przekazywanych jako znak gotowości wojennej od grodu do grodu) dowiedzie, albo się zbiornie skoro, albo nie.

Nakryte kamicami konie stojnie ocię ale. -elazne zbroje koczne na rycerzach - trójkńtne, wysokie szczyty (Szczyt (staropol.) - tarcza). Pierzasty szłom na głowie, z blachnie osłaniajnie całe lico. Zza tej blachy wyzierajnie przez otwory srogie, zacięte, obojętne oczy. Wielki miecz dwuręczny u boku, kopia w ręku. Pugał wisi na piersi.

Za milesami stoi konna i piesza słuba. Na skrzydłach poślednie bronie:

kuspidariusze, czyli włóczniki, ballistariusze-kuszniki (Ballistariusze (z gr.) - ołnierz obsługujŃcy ballisty - maszyny obsługujŃce do wyrzucania pocisków), berdyszniki (Berdysznik (łac.) - ołnierz uzbrojony w berdysz (rodzaj halabardy) i mieczownicy. Rycerze, posepni, e biŃ siŃ majŃ przeciw zbuntowanemu chamstwu, stojŃ gryzŃc wargi ze złoŃci. CzekaŃ.

Przed nimi Henryk bez miecza i kopii, z gołŃ głowŃ, widny z dala. Wzdycha, spoglŃda w las, w którym ze swymi siłami przyklupił siŃ (PrzyklupiŃ siŃ - przyczaia siŃ) brat, skrył jak borsuk w jamie. Dokoła niego stojŃ rycerze Otto i Rottgier, Walter, Johann i Waldemar.

Przez огоłocone liŃcie drzewa Konrad widzi wyraźnie rycerstwo i brata stojŃcego na przedzie. WyciŃga piŃŃci z głuchŃ nienawiŃciŃ.

- Och, ty, ty! Ty mŃdry! Ty cudzy! Ty bracie... Ze swoimi niemieckimi wojami w elazie! PlujŃ na twŃ gębŃ! Słyszysz? PlujŃ na twojŃ cnotliwoŃŃ, eŃ niby bez miecza! NienawidzŃ ciŃ gorzej ni Niemca!

Wraz z gniewem, złoŃciŃ na brata tłucze mu o ebra strwo one zdumienie. Dlaczego rycerstwa jego dotŃd nie ma? Dobrogost, Prosimir, Słup, Jarach. Mojko, wszyscy z dru ynami swymi nadciŃgaŃ powinni tutaj trzy dni temu... Co ich zadzier ył? Gdzie? Południe ju blisko, a nie masz adnego, adnego... Trzeci z kolei posłaniec, chyłkiem, lasami wysłany, nie wraca...

Złym okiem wodzi Konrad dookoła. Przy nim stojŃ włodyki i kmiecie - Tworzyjan, Kurek, Macura i Czop. Dobrze uzbrojeni w berdysze, tasaki lub kusze, ale niewiele ich jest. Reszta - Ńma ludu gołego, w parciankach. Ledwo poniektry ma kaftan skorzany. Ani jeden dobrej włóczni - zwyczajne głuŃki (GłuŃka - rodzaj maczugi), sulice (Sulica - krótka dzida), nikiemne łuki albo siekierki z kamienia. Szczyty z kory łupanej, dębowej. Oszczepy, po al siŃ Bo e - z jałowcowego krza, bez okucia zgoła. PatrzŃ w niego tŃpo, niemrawo. Siła z nimi nie sprawi przeciw oŃcowym wojnom. Trza czekaŃ na tamtych, chocia by dwa dni... Zadzier ył ich liczny bród, mo e grzŃzawa? ToŃ jesie...

Nagły szmer wŃród ludzi. Dobek, wczora z wieczora wysłany, powraca. Łapie dech, Ńlania siŃ ksiŃ Ńcego strzemia.

- Gadaj wartko, gdzie tamci!

- Nie przyjdŃ, wasza wielmo noŃŃ. Wielmo ny łowczy Dobrogost Bazylów do ksiŃ Ńcych przeszedł i na zamku jest... Prosimir i Słup pono z nim...

- Na zamku, z nim?... A reszta?

- Nie wiedzŃ nic, bo wielmo ny łowczy czekaŃ im przykazał pod grodem, a naszych, co do nich jechali, zawrzył... Ledwom bie ał, bo i mnie Ńigali...

- Tak...

ZamyŃlił siŃ Konrad, spuŃcił miecz.

Wraz jakiŃ ruch na błoni. Henrykowych rycerzy zmierzilo czekanie, zawracajŃ. Chrapliwie wrzeszczŃ surmy, trŃby miedziane, ogłaszaŃc dziedziczenie, e rycerstwo schodzi z pola, bo wróg siŃ nie stawił.

Krew zalewa mózg Konrada, przesłania czerwonnŃ mgłŃ oczy. Wspomina, jako

mu siŃ kiedyŃ zdało, e puszcza i ziemia wyciŃgajŃ ku niemu zbrojne, pomocne dłonie. Nie był e to znak przepowiedni? Niech siŃ spełni! Niech ruszy siŃ las ku pomocy! ToŃ o ziemiŃ, o tŃ ziemiŃ i puszcŃ wojuje!

Porywa się niby gnęty, zwołuje włodyków, zagrzewa. Pał się oczy obdartusów do bogatych zbroi, do koni, do siodeł. Rycerze obracają szyk mniej im się wydają straszliwi. Ochoczo, z wrzaskiem bojowym, wypadają za księciem z opiekuczego lasu, naciągają łuki, ciskają oszczepami w koskie zady.

Gniew srogi ogarnia rycerstwo na zdradziecką napaść. Zawracają z trudem ciężkie szyki, hamują spłoszone konie, ustawiają się ponownie. Śmiechem szydliwym parszają na nieprzyjaciela. To mi wróg! Na przedzie Konrad sady na swym bojowym ogierze, za nim kilkunastu włodyków, reszta - ci ba gołych smardów. Wnet kuszniki i berdyszniki rozciągają się na boki, by przeciwną im odwrót do lasu. Nie ma ują z tych buntowników ani żywa noga.

Na uboczu Henryk stoi bez miecza, jak przody, z gołymi głowami. Patrzy uparcie w grzywę konia nie chcąc widzieć tego, co się dzieje na polu. A tam dzieje się rzeź...

Płatają rycerze niemieccy z nienawistną zaciętością chłopów śląskich, co przeciw nim ośmielili się powstać, prawa do swojej ziemi zaprzeczają. Z pogardem ścinają łby, przeszywają pierś w płótniankę odziane. Tylko Konrada nikt nie śmie dotknąć; uciekają na boki przed jego wściekłym natarciem, z tym większą zjadłością rznąć chłopstwo. Leżą pokotem, jak snopy, ciała Konradowych stronników. Reszta, nagle orzeźwiona, pierzcha z wyciem do lasu. Skąd przyszło im, nędznym chłopom, potykać się z rycerzami? Jakże złe ich omamiło?

Z włodyków ni jeden żywy nie został... Z tysiąca ludzi mniej niżli połowa zbiegła z pogromu w głęb puszczy.

Na polu zostają jeno trupy, ranni i Konrad sam.

Henryk podjeżdża do niego z wycięgniętymi rękami, zamkniętą twarzą.

Nowa fala nienawiści zalewa duszę rycerza. W obawie, że bez jego brata przesyje mieczem ku wiecznej swej habie, zwraca koniem, ucieka na oślep. Znika wśród drzew.

Przy wrzasku tręb miedzianych rycerze księcy schodzą z pola, ledwie okiem wzdriwście rzuciwszy na chłopskie ścierwo, zasialają w pole. Wrony kołują górą, obsiadają gołe drzewa bezostu i jabrzędu (jabrzęd - topola).

Zalany hałas i wstydem, Konrad ucieka lasem. Gałęzie chłuszczą go po grzbiecie, niby pod pręgierzem bity. W szydlerczym przeblasku widzi siebie zmykającego jako pies z podkulonym ogonem. Brat zwycięzca, brat szlachetny, z rękami wycięgniętymi idący ku pobitemu, odszedł w chwale z pola przy dźwięku tręby. Zawstydzony buntownik ucieka. Jakże pohabiony, jak nędzny! A przede wszystkim - jak nieopisanie śmieszny! Wyrwał się niby dzieciuch. Rozbili go w niespełną godzinę.

- Oho, hoho! - zanosi się śmiechem puszcza ponad głowami zwycięzcy. - Oho, hoho!

Nie, to nie puszcza, to zawodzi Konradowe niedobitki. Siedzą, gdzie ostęp najgłębszy, skamlnię i biadolnię. Co poczną? Chyba legną tu na śmiertelne ostanie, na zawsze? Jak przetrzymają tu zimę? Czym się przeżyją? A innej rady wszak nie ma. Nie wróciaden na rolę, gdzie go pan ścinają każe.

Otrząsając się z przygnębienia i rozpaczony Konrad przemawia do nich spokojnym, pełnym ludzkości głosem. Stara się dodać im otuchy, nadziei,

której sam krzyczy nie ma w sercu. Przecie tłumaczy rozważnie. Jedna bitwa nic nie znaczy. Dobrogost Bazylów zdradził, ale tamci przyjdą pewnikiem. Spycimir wójt, Mojko i Dzierżek, a nade wszystko skłópy w gębie, ale dostający w czynach Jarach, syn Klimowy. Ci przyjdą. A wtedy zbiorą się znowu, pomścżą za swoich pobitych.

Otoczywszy ciasnym kołem mówiącego słuchają zrazu pilnie, w nadziei, e gadać będzie, jako do księcia w pokorze pójdzie, łaskę dla nich i dla siebie wypraszają. Zmiarkowawszy, e nie o pokorze, lecz o walce dalszej zamyśla, zakipi ogromnym gniewem. Wznoszą się zewsząd pięści zaciśnięte.

Nie dośią ich napsuł, utrupił, na zgubę pewną powiódł, na zaturę wydał, pod niemieckie miecze naprowadził?

- Bodajeś zdechł, psi synu!

- Bodaj ci wńtroba zgniła!

- Bodaj ci oczy wyzarło!

Cały gniew i żal porażki wylewają na jego głowę. Darmo stara się mówić, tłumaczyć. Krzyczą głośno, przenantgłośnie, że trza związanego do księcia pana zawlec i w zamian za to miłosierdzia prosić. Potakują inni. Chwytają zuchwale strzemiona i wodze. Szarpie się Konrad. Gdy go oblegli zewsząd, dobywa miecza, wali z wściekłością na prawo, i na lewo, rum (Rum (z niem.) - miejsce, przestrzeń) sobie czyniąc - ucieka w puszcę głęboko. Patrzą za nim przeklinając jego ród i głowę.

W głuchej pustce, w bezlistnym borze sam jest teraz, zupełnie sam. Rozpacz, na którą nie ma lęku, żal wydziera duszę. Przepadło, wszystko przepadło. Odstąpili go ci sami, za których oręż podnosił. Przelekli się i odegnali od siebie. Niechaj na zaturę idzie! Śląsko Niemcom, bratu panowanie - a jemu co? Darmo się do kogo modlić... Do kogo? Bóg chrześcijański jest z bratem. Stare bogi pogańskie pomarły, jak ów pień w dębie spróchniały...

- Oho, hoho! - zawodzi znów puszcza nad głową.

Koń stanął nagle, chrapiąc ostrożnie. Zwyciężony rycerz podniósł głowę, rozejrzał się.

Jest na polanie, tej samej, którą niegdyś do żercy po radę jeździł. Psykają, jak wtedy, trzciny, szeleści suche sitowie. Pośrodku płowej, zwiędłej łąki, wśród uschniętego szuwaru zieleni się, jak wtedy, ruń młoda, zdradziecka, do której nikt żyw nie dotarł, siedlisko bożąt puszczańskich. Żłudna jej zieleń, trwająca zimą i latem, na barzynie bezdennej wyrosła, ciągnie oczy rozbitka.

- Wiła... - szepnął sam do siebie.

Białe, z mgły utkane ciało dzwożony wije się ponad zielenią, ni to dym z ognia zgasłego. Ryzy, miękki włos kudli się górą. Choć z dala, odróżnić można ciemne plamy oczu świecących nocą, a martwych dniem. Długie, wiotkie

ręce, niby pasma mgły, wzywają rycerza do siebie. Wyciągają ku niemu, kręcą wokoło uchwytnie. U jej stóp siedzi topieluch. Uszată głowę wynurza z głębin i czeka swojej obiady...

Rycerz pchnął wierzchowca w przód, lecz koń nie chciał ruszyć z miejsca.



Przeto zsiadł i poszedł sam, skacząc z kępy na kępę, z wzrokiem utkwionym w ciągle oddaloną zjawę.

Zabrakło dna pod nogami, oblepiło ciasno miękkie, bezszelestne błoto, ułapiło mocno pod kolana, po lędźwie, po pas rycerski... po szyję...

Stojąc w kornej postawie przed siedzącym nieruchomo mandarynem Czang-fu-tse, Gaetano opowiadał z wolna, aby dać czas sekretarzowi Pen-ta-san zapisać, co by uznał z opowiadania jego za odpowiednie. Ubrany był w pstry kaftan i pasiaste portki rybałta, na plecach wisiała wiola z pękiem wstążek. Patrząc machinalnie na wzbudzający w nim niegdyś taki lęk posążek Buddy - bliźniaczo taki sam, jak w Karakorum, choć mniejszy - prawil:

- Ino egzekwie (Egzekwie (łac.) - żałobne obrzędy kościelne) za nieboszczyka sprawili, stara księżna Hedwiga do Trzebnicy ujechała z powrotem. Gadała pono, że do śmierci z klasztoru nie wychynie. Prawią, że prorokowała, odjeżdżając, srogie rzeczy, jako nikt żywie nie ujdzie, że biada wielka idzie, a groza, ale ludzie siła się tym gadaniem smęcili, tak mniemając, że żal po synu rozum jej pomieszał...

Mandaryn wydał niezrozumiałe chrząknięcie.

- Widziałem, jak wychodzili z tumu po tym nabożeństwie - opowiadał chłopiec. - Stary księżę postarzał ze wszystkim, nogami włóczy jak dziad; młody frasobliwy. Niewiasta jeich, Anna, wielce rada. Gadają o niej, że czarowała na zgubę tamtego, ale nie może to być. Pobożna pani, kościół funduje w grodzie, a w każdy tydzień na twardym śpi i pości dwa dni...

Mandaryn ruszył niecierpliwie powiekami na znak, że te szczegóły są mu obojętne.

- Trupa nieboszczyka Konrada nie wyciągnęli z tej trzęsawy - ciągnął Gaetano strapiony, nigdy bowiem nie mógł rozeznaczyć, co zaciekawi mandaryna, a co nie. - Może ta i lepiej, bo byliby go miejscy na sztuki ozdarli... Siła na niego w grodzie nastają... Powiadają, że wszystkich Niemców chciał wybić a precz gnać, żeby same Ślązaki ostały...

- Ślązaki muszą go żałować? - zauważył mandaryn.

- Iii... nie, wasza wielmożność. Gadałem tu z jednym szewcem. Prawil: "Lepiej ta, że się utopił... Niemce są psy zatracone, ale bez niech ustałoby kupczenie, a i rzemieślna też... Najwięcej butów Niemce kupują, bo nasi boskiem (Boskiem - bosso) albo w łapciach chodzą... Każdy by szkodę poniósł... Żle jest, dyć jest, a kto wie, może byłoby gorzej..."

- Tolholos przyznaje słuszność śląskiemu szewcowi?

Gaetano poczerwieniał zaskoczony, nigdy bowiem dotychczas mandaryn nie zaszczycił go pytaniem o zdanie.

- Tak jest, wasza wielmożność, oczywiście... Ten rozruch, co by był, te zamęty! Jużci lepiej, że tak ostało, jak jest...

- A co sądzi o tym czcigodny i uczony Pen-ta-san? - zapytał mandaryn patrząc w kłębiący się ponad nimi obłok dymu.

Sekretarz zgiął się do ziemi w ukłonie.

- Najmędrszy, czcigodny Czang-fu-tse, perła czy-jenów - odparł - raczy mi zadać pytanie. Zali mój niegodny umysł ośmieli się nań odpowiedzieć? Nie

będę do tyła zuchwały. Przytoczę raczej, iż wielki Kung-fu-tse powiada: "Biada narodowi, który pozwala innemu narzucać sobie język i obyczaj, sprzeczny z obyczajem ojców jego..."

- Roztropną i sprawiedliwą dałeś odpowiedź, czcigodny - stwierdził z zadowoleniem mandaryn. - Acz nie znający mądrości Ksiąg, zmarły syn śląskiego księcia miał słuszny i bystry wzrok. Porażka jego jednak nie ma dla tego narodu żadnego znaczenia.

Przesunął językiem po wąskich wargach i przymrużając oczy powtórzył jakby z lubością:

- Najmniejszego a najmniejszego znaczenia...

- Tak jest, czcigodny - powtórzył z pokorą Pen-ta-san.

Jak gdyby przypomniawszy sobie nagle obecność Gaetana, mandaryn rzekł oschle:

- Dość tych nieciekawych nowin grodzkich. Gdzie tolholos chodził w ostatnim tygodniu?

- Pod Legnicę - odparł szybko Gaetano.

- Jaka tam okolica?

Pen-ta-san ujął pędzelek.

- Szerokie błonia, wasza wielmożność; rzeczka Kocia Struga płynie pod grodem. Nieznaczną łatwo ją w bród przejść... Błonia suche są, grądy, nie słotwiny jak gdzie indziej; osobliwe dobre pastwiska mają mieszczony legnickie na błoni, które Ślązaki zowią Dobrym Polem... niespełna milę na południe od grodu... Sam gród wcale k'rzeczy jest, z kasztelanem foremny.

- Las blisko?

- Nie, wasza wielmożność; błonia szerokie, rozległe, aż dziw...

Pędzelek sekretarza muskał papier z miękkim szelestem.

Gaetano wyszedł z mimowolną ulgą, jaką odczuwał zawsze, ilekroć znalazł się poza kręgiem wzroku mandaryna. Przed sklepem stał kuty wóz, podobnie jak co miesiąc, przywożący z Azji towary. Zdrożone konie robiły bokami. Iwan i Proć zdejmowali już z wozu tłumoki z jedwabiem, porządnie oszyte w chińskie płótno i rogoże. Przybyły Ujugur zapytał o wielkiego mandaryna. Wszedłszy do komory padł na twarz przed Chińczykiem, podając bez słowa miedzianą, zapieczętowaną puszkę. Z niecierpliwością, nie licując z jego zwykłym spokojem, Czang-fu-tse odłamał zwisającą u puszki pieczęć i wyciągnął zwitek pergaminu. Zawierał on zaledwie parę zdań, z góry na dół kunsztowną kolumną wypisanych:

"Czcigodnemu, wielce uczonemu mandarynowi Czang-fu-tse,

Wczoraj, po naradzie wspólnej wszystkich chanów, wodzów i terchanów, Wielki Chan Ogotaj (niechaj Ongony mają jego żywot w pieczy!) rozkazał zatknąć buńczuk bojowy po zachodniej stronie pałacu".

- Nie odejdziesz dzisiaj! odejdz - rzekł mandaryn do trwającego w klęczkach posłańca.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, podał zwitek sekretarzowi. Pen-ta-san przeczytał go, otworzył usta, znieruchomiał. Spojrzeli na siebie jak ludzie, którzy dosięgli nareszcie dalekiego i żmudnego celu.

Mandaryn wstał, pokłonił się nisko przed posążkiem Buddy. Drżącymi rękami wyjął z kościanej szkatułki zwinięty pasek cienkiego papieru, zapalił go

przed obliczem bóstwa. Zgięci wół, ze złożonymi na piersiach rękami, patrzyli obaj ze czcią na wirujące w powietrzu, szerniałe płatki bibułki.

- Jutro wyjeżdżamy, czcigodny Pen-ta-san.

Wyszedł do kramu, gdzie Gaetano i obaj Rusini, pod bacznym okiem Wan-ho, zabierali się do rozpruwania przywiezionych świeżo tobołów.

- Nie trzeba; zostawić to! - rzekł krótko.

Zwrócił się do Gaetana:

- Tolholos może, jeśli zechce, przepatrzeć jutro drogę i okolice Trzebnicy. Bliski jest dzień, w którym zamiary Tolholosa będą urzeczywistnione...

Nie zwracając uwagi na rozjaśnioną twarz chłopca i zdziwione, pełne pytania zapytania oczy wstrzymanych w pracy Rusinów, mandaryn otworzył drzwi sklepu i wyszedł na podcienie, po raz trzeci może od czasu swego półtoramiesięcznego pobytu tutaj. Przybyły z wozem Ujgur stał na środku placu, pojąc przy studni konie. Dzieci, jak wróble, otoczyły go gromadą, wytykając palcami jego śniadą cerę, skośne oczy i prześmiewając się głośno. Mandaryn oparł się plecami o ścianę i spoglądał uważnie na gwarny, wesół tłum, zalegający plac. Cudaczna jego postać zwracała uwagę przechodzących. Zakutani w szuby rajcy, strojne w aksamity i futra mieszczeni zatrzymywały się przy nim patrząc jak na dziwo. Rycerz Waldemar, przyboczny księcia Henryka, przepchnął tłum, uderzył z pogardliwą wyższością Chińczyka po ramieniu i zapytał o jedwab na płaszcz. Z uprzejmym uśmiechem i ukłonem grzeczny kupiec wskazał dostojnemu panu wewnątrz kramu, gdzie znający język szlacheckiego gościa wiernicy (Wiernik - powiernik) doskonale i szybko go obsłużą. Sam pozostał nieruchomy, z zagadkowym uśmiechem na wagarach, wodząc oczyma po ludziach zapalających plac i po grodzie.

12

Pora silencji (Silencja (z łac.) - milczenie, cisza) minęła przed chwilą i w wielkim refektarzu klasztornym panował wesół gwar. Od kamiennych murów

szedł ziąb, przeto wszystkie mniszki skupiły się przy kominie, wysuwając do ognia obute w drewniane sandały nogi. Młódki to były przeważnie, prócz sędziwej Petrusy z Bambergą, dawniej ksieni (Ksienia - przełożona klasztoru żeńskiego) drzemiącej w wielkim krześle poręczowym. Wielce w latach podeszła, z dawna już obowiązków opacichy nie sprawowała, zdawszy je na wychowankę swą księżną Hedwigę. Lecz od niejakiego czasu księżna usunęła

się również, zostawiając rządy przyszej ksieni, córce swej Gertrudzie. Od powrotu z Wrocławia nie opuszczała celi i kaplicy, w poście nieustannym trwając i modlitwie. Na wspólnych modłach mniszki z nabożną, trwożliwą czcią spoglądały na jej daleką, zadumaną postać, tak znędzniałą, a zarazem światu obcą, że zdała się być cieniem, z worka cielesności dawno wyzwolonym; kształtem znikomym, co lada godzina uleci. Po korytarzach opowiadały wzajem szeptem o przedziwnych umartwieniach i pokutach zadawanych sobie z dobrowoli przez świątobliwą panią; o włosienicy i pasie

żelaznym, o jakowymś łańcuchu i obroży, od której szyję całkiem ma obdartą. Siostra Dowmunda biła się w piersi ręką, że to prawda jest, a starsze mniszki, słuchając tego, pogadywały sobie co to za święto i zaszczyt spadnie na klasztor, gdy Bóg duszyczkę pobożnej opatki zabierze do swojej chwały. Będą się ludzie schodzić do klasztoru! Zakonniki od św. Wincentego zechcą pewnikiem zabrać zewłok święty na gród, do Wrocławia, ale niedoczekanie ich! Tu ostanie! Niewątpliwie tak i pani rozrządzi przed skonem. Tu, między swymi siostrzyczkami, które zebrała i chowała, legnie czcigodny, chudziutki trupek. Dopieroż będą się cisnąć przekupnie relikwiiów, a pod furtą wystawać, a skamrzeć o skrawek bodaj paznokcia, o krajkę szaty lub włoski bieluński! Niemały stąd zaszczyt i pożytek dla cnotliwego konwentu (Konwent (łac.) - zgromadzenie, zakon).

Lecz dziś w reflektarzu nie mówiono o tych sprawach. Poprzedniego dnia proszak jakiś, idący z samego Krakowa, opowiedział o Mongołach, czyli piekielnikach Tatarach, rzeczy tak srogiem, że wszystkim mniszkom sen z powiek spędził. Strwożone i wylękłe, nie śmiały ani wychynąć za furtkę. By żuraw u studni zaskrzypiał, już im się zdało, że to poganin paskudny furtę wywała. Starsze i młodsze, nawet prirossa (Prirossa (z łac.) - przełożona zakonu, przeorysza), subpriorissa (Subpriorissa (z łac.) zastępczyni przeoryszy), kustoszka (Kustoszka (z łac.) - przełożona biblioteki klasztornej), kantorka (Kantorka (z łac.) - prowadząca w chórze), szafarka, furtianka, dzwonniczka, odzienica i piekarka, zebrane w kupie, nie śmiały ruszyć się nigdzie, i cała biedota wystająca codziennie pod furtą w oczekiwaniu na jedzenie, skotarze (Skotarz - pastuch) i znachorzy przybyli po zioła, toteż, kryjące się za węzłem lepury - nie doczekali się dzisiaj żadnego zaopatrzenia. Ledwo pod wieczór, widząc, że cisza wokoło panuje, uspokoiły się nieco siostrzyczki. Siedząc na chórze w rzeźbionych formeczkach, czyli ławkach, gorliwiej niż kiedykolwiek wyciągały w śpiewie cienkie głosiki, błagając Boga o zlitowanie. Były bowiem prawie wszystkie do śpiewu przyuczone, sorores cantantes (Sorores cantantes (z łac.) - siostry śpiewające).

Skrzepione modlitwą, obsiadły w refektarzu komin i wielki czworokątny piec lepiony, gadając o Mongołach jedna przez drugą. Siostra Gaudencja, prirossa, wywodziła uczenie, że Mongoły nie ludzie, a diabły są, z piekła puszczone na zatrącenie świata.

- Kiej prawią, że każdy Tatar to wilkołak - pisnęła siostra Gosława.

- A cóż se myślisz, dziewucho, że diabeł nie mocen w wilkołaka się przekocić? Odmieni się ten paskudnik, w co zechce...

Siedziały rzędem, rumiane, do pliszek w swych szarych habitach i czarnych welonach podobne. Prawie czterdzieści ich było, virgines Deodicatae (Virgines Deodicatae (z łac.) - dziewice poświęcone Bogu). Same córki nobilów lub cudzoziemskich komesów (Komes (łac.) (comes) - średniowieczny dostojnik zarządzający okręgiem administracyjnym). Kilkanaście Niemek, cztery Czeszki i jedna iluminatorka (Iluminatorka (z łac.) - osoba zajmująca się ozdabianiem rękopisów), siostra Beatrycze z Italii. Reszta Ślązaczki. Te z szacunkiem poglądają na cudze towarzyszki, z których każda zna litery na bukszpanowych kostkach kością wykładane. Ba, niejedna potrafi

z tych liter słowa, jakie chcieć, ułożyć. Święte słowa czy zwyczajne. Kostka do kostki przysznuruje do się w szeregu, i zarumieniona z wysiłku, promieniejąca z zadowolonej dumy siostra Gaudencja czy Placyda odczyta na głos: "Sancta Maria Mater Dei (Sancta Maria Mater Dei (z łac.) - Święta Mario, Matko Boża)...

W ogóle chwałą sobie córki wójtów pobyt w klasztorze. Nieustającym świętem dla ciała lniane giezło pod habitem, nieustającym świętem dla duszy - swoboda i dostojeństwo człowiecze. Od gnoju, od pracy ciężkiej wzięte, za dobytek roboczy rozumiane, stały się służkami bożymi, ukoronowanymi niewątpliwie duszą nieśmiertelną na równi z mężczyzną. Zrównane z nim po raz pierwszy, jak świat słowiański światem.

Tymczasem, siedząc wokoło lepionego pieca, opowiadały sobie różne dziwy, wpięrowo o Tatarach, potem o strzygach, strzygoniach, zmorach wszelakich i dziwobabach, aż co młodsze kuliły pod siebie nogi piszcząc ze strachu tak przejmująco, że sędziwa magistra (Magistra (z łac.) - nauczycielka, mistrzyni) Petrusa, obudzona z drzemki, spoglądała na nie półprzytomnie ptasim okiem.

Widząc to, w obawie, że dla uzyskania spokoju mamrząc pacierz nakaze, siostra Gaudencja, priiosa radziła dziewczkom prawić o czym pogodniejszym. Zwróciły się wszystkie do Beatrycy. Ta umiała gadać! Słuchały jej zawsze z zapartym oddechem, jakby to prawda była, co opowiada. Jużci musiała łąć, gdy prawiła o swoich stronach. Widział kto, by wielmoże kasztele i kościoły, gród cały na palach nad wodą stawiały, jakby gruntu nie dość było! Z dawna wprawdzie opowiadali starsi, że kajś na odrzysku (Odrzysko - łącha, dawne koryto rzeki), gdzie bagna są, stały klecie pobudowane na palach w moczadło wbitych, lecz biedota tam jeno mieszkała, kryjąc się przed wójtem za dawne przewiny. Gdzie by zaś kto możny! Ale słuchać było cudownie.

Beatrycze lubiła opowiadać, tym bardziej, że po niemiecku nauczyła się mówić prędko i biegle. Choć biedy nie miała w klasztorze, brała ją nieraz tęsknica za słońcem bardziej gorącym niż śląskie, a zwłaszcza za morzem. Znała je dobrze jeżdżąc dzieckiem aż na Cypr z ojcem, uczonym dziwakiem. Choć darmo było opowiadać o nim dziewczkom, co nigdy o morzu nawet nie słyszały, lubość sprawiało samo wspomnienie zapadłej w odmęt przeszłości.

Poprawiła się na ławie, by po raz setny zacząć swą opowieść o cudach i dziwach Wenecji, o korabiach pozłocistych, mewach i galerach - gdy nagle plasnęła w dłonie w przypomnieniu:

- Dio mio! (Dio mio (wł. - Boże mój) Radna (Radna (staropol.) płótno, płachta) ostały na murawie!

- A niechta, kto je tam ruszy! - machnęła ręką priiossa, ciekawa opowieści.

Lecz siostra Agata, odzienica, innego była zdania. Wiadomo, że boginki tylko czekają na ostawienie płótna, żeby je potargać. Ostro sklnawszy siostry Beatrycę i Juttę, którym powierzone było tego dnia bielanie, kazała wnet iść po radna nieboraczkom. Darmo się wypraszały, wylęknione poprzednimi opowieściami; siostra Agata nie zartowała bynajmniej. Rade nierade pobiegły skoro.

Księżyc nowy oświecał niepewnie dziedziniec. Mocny południowy wiatr bił w mury, targał koronami drzew. Mimo poprzednich dni zimna, ciepło wróciło wraz z wiatrem uparte. Powietrze było pełne zapachu warzyw i więdnących ziół. Jesień ślaska, tak piękna, że nazywano ją piątą porą roku, najcudniejszą w świecie - trwała i trwała, jak gdyby nie mogąc rozstać się z latem.

Obie dziewczyny szły szybko, klekocąc sandałami o zeschlą od długiej pogody ziemię. Pętający je wśród murów strach rozszedł się naraz, rozprysnął w śmiechu i chęci pustoty. Pobiegły pędem na wyścigi, unosząc długich habitów. Siostra Beatrycze dogoniła siostrę Jutte i pocałowała dźwięcznie, mocno w szyję. Ze śmiechem towarzyszka oddała jej pocałunek. Biegły obok siebie, ogarnięte nagłym pragnieniem ruchu, swawoli, pędu. Przystanąły zadyszane i pochwyciły się wpół, w żartobliwych, wesołych zapasach. Beatrycze, łaskotliwa, odskoczyła pierwsza, z krtanią i ustami pełnymi przelewającego się śmiechu.

- By mi kto parsty pod ziobro wraził, zatchnęłoby mnie, jej! - tłumaczyła towarzyszce.

- Nie boją się, nie wrazi nikt...

- A wiera!

Sposępniały nagle i zamilkły idąc wolno obok siebie.

- Chybaby Mongoł... - pisnęła naraz siostra Jutta.

Beatrycze przeżegnała się.

- O reta! Dyć gadają, że gorszy od diabła...

Siostra Jutta otworzyła usta, by coś rzec, i zamilkła. Dochodziły już do łączki na bielenie płótna przeznaczonej, tuż pod murem zewnętrznym leżącej. Białe płaty jaśniały w półmroku.

- A jeśli boginki tam już są? - zaniepokoiła się Jutta.

Stały obie z wyciągniętymi szyjami, nasłuchując, wyteżając oczy w cień. Naraz Beatrycze ścisnęła rękę Jutty.

- Cichaj! Co to jest? - szepnęła.

W tętnie wiatru brzdąkanie wioli i śpiew dolatywał wyraźnie zza muru.

- Ktosikiej pieje - zadecydowała siostra Jutta obojętnie.

- Cichaj! - syknęła Beatrycze cała zamieniona w słuch.

Bezlistne konary drzew stukały tępo o siebie. Huczał las, trzeszczały dachy klasztorne, lecz w przerwach między jednym natarciem wichru a drugim można było schwytać słowa:

Cantiamo insieme un poco,

Non de sospir ne delle amare pene...

- Po mojemu pieje! - krzyknęła Beatrycze.

Odruchem szybszym niż myśl, nie dbając o nic, rzuciła z gardła pełnym, dźwięcznym głosem:

Tu mi ponestii innanzi agli occhi, Amore... (Tu mi ponestii agli occhi, Amore (wł) - stoisz mi przed oczyma, miłości)

Śpiewający za murem jak gdyby zachłysnął się, zadrżał i podjął kanconę

(Kancona (z wł.) - pieść) dalej:

Il primo di ch'io nel tuo foco entrai... (Il primo di ch'io nel tuo foco entrai (wł) - zanim mnie płomień twój ogarnął)

- Po mojemu, po mojemu! - powtórzyła Beatrycze.

Jak oszalałą wbiegła na kopczyk pod murem, z dala zwykle przez wszystkie mniszki omijany.

Nie poświęcona, haniebna to była mogiłka siostrzyczki, co chciała z klasztoru uciekać. Powiadano, że mocą bożą razona padła trupem u wyjścia lecz czeladź gadała, że to siostra furtianka, zobaczywszy uciekającą, trzasnęła ją po grzesznej głowie kluczami. Stojąc na wyklętej mogile siostra Beatrycze wspinała się na palce, wyciągając w górę dłonie, darmo usiłując dostać wierzchołka muru, spojrzeć ponad nim. Próżne starania! Sterczał o dobre dwa łokcie nad głową, nieustępliwy, zimny, chropowaty. Wiatr dudnił i parł z przeciwnej strony, niosąc jakieś okrzyki, bezradne, wpół radosne bełkoty, bredzenia, szlochy, w których pojęła swe imię.

- Gaetano! - krzyknęła olśniona.

On to był. Gadał nieprzytomnie coś, czego usłyszeć w wichurze nie mogła.

- Niedługo! - wołał.

To zrozumiała: "niedługo". Przytulonej całym ciałem do zimnych cegieł dziewczynie wydawało się, że mur ożywa, staje się giętki i ciepły, jak ciało nie zaznanego kochanka. Roztopiła go swojacka pieść, głos zapomnianego otroka. Dawniej na równi z innymi trzymała go za przygłupka, lecz teraz urósł, stał się wielki, podobień rycerzom z zonglerskiej powieści. Zamiłowała go nagle okrutnie. Nie pamiętała przed chwilą jego istnienia, ninie gotowa była przysiąc, że nigdy miłować go nie przestawała. Że, zniewolona w habit, w osmętku pędziła dni. Łkała wzywając Gaetana i wodząc po murze rękami. Przerazona siostra Jutta szarpała ją za habit rozpaczliwie, bo już siostra odzienica gniewnie wzywała opieszale do powrotu.

Tej nocy wszystkie siostry musiały spać na twardym łożu i popiele - a to, by odegnąć pokusy i zwidy szatańskie. Siostra Beatrycze i siostra Jutta boginki snadź widziały, bo wróciły z radnami czerwone, spocone, a tak dygocące ze strachu i grozy, że słowa przemówić nie mogły. Siostra Beatrycze prosto do kaplicy poszła i tam krzyżem leżała. Łagodna siostra Gertruda, zastępująca ksienię, odłożyła do rana badanie, jako że biedactwa zbyt są wylęknione; lecz zgryźliwa i dziobata siostra furtianka mruzczała coś pod nosem podejrzliwie.

13

Nigdy Gaetano nie zdołałby opowiedzieć, w ile czasu przebył powrotną drogę od Trzebnicy do Wrocławia. Darmo wesoły a z dawna wtajemniczony w jego sprawy Wojtek-Adalbertus zagadywał co chwila, sam sobie odpowiadając na pytania. Gaetano kroczył przy jego boku z głową podniesioną, pogrążony w

zpełnej, acz radosnej niewiedzy. Głos Beatrycze dosłyszalny w wicherze dźwięczał w uszach nieustannie.

Nigdy dawniej nie przypuszczał, by można było aż tak miłować. Nie szedł, lecz biegł bezprzytomny, w oczach mając ustawicznie szary mur klasztorny, ponad którym kołyszące się czuby drzew śpiewały głosem najmilszej dziewczyny.

Zniecierpliwiony rybałt chwycił go za ramię i zatrzymywał przemocą, gdy mijali jakowe obejście, boć jeść zawdy trzeba. Gaetano wykonywał wszystko, co mu kazano, grał nie wiedząc, co gra, śpiewał nie wiedząc, w jakim języku - opętany jedną myślą: wrócić do Wrocławia, powiedzieć mandarynowi, że słyszał głos swojej dziewczki, że znajduje się ona tu pewnikiem - ona, bez ochyby - i błagać, by przemyślnie a obiecane uwolnienie jej co prędzej wykonał.

Gdy przed wieczorem weszli w mury grodu, Adalbertus p[ozegnał kolegę i poszedł odświeżyć myśli wprost do radzieckiej piwnicy. Gaetano pobiegł w podskokach na plac. Znajome domy zdawały się powtarzać wieść o cudownym zdarzeniu z tamtego wieczora. Skrzypiące, żelazne szyldy zlewały się w chór ciągnących słowa czarodziejskiej piosenki. Każdy stożkowaty kamień pilnujący bramy wiedział krokami, niby fruując na splotach wstążek, którymi przybrana była wiola, dopadł szmatruza, kiwnął uprzejmie pozdrowienie prosto w pogodną twarz imci Komczorka - i stanął nagle jak wryty. Żelazna kłapa, zawierająca kram, przez otwór której lśniły zwykle barwne jedwabie, zawarta była na głucho.

Pobiegł naokoło gmachu, na wąski a długi dziedziniec wewnętrzny, i stanął zdziwiony ponownie. Tylne wejście kramu było zamknięte również, tyle że od zewnątrz, na skobel założone i kłódką zawarte. Wszyscy gdzieś wyszli widocznie! Iwan i Proć, i Ujgur Wan-ho, nawet mandaryn i sekretarz Pen-ta-san...

Przypomniał sobie, że warowny na pozór skobel dawał się łatwo wyciągnąć, gdy ułapiwszy go ostrożnie palcami, udało się podsunąć jedną stronę w lewo. Stwierdzili to niegdyś z Prociem. Po chwili kłódka osunęła się na ziemię. Uchylił nieśmiało drzwi. Wionęło ku niemu ciasną stęchlizną nie otwieranego od kilku dni wnętrza. Strzępy palmowej rogoży, skrawki zdeptanej tkaniny wały się na podłodze. Ani śladu towaru; ani śladu mandaryna i jego przybocznych! Znikli, równie jak malowany parawan, co rozdzielał izbę na dwie części, jak płonące poprzednio dniem i nocą lampy, jak brązowy posążek Buddy. Oszołomiony, nie rozumiejący, co zaszło, Gaetano wyszedł, starannie zakładając za sobą uszkodzony skobel. Obszedł ponownie budowlę i wrócił przed sklep. Imć Komczorko nie przestawał wyzierać pogodnie spośród zwojów sukna, podobny miesiącowi wychylającemu się zza chmur.

Strwożony i przygnębiony, Gaetano podszedł do niego, uprzejmie zapytując, czy nie wie, co się stało z mieszkańcami sąsiedniego kramu. Komczorko wznosił jedno oko w górę i rozstawił krótkie palce tłustej ręki na znak niewiadomości.

- Poganin chiński? - powtórzył z namysłem. - Uciekł z grodu...

- Uciekł? - powtórzył Gaetano zdumiony.

- Jak ci gadam. Nie masz go. Jeszcze w tamtą środę przed wieczorem



ujechał, a skoro, a cichcem, jakby go już mistrzowe pacholki ścigały...

- W tamtą stronę? Inom poszedł?

- Ano. We stronę. Nikt nie zna, czemu zbiegł. Musi z szatanem się zadawał i jakąś nieczotliwość mu wykryli. Powiadają, że na Duńskiej ulicy maciora dwanaście prosiąt zeżarła. Pewnikiem za jego sprawą...

- Na świętą Agrypinę! Co ja teraz pocznę! - zakrzyknął Gaetano z rozpaczą.

Gruby sukiennik spojrział nań ze współczuciem.

- Nie wiem isto, co poczniesz, ale to ci rzeknę, chłopie, iż lepiej tu nie wystawaj, bo cię rychło pana wójtowe pacholki na gródek powłoką. Bo pogański syn opłaty za tę ćwierć roku nie złożył, przez co wielce na niego rajce zawzięte. Coraz to pacholki zachodzą baczyć, czy kto nie powrócił... Masz trzy floreny?

Wymownym gestem Gaetano wskazał pustkę swych kieszeni.

- No, to chybaj stąd, bo cię obaczą, a przywrą.

Podziękowawszy za radę powłókł się Gaetano w stronę radzieckiej piwnicy. Nie było to zbyt bezpieczne, lecz musiał się obaczyć z rybałtem, jedyną duszą znajomą, jaka mu została. Był zgnębiony i oszołomiony. Dlaczego Chińczyk wyjechał?!... We stronę! W parę godzin po zapewnieniu, że jego, Gaetanowe, zamiary będą rychło urzeczywistnione! Dokąd podążył?! Po raz pierwszy w życiu Gaetano pozostał sam, zdany na własne siły, i to uczucie napępniało go bezradnym lękiem.

Lecz przede wszystkim Beatrycze! Beatrycze!...

Jakże ją teraz ocali?

Błędnym krokiem zszedł do piwnicy, zaduchem i dymem. Przepychnął się ku rybałtowi, który siedział nie opodal. W nastroju był świętecznym, jak zresztą zawsze, gdy widział wino w pobliżu, świętował zaś każdego dnia: w niedzielę, jako w niedzielę, w czwartek, że to był dzień Jowisza, piątek - Wenery, sobota - Matki Moskiewskiej, środa - dzień szczególnie szczęśliwy.

- Coć jest? - wykrzyknął spojrzawszy w zmienioną twarz swego towarzysza.

Usiadłszy ciężko podle niego na ławie Gaetano opowiedział nowinę, która co prawda, znacznie mniejsze uczyniła wrażenie na rybałcie niż na nim.

- I cóż dalej? - zapytał wysączając resztę kwaśnego wina z cynowej kwaterki.

- Bo ja wiem? - jęknął chłopiec. Głos załamał się w półszlochu tak żalnym, że Adalbertus spojrział nań uważniej.

- Głupiś! - zawołał. - Uszedł poganin? O wa! Dammy sobie radę sami...

- Jak? - zapytał ze zdumieniem Gaetano podnosząc wilgotne oczy.

- Nie bucz, boś chłop, a nie ciełe. Cóż to? Tylko poganin ma głowę na karku? Obaczmy...

- Naisto, pomógłbyś mi?

- Adyć...

Gaetano bąknął coś niezrozumiale. Ze słów rybałta spłynęła nań nikła nadzieja.

- Jak zrobim? - powtarzał natarczywie, chwytając za ramię nowego swego opiekuna i opatrność.

- Jak? - Wojtek-Adalbertus świsnął przeciągle nosem. Nie lubił troszczyć

się zbyt wcześnie, ufając, że los sam przyniesie w odpowiedniej chwili rozwiązanie, takie czy inne, ale zawsze rozwiązanie.

- Ano - wyjaśnił mgliście - pójdziemy pod Trzebnicę nazad... Jakosik zmówił się z dziewczką... Mniszki nie bardzo się strzegą. Drabkę do muru i w las!

Śmiał się zachwycony własnym pomysłem, który wydawał mu się przedziwnie prosty i łatwy.

- Jedna szkoda, że zima idzie - westchnął w przestępie trzeźwości. - Nie poczekałbyś lepiej lata? Zawdy wtedy w boru snadniej...

Lecz Gaetano nie chciał czekać lata, nie chciał czekać ani chwili. Patrzył w rybałta jak w boga, kiwał się niespokojnie na ławie, rad zerwać się i natychmiast wracać do Trzebnicy. Poprzednia troska, obawa odbiegły, ani się spodział kiedy. Z podziwem spoglądał z boku na przyjaciela. Jaki mądry, jaki mężny! Starał się być podobnym. Mandaryn pojechał? A niechta! Da sobie radę bez niego...

Wyszli z piwnicy o zmroku szukać noclegu i wieczerzy, którą by spłacili gęźbą. Ani postrzegli, że siedzący tuż za nimi bystry, czarnooki chłopak porwał się z miejsca i wybiegł również. Był to Beppo, syn Antoniego de Pueto. Poczłapał co żywo na platea Romanorum, do ojcowego mieszkania oznajmić, że podejrzany Wenecjanin wrócił i wybiera się z drugim rybałtem do Trzebnicy dziewczką jakąś przez mur skradka zabrać i w las uciekać...

- Pewnikiem z klasztoru - pokiwał głową stary Pueto, zgorszony.

- Z klasztoru, jużci, bo gadali, że mniszki źle strzegą...

Guido Ricci roześmiał się swobodnie.

- Od razu mówiłem - że niewielka to sprawa... A wy, messer Antonio, ciągiem: coś w tym jest, coś w tym jest...

- Młodzik może tu po to przyjechał - odparł kwaśno gospodarz - ale mi nie wmówicie, że stary Candiano do Karakorum jeździł, by synalek, snadniej mniszkę ze śląskiego klasztoru wybierał...

- Stary pojechał kupczyć, bo im zazdrość - odparł wzruszając ramionami Ricci.

- Ejże, przekonacie się jeszcze, ale poniewczasie...

- Kruk się wam śnił, messer Antonio...

- Wenecja śni się co noc; to gorsze diabła czy kruka...

- Nie wspominajcie diabła przed wieczorem...

- Bądź co bądź - przerwał ich spór poważny Simone - nie sądzę, by się godziło zezwolić, iżby chytry wenecki młodzieńczyk krzywdził śląski klasztor. Hańba spadłaby na wszystkich, co mową italską gadają...

- Słusznie prawicie. Uwiadomim księcia co rychlej, aby pozór dali.

Nie znane dotychczas uczucie swobody i niezależności upoiło Gaetana dopiero teraz, kiedy szedł obok rybałta szerokim, prostym gościńcem. Wspominając ze śmiechem poprzedni przestרח i rozpacz, myślał z pociechą, której sam się dziwił, że nigdy już więcej nie ujrzy mandaryna Czang-fu-tse. Nie będzie potrzebował znosić mu nie wiedzieć na co potrzebnych wiadomości i drzeć przed jego bazyliżkowym wzrokiem. Nowymi, wyzwolonymi jakoby oczyma chłonał w siebie urok swobodnej wędrówki, na

końcu której jaśniał upragniony cel.

Cóż piękniejszego niż wolny gościniec w jesienną, trwałą pogodę? Choć nieraz długi czas minie, a nie ujrysz na nim żywego człowieka, zawsze jest czym oczy napaść. Dzikie gęsi i lecą już kluczem z północy, i obaj rybalki spuszczały oczy, by ich mimowiednie wzrokiem nie policzyć, co jak wiadomo, przeszkadza ptactwu w locie i myli drogę. Wrona-ciota z wrzaskiem przysiadła na drzewie, przeto Adalbertus wołał przeżegnawszy się wprzód dla pewności:

Tfu! Tfu! soli w oczy,  
Niech ci łajno w gardło skoczy -  
Lepsza Pana Jezusowa wola  
Niżeliś ty cała wrona...

Wystraszonym głosem kroków i śpiewaniem, śmigał poprzez drogę, zając, którego nazwy wymieniać nie trzeba, bo się sen straci na rok. Czasem gościniec zaroił się ludźmi. Szły poczty rycerskie, mnisi albo kupcy. Krzyżowały się w powietrzu, mijały w kurzawie mniszę pieśni pobożne o Pana Chrystusowej męce, rybaltowie o winie, rycerze o bojowaniu. Woły skrzypiały jarzmem, ciągnąc wypełnione wozy.

Czasem z gońca widać było ludzkie osiedla. Tam zachodzili, Adalbertus bowiem nie dbał bynajmniej o to, że ziemia pali pośpiechem Gaetanowe podeszwy. Zachodzili pewni, że czy to będzie klasztor, gród rycerski czy dwór włodyczy lub kmiecy, z jednaką ich powitają dobrą ludzką chęcią. Bo wiadomo - proszak, pielgrzym i rybalt to trzej szczęśliwcy, co, przyparci do miejsca, swobodnie chodzą po świecie. Przez ich oczy rolnik, który nigdy zagona swego i obejścia nie opuszcza, może odgadnąć owe odległe cudze dziedziny, co tym piękniejszym się zdają, że dalekie i niedoszłe.

Więc też witano ich wszędzie radośnie, z zapartym oddechem słuchając pieśni i gadek. Częstoowano i karmiono nieskąpo, że nieraz potem Wojtka-Adalbertusa zgaga piekła potężnie z przepicia. Kładł się wtedy na brzuchu i żłopał wprost z przydrożnego strumienia czystą, choć na rudej, żelazistej podścieli płynącą wodę, mówiąc:

Ja ciebie, wodo, chlapię jako pies,  
A ty, moja zgago, dołem wodą bież.

Lecz Gaetano nierad zatrzymywał się poganiając towarzysza, jak mógł, do pośpiechu. Gdy Wojtek śpiewał wesoło, zadarłszy głowę do góry, przerywał mu po raz setny chyba zapytując, jak się zabiorą do uwolnienia Beatryczy.

- Obaczym w Trzebnicy - odpowiadał rybalt, który tyle o tym wiedział, co Gaetano, a nie lubił truć sobie głowy przedwcześnie.

W pogodne południe doszli do gospody nie opodal klasztoru położonej. Nocowali tu już poprzednio, za pierwszej bytności, przeto wracali jak do siebie. Gospoda była duża. Ściągali tu ludzie zewsząd. Majstrzy i podmajstrzy, kończący ostatnie roboty przy zewnętrznych murach klasztornych. Górnicy z Kocich Gór, sztygary, bachmistrze (Bachmistrz ( z

niem.) - dozorca w kopalni), wozacze i kopacze. Pielgrzymi, których ściągała z daleka wieść o hojności pobożnej księżnej Brodaczowej. Przekupnie relikwii. Mieszczki i żony nobilów przybyłe prosić o łaski jakowe za wstawiennictwem świątobliwej pani. A równocześnie w tym zbożnym

tłumie nie brakowało nigdy pstrej gromady wagantów (Wagant (z łac.) - wędrowny student), opowiadaczy gadek, szpilmanów, czyli kuglarzy, komediantów, kleryków, zbiegłych z klasztoru mnichów, wesołego zakonu pijaków, bractwa Bachusowego (Bractwo Bachusowe - bractwo pijackie (od imienia Bachusa - greckiego boga wina i życiodajnych sił przyrody). Ci włóczyli się tu licznie - trochę dlatego, że gdzie wiele ludzi, tam łatwiej coś uprosić lub ukraść - trochę, że wyniosły, białokamienny, powszechną czcią otoczony klasztor przyciągał ich, jak światło przyciąga ćmy. Choć otwarcie i głośno nienawidzili księży, biskupów, sytych zakonników, natrząsali się z papieża i bezecnie przedrzeźniali obrzędy i modlitwy, przecie Kościół - przeciwstawiający się ich rozproszonej, żyjącej tylko terażniejszością słabości swą zwartą, wieczną potęgą - wywierał na niech nieprzemierzny urok.

Wchodzący do gospody Wojtka i Gaetana powitały okrzyki radosne. Bractwo pijackie obsiadło gęsto stół w głębi, śpiewając chórem wrzaskliwym:

O vireat, o floreat, o grandescat in tempora iuventus (O vireta, o floreat, o grandescat in tempora iuventus (z łac.) - niech się zieleni, niech kwitnie, niech rośnie po wsze czasy młodość)

Przerwali śpiew, by powitać przybyłych. Nie widzieli ich wprawdzie nigdy przedtem, ale co to znaczy!

O vireat, o floreat...

Wysoki, chudy kleryk, imieniem Komodus, tego już podpity, stał za stołem wspierając się na nim długimi rękoma.

- Bracia! - zawołał. - Niech zgniją chciwcy, niech żyje swoboda! Lepszy tłusty kapłan, niżli wojewoda!

- Vivat Commodus, rex poetarum! (Vivat Commodus, rex poetarum (z łac.) - niech żyje Kommodus, król poetów)

- Łacniej rymy składa, niżli mszę odprawia...

- Nie wiesz, durny, że mszę wcześniej sprawić niedobrze jest, bo straszyla nocne się gniewają, a często - także niedobrze, bo Panu Bogu się przykrzy...

- Ty się nie naprzykrzasz...

Gruby, niski szpilman o krościastej twarzy nie mówił nic wyciągając ostrożnie z kieszeni pęk wilczej sierści. Patrzyli wszyscy z ciekawością, co uczyni. Położył kłaki na czapce, skrzeszał na nie ognia. Rozdmuchał - podkurzył znienacka struny skrzypek siedzącego obok grajka.

- Oho! Zeżarł wilk barana! - krzyknął, gdyż struny pękły od razu.

Grajek, zły, zamierzył się pięścią pośród ogólnego śmiechu.

- Wilkołak! Sierść ze sobą nosi!

- Sameś wilkołak!

- Obejdz go z chlebem w gębie trzy razy dookoła, a obaczysz.

Nie zwracając uwagi na te figle Adalbertus opowiadał żywo klerykowi, co ich z Gaetano przywiodło.

- Ten ci jest - kończył ukazując towarzysza - który od długich lat jedną tylko dziewczkę miłuje...

- Zawdy jedną, a dwie nie?

- Głupiś! Dyć gadam: jedną i tę samą, choć nie widział jej już siedem roków...

- Łzesz...

- Bodajem wina nigdy nie obaczył, jeśli lżę!

Zwrócili się wszyscy do czerwonego jak wiśnia Gaetana, ze śmiechem i przekpinali pytając o cel tak jałowego miłowania. Stałość w uczuciu bowiem, acz wychwalana w pieśniach, nie miała nijakiego uznania wśród rybałów. Miłował każdy dziś tę dziewczkę, jutro inną, nie tęskniąc nigdy za dawną.

Gdy zmieszany i zły bronił się przed ich docinkami, Adalbertus nakazał ciszę, kończąc opowieść, jako przerwczona dziewczka Beatrycze w klasztorze trzebnickim jest, skąd ją trza wyrwać, by wzór wierności pocieszyć.

To im się dopiero strasznie spodobało. Otoczyli mówiącego wkoło, wyjąc i tupiąc z radości. Bo i to przygoda ważka, o której gadkę piękną się ułoży, i nie byle zadrwienie z Kościoła. Urosli we własnym mniemaniu na myśl, że zadrą z potężnym klasztorem, Okpią go po wagantowsku. MNiszka w rybały! To przednio!

Krościaty szpilman, który przed południem ograł w kości zamożnego pielgrzyma i dwóch bogatych kupców, krzyknął, że widno dla wszystkiej braci waganckiej funduje. Wiwatując na jego cześć stłoczyli się wszyscy ponownie za stołem. Mały, zrudziały kociak, plątający się po izbie, wlaź pod nogi Gaetana. Chciał go odtrącić, lecz Adalbertus schwycił go za ramię:

- Ostaw! Co robisz? To płonek (Płonek - kot na usługach złego kota)

Gaetano odsunął się, spoglądając na kota z szacunkiem.

- Podgardle ma pełne, choć chudy - ciągnął Wojtek podejrzliwie - pewnikiem znosi grodzkiemu zboże skradzione z komory...

Gospodyni! - huknął groźnie. - My krześcijany; weźcie se tego odmieńca!

- To nie odmieniec! - pisnęła tęga baba z kąta. - Zwykły kocur, ale łowny...

- Nie mnie gadajcie! Dyć widzę, że płonek...

- Naisto?

Przebieżała co prędzej, zdumiona, że taki skarb mając w domu, za zwykłego go zwierza uważała. Kociak mruczając odszedł za nią. Gospodarz stawiał na stole dwie potężne konwie wina.

- My krześcijany! - podchwycił szpilman poprzednie słowa Wojtkowe. - Do klasztoru się zbieramy, to pijmyż po krześcijańsku!

- Z modłami! z modłami!

Kleryk Kommodus wstał, wysoki za stołem. Przeżegnał się lewą ręką, strojąc małpie miny.

Oburzony pielgrzym Joan, ten sam, którego poprzednio ograno w kości, wstał wzywając głośno kary i sądu na bezbożników. Bynajmniej nie strapiiony tym szpilman, skoczył na stół wołając gromkim, namaszczonym głosem:

- O Boże Wszechmogący, jedyny, Bachusie! Ukarz tych fałszywców! Zabierz im wypchane mniszki! Daj nam, pokornym twym sługom, z ich pracy żyć, z ich śmierci się cieszyć!

- Amen - zakrzyczała reszta.

Wszyscy już prawie byli pijani. Skoro któremu głowa opadła na stół, pozostali dźwigali go wołając:

- Orate! Orate! (Orate (z łac.) - módlcie się) Nie ustawaj!

- Bachus Zbawiciel przebaczy - odpowiadał z jękiem zmożny biesiadnik, już spod stołu.

Obyczajne, zawite po brodę w śnieżne płaty żony kmieci i włodyków odsuwały się pośpiesznie w przeciwny koniec wielkiej izby, zawstydzone. Mężowie ich i kupcy, majstry cechowe i górnicy, na poły zgorszeni, na poły roześmiani przyglądali się ciekawie obcym sobie obyczajom cudaków. Znali surowy dech, mocne władztwo puszczy i ziemi, lękali się Boga, czarów i uroków, lecz nie spotkali jeszcze nigdy dotąd bluźnierczej, świadomej rozpusty, najświeższej zdobyczy Zachodu. Przeto dziwili się wielce.

Gaetano ruszył z gospody i chwiejnym, pijackim krokiem poszedł, gdzie po przeciwnej stronie gościńca wyniosłe i niedostępne wznosiły się mury klasztorne. Zbyt odurzony winem, by mógł nad czymkolwiek zastanowić się trzeźwo, przysiadł na zwalonym śniacie na wprost fury, wodząc bezmyślnie oczyma po murach, po wąskich, strzelistych, bronnych kratą oknach i stromych dachach, pokrytych dla bezpieczeństwa ostrzami ćwieków do środka nachylonych obwarowany, przykuł jego oczy i zatrzymał. Przez ten otwór, wielkości jabłka, mógłby zobaczyć Beatrycze chodzącą po klasztornym dziedzińcu. Mógłby rozmawiać z nią... Postanowił wstać, zakołatać potężnie do furty i zażądać od siostry furtianki, by w imię wszechmogącego Bachusa zawołała mu Beatrycze, iżby z nią ugadał. Dźwignął się z trudem, lecz splątane nogi nie chciały odejść zbawczej kłody. Opadł na nią ciężko z powrotem, odkładając wykonanie zamiaru do jutra.

Jutro! Jutro! Dziś Beatrycze jest tam, za najeżoną ćwiekami furta; jutro musi tu być z nim, musi do niego należeć. Dość ma przekpinek rybałcich!

14

Już blisko tydzień społeczność rybałcia wagarowała w pobliżu Trzebnicy czekając pory sposobnej, by dokonać raptu (Rapt (z łac.) porwanie). W chwili trzeźwości ułożono starannie, niezbyt zresztą zawiły plan. Po porozumieniu się z dziewczką - tutaj był sęk zagadnienia - trza będzie w ciemną noc podejść z drabiną w umówione miejsce pod mury. Jeden, wlaższy, rzuci dziewczynie sznur, by ją podciągnąć ku górze. Potem Gaetano zbiegnie z nią do puszczy, gdzie w opuszczonej smolarni można od biedy przesiedzieć kilka dni - jeżeli potrwa pogoda, to i parę niedziel, wprzód spyży (Spyża - żywność) tam nanosiwszy nieznacznie. Dopierożm gdy szukanie przycichnie, z dziewczką za rybałkę czy skoczkę przyodzianą można się do Włoch ostrożnie

przebierać.

Podczas kiedy towarzysze starali się pocziwie, znosząc chyłkiem do smolarni chleb, wędzone mięso i pstrokate szatki, poprzyciskając je ciężkimi głazami przed zwierze - Gaetano, pogrążony w nieustannej gorączce, włóczył się dniem i nocą wokół murów, śpiewając po raz tysięczny tę samą piosenkę i nasłuchując, zali umiłowany głos mu odpowie. Raz zdało mu się, że go słyszy, lecz tak z dali i niewyraźnie, iż nie wiedział, czy to mu było zwidzenie, czy nie. Dwa razy cisnął w tym samym miejscu, gdzie wówczas ją słyszał, szmatkę skręconą, na której farbą wypisał swój zamiar i dzień najodpowiedniejszy. Mógł to uczynić bez strachu, boć trudno przypuścić, by była w klasztorze jeszcze jedna siostra czytać umiejąca, a pani Hedwiga nie chadza pewnikiem pod murem ciekawiąc się spadłymi nie wiedzieć skąd szmatami. Czy jednak natrafi na nie? Beatrycze?: Czy rozpozna pismo przyjaciela? zanim je rosa zamaże? Niepewność jego i naprężenie wzrosły do granic przechodzących siły ludzkie. Nareszcie pewnego południa, warując jak zwykle pod murem, usłyszał głos jej wyraźnie, tuż blisko. Ledwo się wstrzymał, aby nie odkrzyknąć. Bóg go strzegł, bo była z innymi siostrami. Bawiły się w wyzywanie echa wracającego od murów, młodymi dźwięcznymi głosami rzucając w przestrzeń imiona towarzyszek, ksieni i priorissy.

- Gaetano! - krzyknęła Beatrycze długą, miękka nutą.

- Co wołałaś? - zapytała siostra Agata ciekawie.

- Moja matka tak się zwali - odparła Beatrycze wymijająco i znów buchnęła mocno, radośnie, zwycięsko:

- Ben bene (Ben bene (wł) - bardzo dobrze)

Echo wracało trzykrotnie, tłukło się o ściany.

Mniszki dawno odeszły, skarcone surowo przez siostrę odzieniecą za pustotę, a czekającemu chłopcu zdawało się jeszcze, że słyszy. Nie mógł się poruszyć, osłabły z bezprzytomnej radości. Legł w żółkłej, jesiennej trawie płacząc wprost w ziemię obfitymi, radosnymi łzami.

Noc była ciemna, choć oko wykol, gdy Gaetano, Adalbertus i dwaj ich koledzy poszli w umówione miejsce. Reszta wagantów z hałasem przeciągała przed bramą klasztorną, niby to odchodząc, a śpiewając i grając zawzięcie, by na siebie uwagę ogólną skierować. Drabka, skradziona zawczasu u sąsiedniego włodyki, leżała blisko w wądole, liśćmi suto przykryta.

Gaetano szedł na czele wyprawy tak skupiony i przejęty, że nawet łązęgi zaprzestały z niego kpić spoglądając z mimowolnym szacunkiem na jego twarz bladą i stężoną.

Co prawda im także mniej było do śmiechu niż zwykle. W beztroskich umysłach po raz pierwszy świtała myśl, że przedsięwzięcie może się nie udać. A nuż dognonia? Wytopia! Wtedy hej! Żalony w mękach koniec niefrasobliwego żywota! Nie cofał się wszakże żaden, w bezpiecznym mroku sunąc ostrożnie, aż pod mur, w wiadome miejsce. Wiatr gwizdał między drzewami, więc przystawali patrząc z niepokojem, czy to nie nadlatujące nocnice. Dźwignęli z wysiłkiem drabkę. Oparli końce o mur. Przepasany mocnym sznurem Gaetano począł się wspinać powoli. Tchu mu brakło ze wzruszenia, że na szóstym szczeblu przystanął, aby odpocząć. Wzrokiem

obiegł mimo woli kołyszącą ciemność nocy.

- Jezus Maria! - jękał nagle, osuwając się na ziemię.

Odblask płomienia przygaszonej, ukrytej za załomem muru pochodni odbił się w ostrzu halabardy - jednej, drugiej, trzeciej...

Niechając drabki i sznura czwórka wagantów rzuciła się do chyżej ucieczki. Z wrzaskiem i tupotem, szczękając mieczami, wścickli, że ich odkryto za wcześnie, gonili za nimi pacholkiwie książęcy. Dwaj towarzysze pognali ku gospodzie, Wojtek z Gaetanem skrećili przez wądół, ścieżką wcześniej upatrzoną dla ucieczki z Beatrycze. Sadzili ponad strumienie i wyrwy jak kozy, darli się przez ciernie i głóg, wspinali na strome zbocza. Nie śmieli stanąć, posłuchać, zali ich jeszcze ścigają. Na koniec, podrapani do krwi i obdarci zdyszani i roztrzęsieni, dopadli kryjówki w smolarni. W borze leżała uroczyista cisza. Pacholki dawno przestali ich ścigać nie kwapiąc się leżć w puszcze po nocy.

Gaetano padł na ziemię, na przygotowane dla Beatryczy pstre szatki rybałcie i szlochał głucho, bezradnie. Adalbertus sapał i kłał.

- Jakieś ścierwa musiały nas wydać... Bo skąd by? To książęca była straż grodzka...

Cztery dni siedzieli w tym ukryciu, korzystając z przyniesionych raniej zapasów i nie wiedząc, co dalej począć. Strach był wychynąć głowę z bezpiecznej puszczy, lecz chłód srodze dokuczał nocami. Przy tym Gaetano dręczyły strachy i zwidy puszczańskie, Wojtka - brak wina i towarzyszy. Nareszcie piątego dnia ośmielili się wychynąć na gościniec. Dzwony klasztorne były nieustannie, poważnie, miarowo.

- Na trwoę? O nas? - zaniepokoił się Wojtek.

Przysiedli w gęstej, młodej smreczynie, wężąc nosem jak ogary. Na gościńcu panował jakiś niezwykły ruch. Całe gromady ludzi, skupionych, milczących, ciągnęły w stronę Wrocławia.

- Odpust, czy co? - mrucał rybał.

Jakoż coraz nowe kompanie szły za poprzednimi. Jechali konno woje książęcy, dążyli śpiesznie włodycy, krajem szła biedota. Coraz bardziej zdziwieni, rybałci nie wiedzieli, kogo by zagabnąć, gdy szczęśliwym trafem nadarzył się wagant Laurenty, Adalbertusowy znajomek.

Przychwycili go za połę i podciągnęli k'sobie w zarośla, by im powiedział co słyhać. Z zachwyconym podziwem spojrzal na obu dowiedziawszy się, że oni to są sprawcami niebywałego zdarzenia, o którym gród cały gadał, i chętnie nowin udzielił.

Trzęśli za nimi, owszem, przez kilka dni, jak za wilkołakiem, ale już ninie przestali. Mogą iść do grodu bezpiecznie. Kiedy inszych kłopotów wiela mają na głowie, a już grodzkie strażniki najbardziej. Stary książę pono silno zachorzał i zamrze pewnikiem. Może nawet już pomarł. Przez to ludzie tak ciągnął do grodu, boć to nie byle okazja. Pogrzeb szumny, a ogłosiny drugiego!

- Dobra nasza! - zakrzyknął Adalbertus. - Przez to w klasztorze dzwonią?

- A przez to.

- Może wszak lepiej w przyodziewku wybałckim nie chodzić?



- II... Nikt nawet nie wie, jako to były rybałty; w grodzie prawią, że kupczyk romański.

- Dobra nasza! - powtórzył Wojtek. Wrócił mu zwyczajny humor.

Wraz z Laurentem wmieszali się w gromadę górników stąpających zwolna, ociężale, jak gdyby z naciskiem. Byli to sami Ślązacy i koso spojrzeli na Gaetana, gdy się po niemiecku odezwał. Mało im zresztą dawał okazji do gniewu, gdyż szedł posepny i uporczywie milczący, w przeciwieństwie do Adalberta, który po czterodniowej samotnej trzeźwości nie posiadał się z uciechy, iż widzi znowu ludzi koło siebie, a gospody gościnne przy drodze.

- Nie frasuj się - pocieszał zgnębnionego towarzysza. - Uda się za drugim razem, i lepiej, bo z wiosną; jak byście teraz w boru w taką pluchę, co idzie, siedzieli?

Wagant Laurenty miał rację mówiąc, że nikt na obu rybałtów uwagi nie zwróci. Wobec choroby i możliwego skonu starego księcia wszystkie inne sprawy schodziły na bok, jako bez znaczenia. Nawet zuchwałe usiłowania porwania jednej z siostrzyczek trzebnickich, które zwykłą porą zajmowałoby umysły przez szereg miesięcy, ba, nawet lat - rozpełzło się i zbladło, rychło zapomniane.

Książę Henryk Brodacz chorzał od śmierci starszego syna i wyjazdu żony. Co prawda, to jeszcze latem uważano, że świnie w obejściu grodzkim ryły chętniej twarde miedze i przekopy niżli miękki grunt, co znaczyło, że umrze ktoś stary i znaczny, a że wiosną kret wyrył się spod muru zamkowego na zewnątrz, przeto świadomi ludzie zaraz powiadali, że na księcia pokazuje. Choć strażnik bramny ubił kreta, nie odmieniło to wróżby. Wspominano również, że jesienią siostrzan (Siostrzan - belka pułapu) rzeźbiony w sali rycerskiej pękł z trzaskiem, a jakoś na drugi dzień po zgonie Konrada, o północy, ptak jakiś, latawiec pewnikiem, załopotał, uderzył w okno zamkowe skrzydłami. Nie minęło wiele czasu, a książę odpowiedział na to wezwanie kładąc się do łóżka zmżony nagłą chorobą. Syn, synowa i wszyscy przybocznicy ratowali go, jak mogli, kładąc pręty leszczynowe w pościel, nacierając po żyłach czosnkiem święconym, a po kościach żółcią wołową. Ludzie rzucali ofiarnie do Odry monety srebrne, łupieżę kunie, chleb, ser, by łaskę bożą ujednać. Gdy to nie pomagało zgoła i stary książę z każdym dniem słabł bardziej, nieruchomymi oczyma patrząc tępo w kąt komnaty - jęli rozrywać nad nim żywego koguta i topić wosk od pszczoł jarych, by poznać, czyj to jest urok... Posypano chorego popiołem dwunastkowym, czyli zbieranym od wigilii do dnia Trzech Króli, a w gardło wdmuchiowano popiół, jeno nie z drzewiny, ale ze spalonej sowy oraz kozich bobków. Przykładano mu też żabę na sercowy dołek i okadzano suszonym językiem lisim. Gdy i te leki skutku nie odniosły, przenoszono procesjonalnie niemoc księcia na drzewa, za pomocą chust wigilijnych od potu i wydzielin chorego. Lecz drzewa nie schły bynajmniej - snadź choroba opuścić zamku nie chciała. Chciano wówczas psa czarnego żywcem ze skóry obłupić i w ciepły jeszcze łupież wsadzić księcia, lecz nie zwoił. Gadał, że wiek swój i tak przeżył - ma dość. Jadwiszkę swą rad by oglądać i onej mu potrzeba, a nie psiego ścierwa.

Posłano zatem w skok do Trzebnicy dziwując się, że raniej nikt nie pomyślał, by świątobliwą małżonkę o przyjazd prosić. Toć uleczyła niejednego! Ale pobożna pani nie przybyła, każąc mężowi powiedzieć, iż spotkają się rychło w niebiesiach gdzie im lżej będzie i milej niż tu. Tę odpowiedź usłyszawszy westchnął stary książę, a wprędce potem żywot po chrześcijańsku zakończył.

Uderzyły wnet dzwony - w tłumie, w opactwie Św. Winocentego, u Najświętszej Marii Panny na Piasku, w kościołach Św. Wojciecha, Św. Marii Magdaleny i Św. Mikołaja - i biły przez tydzień bez przerwy. Poniósł ich pogłos mocny przez całą dziedzinę, ściągając zewsząd ludzi na szumny książęcy pochówek.

W paradnej sali rycerskiej, której podłogę przytrząśnięto suto grochowinami, leżał na stole zaścielonym kobiercem Henryk Brodacz, syn Bolesławów, nakryty szkarłatem, ku pamięci ofiar, które winny były iść za nim w dziedzinę śmierci, jeno Jezus Chrystus Pan zwyczajnie tego nie zwoił. Dla tejsze samej przyczyny stojąca przy zwłokach straż miała uwiązane na szyi czerwone sznury w dowód, że poszłaby chętnie za panem i stoi tu, jakoby już umarła.

W tej sali i sąsiednich zastawiono do wspaniałej stypy stoły zółciejące świecami woskowymi i misami grochu, co jest potrawą świętą i na pogrzebie konieczną. Wokół zamku i na grodzie paliły się gęsto ognie, przy których pieczono woły i rozdawano również groch suto kraszony. Pożywiał się każdy, kto chciał...

Siódmego dnia był pochówek. Nieprzeliczone tłumy ustawiały się wzdłuż drogi, którą miano wieźć zwłoki. Opięty sukнем wóz ciągnęło osiem wołów w pozłociastych jarzamacz, bo wół, przewodnik zagrobowy, wół, zwierzę półświęte - nie koń - odwozić musi na wieczny spoczynek. Za trumną biegły rozkrzyczane płaczki z konwiami, chlustając na koła wozu wodą, w której myte były zwłoki. Biskup, księża i bracia pokutni w szarych spiczastych kapturach szli przodem; syn, synowa, córka i rycerstwo jechali konno za płaczkami z tyłu. Tłum zgromadzony na grodzie wzdychał i bił się w piersi, żałując dobrego władacza. Bartnicy biegali co sporzej do pszczół, chociaż śpiący, oznajmić im, że pana chowają; reszta wracała do ognisk, do jadła i beczek z winem i piwem. Chwalili nowego księcia, Henryka Henrykowego, zwanego Pobożnym, że zgodnie nieskapo uczcił pamięć oćca. Wspominali też rządy zmarłego, który takie zapasy zostawił, jego gospodarzowanie mądre, sprawiedliwość i łaskawość. Niektórzy obliczali, wiele lat panował. Oj, długo, pono trzydzieści siedem! Zali i synowi Bóg będzie równie łaskaw? Bodajby był. Nie mieli nic przeciw temu młodemu, kromia (Kromie (staropol.) - oprócz, częściowo) chyba tego, że zanadto modlący. Na mnicha raczej niż na księcia sposobny. Całkiem w macierz poszedł. Wspominali też niektórzy zmarłego niedawno Konrada, któremu dziedzicowanie by się należało, gdyby żył. Ale powiadali to z cicha i jakby z obawą.

Adalbertus i Gaetano wałęsali się bezpiecznie wśród tłumów, przysiadając się do tego, to owego ogniska. Wojtek dostrzegł beczkę, prawie że pełną i przepchał się mocno ku niej odsuwając na bok skulonego, zszarzałego zakonnika, co - snadź wygłodniał, bo jadł chciwie - oglądał się raz po raz

niespokojnie, chowając głowę w ramiona.

- Mongoły idą! Mongoły! - wykrzykiwał przeraźliwie, gdy go znaczniejszy gwar doleciał. Znali wszyscy w grodzie jego obłąkanie, przeto nikt na te wykrzykniki nie zwracał uwagi.

Gadano o tym ,komu też ksiązę poswata siostrę swą Zofkę. Bo powszechnie wiedziano, że stary ociec, wielce ją miłując, nie chciał dziewczki winić wbrew jej woli żadnemu niemieckiemu książęciu, zaś innych Piastów za zbyt lichych trzymał. Teraz się to odmieni. Dziewka żrała (Żrały - dojrzały), siostra najmożniejszego w Polsce pana, nie będzie wzdyc ustawnie siała rutki doma... Kiwali ludzie głowami i wnet wszczęły się pogwarki, czyli nieboszczyk dobrze albo źle czynił, dziewce tyle swobody ostawiając. Albo i ta dziewczka! Radować się winna, za jakiego można pfalcgrafa niemieckiego idąc...

- Za Niemca isć, wielkie święto! - burknął szyderczo ktoś z boku.

- Za gnojara większe?

- Takiś sam gnojarz, jak ja!

- Człek między Niemce jako goły w cierniu...

- Hej, Konrad by nam panował! Nie ostalibyście w grodzie!

Dość było wspomnieć Konrada, by Niemcom grdyki pęczniały ze złości. Od słowa do słowa, wszczęła się kłótnia zawzięta i bitka. Kto miał pod ręką sulicę, brał się do sulicy, kto głuszkę - to do głuszki. Taki uczynili zamęt, że zgorszony pan Więcymił nadbiegł ze swymi wiertelnikami i całą gromadę walczących na gródek pognął. W tej liczbie Bogu ducha winnego Gaetana i spłowiałego brata Julianusa, który wrzeszczał przeraźliwie, że to Mongoły nadeszły. Adalbertus przezornie zbiegł wcześniej.

Zapędzono wszystkich do lochu ciemnego, obrzmieźłego, kapiącego ze ścian wilgocią, gdzie mieli spędzić noc dla wytrzeźwienia. Rano puszczono wszystkich prócz brata Julianusa i Gaetana. Pierwszego zadzierżono, bo prosił o to i błagał, po raz pierwszy od kilkunastu lat czując się bezpiecznym w głuchym sklepie, za ciężkimi, potrójnymi wrzeciędzami; drugiego, bo pacholek grodzki poznał, iż był ten sam, co z Chińczykiem w szmatrudzie siedział. Wnet zameldował o tym panom rajcom, którzy przyszli co rychlej na gródek żądać od uwięzionego zaległej kwoty w sumie trzech florenów (Floren - złota moneta bita pierwodniej we Francji (XIII w.)). Ze grosza nie miał przy duszy, ozeźlili się obiecując mu, że posiedzi w więzieniu bodaj kilka roków, póki mandarynowego długu nie zapłaci.

Darmo rozpaczał, błagał, szlochał i zaklinał tłumacząc, jako nic temu nie winien. Darmo zapewniał, że Chińczyk przechera jego samego najgorzej ukrzywdził, zapłaty mu za ostatnie miesiące umknąwszy i zdradnie wyjechał. Próżne starania! Łacniej kamień byś ubłagał niżli uparte głowy panów rajców - i Gaetano pozostał przywrzony niżli w lochu, na długo - kto wie, może na całe życie.

- Zawieraj, zawieraj! - wołał brat Julianus z przestraczem, ilekroć dozorca otwierał zasuwy, by wstawić cebrzyk ze śmierdzącym jadem.

Gaetano nie odwracał głowy, obojętny na chwilę jedzenia, równie jak na wszystko inne. Leżał na ziemi z rękoma podłożonymi pod głowę, pozornie

spokojny, w rzeczywistości targany straszliwą rozpaczą. Leżał nieruchomo, czując, że jeśli wstanie, pocznie rzucać się o ścianę, szarpać kraty, wyć i skowyczeć jak pies. Chwilami zdawało mu się, że nie zdierży męki, że w głowie i sercu pękną mu jakieś stawidła, po czym nastąpi... co? - nie wiedział.

Nie mógł spać ni jeść, oszalała myślą krążąc nieustannie wokół swego nieszczęścia. Miał wyzwolić Beatrycze, był już tego bliski, a oto został żywcem pogrzebany. Nie łudził się nadzieją rychłego odzyskania wolności. Przeciwnie, Boga trza prosić, aby się pan wójt nie zwiedzał, że on to był tym zuchwałym rybałem, co się do mniszek dobierał. Wydaliby go mistrzowi natychmiast. Na myśl o mękach przechodził go dreszcz. Chwilami przecierał oczy sądząc, że to wszystko zły sen, który minie. Zali możliwe, by gnił tutaj beznadziejnie, właśnie teraz, gdy zbywszy dotychczasowego mazgajstwa stał się mężnym, zuchwałym, spragnionym czynu? Zali możliwe, by się jego młode życie tak nędznie i marnie skończyło? Gryzł palce do krwi, gdy z oczu kapwały łzy bezsilnej męki... Beatrycze! Beatrycze! Widzi ją oczekującą, niepewną, czemu miły na ratunek nie przychodzi. To było najgorsze ze wszystkiego. Bluźnił w głos i brat Julianus daremnie starał się go uspokoić.

Brat Julianus, w przeciwieństwie do Gaetana i innych więźniów, czuł się tu znacznie lepiej niż na swobodzie. Ogłuchła cisza tej żywej mogiły, potrójne żelazne dzwierze napełniały go otuchą i spokojem. Zapomniał nawet swego zwykłego przeraźliwego okrzyku: "Mongoły idą!" i stał się zdolnym mówić o innych rzeczach. A mówił i teraz, gdy umysł jego otrząsnął się z długiego otępienia, wracał do dawnych myśli i poglądów. Z zadziwiającą szybkością niby puszczone odwrotnie motowidło, przeżywał zapomniane obrazy.

Gdy na świecie zima pokryła grubym białym kożuchem miasto i zamurowało nieprzejrzyste błony okienne mroźnymi kwiatkami, gdy ściany lochu, w którym siedzieli, pokryły się gwiaździstym nalotem szronu, brat Julianus, nareszcie wypoczęty, przytomny i spokojny, siedząc z podgiętymi nogami na swojej wiązce słomy, rozprawiał żywo i uczenie sam ze sobą, gdyż żaden ze współwięźniów mu nie odpowiadał. Gaetano zbyt był pograżony w swej udreće, by słyszeć cokolwiek, a pozostali trzej - zwykli złodziejaszkwowie grodcy - nie rozumieli ni słowa z uczonej gadaniny.

Mnich zaś gadał nieskończenie długie godziny i dnię jednostajnym głosem, po wielokroć powtarzając to samo, ptasimi oczami, w których czaił się pozostały wyraz osłupienia, wodząc po okrzeplonych ścianach. Słowa jego i kapanie odtajalej wilgoci, jako że na świecie była już wiosna, łączyły się w jeden monotony szmer.

Wkrótce minie wiosna, a potem lato... Dowiadawali się o tych zmianach ze skąpych uwag dozorca lub z widoku much brzęczących przy okienku. Ściany szklily się zimą, kapwały wiosną, osychały latem, by znowu zwilgotnieć i zziębnieć jesienią. Czas nie posuwał się, lecz trwał nieruchomo, jak pająk zwieszony na nitce. Gdzieś na świecie żyli ludzie, rodzili się i umierali, frasowali albo cieszyli, lecz tu nie zmieniło się nic. Powoli kamienne otępienie zgarniało dusze i umysł, osuwało lepą pajęczyną niepamięci.

Dawne wspomnienia, obrazy tak niegdyś żywe i jaskrawe, płowiały z wolna, zapadały w głąb niewiedzy. Człek do wszystkiego przywyka...

Gaetano nie umarł z rozpaczy w pierwszym tygodniu, przeto przywyknął, stępsiał i znieruchomiał. Zbył wrażeń, uczuć i pamięci. Stał się podobny do swojej wioli, leżącej w kącie z przegniłymi dawno strunami. Dawał się chłonać ciemnicy, wysysać przez kamienne mury. Gdy trzeci rok niewoli dobiegał końca, był już pogrążony w nieuleczalnej drzemocie duchowej, podobnej bladej larwie bez potrzeb ni pragnień, gliście więziennej, której obojętne jest zgoła, zali przeżyje w ten sposób dziesięć czy dwadzieścia lat.

Tak stały rzeczy, gdy pewnej pory - nie wiedzieć, czy to było latem, czy zimą, dniem czy nocą - dozorca, otworzywszy wrota, usunął się w wejściu z szacunkiem. Na schodach zadźwięczały kroki, zabłyśły czerwono pochodnie. Sam pan strażnik grodzki, Więcymił z Miechowic, stanął w odrzwiu.

- W imię miłościwego księcia pana - rzekł donośnie - kto chce za broń chwycić i grodu bronić, niechże wyjdzie!

- Mongoły! Mongoły! - zawrzeszczał przeraźliwie po dawnemu brat Julianus i skrył się w najciemniejszy kąt lochu.

- A wy skąd już wiecie? zdziwił się pan strażnik.

Szedł dalej sklepionym przejściem, wołając to samo we wszystkie szeroko poroztwierane drzwi. Wołał nawet w głąb komór, gdzie siedziały najgorsze zbóje, w dyby skute. Gdy wyszedł z głuszy więzienia, zaszumiało nagle od głosów. Którzy niedawno siedzieli, parli radośnie ku wyjściu, gotowi obiecać wszystko, czego od nich zażądają. Ci, z których więzienie wypilo już dawno krew czerwoną i żywsze czucie, spoglądali po sobie niepewnie, nie wiedząc, czego od nich chcą. Szli niemrawo i sennie ku wyjściu, popędzani przez pacholków, chwając się na odwykłych od chodzenia nogach. Przeraźliwy krzyk brata Juliana, pozostałego w lochu, skulonego trwożnie na wiązce zgniłej słomy, gonił za nimi po schodach.

Gaetano wyszedł jeden z ostatnich. Rzeźwe wieczorne, wiosenne powietrze uderzyło niby pałką przywykłe do zaduchu więziennego płuca. Wsparł się bezwładnie o mur. Nie zwracając uwagi na to, że ostał, pacholcy pognali drugich w stronę placu.

15

Spodziewali się ludzie przyjścia Antychrystusowego w roku tysięcznym, jako prorokowała Sybilla (Proroctwo Sybilli - Sybilla (proroctwo w mitologii greckiej) - wieszczka przepowiadająca przyszłość. W średniowieczu był znany apokryficzny zbiór przepowiedni: Oracula Sybillina) i księgi Apokalipsy. Nie przyszedł przeto, że Sybilla dawała wiekom miarę 123 albo 119... Sybillin tysięczny rok dopieroż idzie! Czego prawdziady nasze nie doczekały, szczęśliwie pomarłszy, ninie się nad nami dopełni!... Biada na nasze głowy! Biada dzieciom naszym! Lewiatan (Lewiatan (z hebr.) - biblijny potwór morski) puszczoney już został skroś świata!...

Biało-czarny zakonnik, stojący na środku placu, przy studni, wznosił ramiona w górę, jak gdyby już widząc w obłokach nadlatującą zagładę. Na

niebie rumieniły się tylko zorze, lecz napełniającemu plac tłumowi zdało się, że to blaski ogniów piekielnych.

- O Jezu! - wołano zewsząd.

- Jezu Kryste, sprości nas! Jezu krystu, pomiluj nam!

Łan głów falował przerażeniem, tłum osuwał się na kolana bezradny, roztopiony w łzach głosami zawodząc:

- Jezu Krystu, zasłoń nas; Jezu Krystu, zrodzony z Dziewicy, zadzierzyj diabły mongolskie!

Ponad struchlałymi ludźmi wczesne przedwiośnie zalały wilgotnym wiatrem z południa. Odra powzdymała lód, gotowa ruszyć lada dzień. Pacholcy miejscy pod dozorem wiertelników rąbali od niedzieli krę wokół pali mostowych, trzeszczących w kleszczach lodowych. Gdyby woda mosty zniosła, ostatnia by to była zguba dla mieszkańców miasta, nie mogących nawet schronić się na tamten brzeg albo na ostrowy.

Na opatrzelnach huczało ptactwo, strzelały na wierzbach bazie; lecz choć na gradach wyżej leżących rola nieźle już podeschła, nie wychodził nikt z pługiem w pole. Najpilniejsi gospodarze siedzieli w martwym osłupieniu, nie tykając się żadnej roboty. Po co? - skoro trzeba ginąć... Czajki tylko polatywały krzycząc nad próżniaczymi niwami.

Gadali ludzie po prawdzie o tych Mongołach, straszili nimi prozaki i mnichy wędrownie od czterech, bodaj pięciu lat. Słuchający ich płoszyli się i krzyżem żegnali, lecz nikt bardzo nie wierzył. Polękali się dzień, dwa dni, a potem jeden drugich widząc, że wokół spokój, a miast wrzasków tatarskich słyhać jeno granie pszczoł po krzaczach, kokcielenie cieciorok lub kołatanie dziecioków, spluwał na urok i szedł do zwykłej roboty. A nie dziw, że tak czynili, bo lata szły urodzajne, szczęśliwe na podziw, nie przynoszące żadnej grozy. Że nareszcie śmiało się, gdy kto chciał jeszcze Mongołami straszyc.

Przecie nadeszła pora, że spełniły się prorocstwa, złe wróżby mnichów i prozaków. Już teraz nikt nie mógł o nich wątpić, skoro co dnia prawie przybiegały od wschodu gromady ludzi tkniętych jak obłędem, uciekających przed najściem Mongołów. Na Gromniczną przybieżeli pierwsi, zgłodzeni, przemarzli, do niestworów podobni, a potem już coraz to nowi. Spod Halicza, Przemyśla, Lublina... Choć nad Wisłą stały niezgorsze krakowskie i mazowieckie wojska, nie zatrzymywali się nigdzie nie ufając, by cośkolwiek mogło najeźdźców zatrzymać. Ogarnięci trwogą, parli na zachód. Ni żaden z nich nie oglądał oczami straszliwego wroga, ale widzieli nocami w swych siołach łuny niedalekie. Szły pono kręgiem szerokim jak ziemia...

Patrząc w przerażone oczy widm uciekających, gotowych gonić aż na koniec świata, ludzie tracili głowy, biegali jak kołowaci. Z rozpaczą patrzyli grubi kupcy na swoje dostatki i pożytki, skrzętnie latami gromadzone. Gdzie z nimi się schronić, co począc? Po raz pierwszy w życiu poglądali z zawiścią na hałastę, gołotę grodzką, na pstrą gromadę wagantów, rybaltów, co nic nie posiadając wałęsa się swobodnie, łakomie tylko pozierając za łatwym zarobkiem i jadłem... Cokolwiek wypadnie, łacno się tym nierobom ujść w puszcę skokiem, niczego nie żałując, niczego za sobą nie zostawiając. Bo zdarza się czasem, że przenajmilsze, lube sercu bogactwo

stanie się ciężarem i troską... Z podobną zawiścią patrzą kupcy i na czelną i kipiącą, kroczy stukając kosturem dziad Placydus, pielgrzym zastępczy, z Ziemi Świętej peregrynujący. Chrzęści płaszczem dziwacznym, relikwiami i muszelkami naszytym. Poziera wokoło - niby współczująco, w głębi ducha obojętnie. Wiele go śląskie, wrocławskie troski obchodzą! Jutro będzie z dala stąd opowiadać dziwy o tutejszej trwodze. Świat szeroki - zdąży ująć przed Antychrystem. Brony relikwiami, uciulane grosze nosi ze sobą ciasno zaszyte w brucliku (Bruclik (z niem.) - rodzaj kamizelki) i o nic więcej nie stoi.

Pod podcieniami medyk grodzki Bonifacjus, siedząc przed domem, trze gorłowie w trzymanym między nogami móźdierzcu żaby suszone na proszek. Od

kilku dni gromadzi śpiesznie swe leki do puszek i fiolek, upycha zioła do skrzynek, by wpakowawszy to wszystko na muła uciekać z grodu zawczasu. Dobrze takiemu! Uczoność nosi w głowie, leki zamieści w jednej skrzyni. Ale co mają począć posiadacze domów, sklepów, bogactw? Serca uwięzione przy swych skarbach nie mogą rozedrzeć się na poły. Chęć ratunku pali pięty pragnieniem ucieczki, a żal przenikliwy nie puszcza.

A co poczną rolniki, z dziada pradziada duszą w role worane? Jak jej ziemiczki świętej, żywicielki poniechają? Nie zabiorą jej przecież ze sobą?

Książę pan śle wprawdzie do wszystkich zwołanie, żeby do kupy ciągnęli na zamek, a on przyobleczenie im da i broń; drużyny z nich włódcze przysposobi. Giermki książęce wszędy ogłaszają, że mieszczańscy, rzemieślnicy i chłopcy, ba, nawet wagary i hultaje, zaszczyt wielki mieć mogą - walczyć z pogaństwem obok przedniego rycerstwa.

Ktokolwiek się na zamek zgłosi, dostanie kuszę dobrą albo berdysz, tasak, oszczep lub maczugę. Bronić się trza. Nie puścić dalej Mongołów. Lecz mało kto idzie na zawołanie książęce. Chyba czeladnik i łazęgi, ciekawe pobawić się bronią. Nikt w możliwość obrony nie wierzy. Kto przeciw diabłu ostoi?

Natomiast gromadnie kupią się ludziska wkoło znachorów, czarownic i wróżych. Ci za sutą, bardzo sutą opłatę wtajemniczają w przemądre zaklęcia, które, powiedziane w porę, bez omyłki, zadzierzą nieprzyjaciela przed chatą, ku sąsiedniej chałupie go kierując - także udzielają sposobów różnych i maści mających niewidzialnymi albo na strzały niewrażliwymi uczynić. Bóg wie, z czego owe maści utworzone. Pono z krwi dzieckiej i hostii świętej, umielonej z bazyliżkowym ogonem. Takie czasy nadeszły, że najpobożniejszy nie brzydzi się tym zgoła, bo własny ratunek pierwszy...

Toteż wszystkie szkarady, na podobieństwo Margochy z diabłem spółkę trzymające, baby i czarownice wylazły ze swych schowków i jawnie kupczą na placu. Nikt by nie przypuścił, że tyle ich jest w grodzie. Biskup i kanonicy, ojcowie norbertanie i benedyktyni - udają, że ich nie widzą. Strach w złą porę zadzierać z jędzami, bo jeszcze skorzej diabłów naprowadzą.

Jedni dominikanie, każą na placu, grzmią różnie na owo plugastwo, ale gdy wzywają do przegnania kumoszek szatańskich z grodu, ani jeden głos im nie przywodzi.

Głupi by kto był zaczynać z diabłem, gdy on tuż, tuż.

Kościół stoi pełne dniem i nocą, aż mury się trzęsą i dygocą od śpiewów błagalnych, zawodzeń i szlochów. Jak urywany, nieukoiony płacz, kołącą długie litanie. Goreją świece wotywnie. A równocześnie ciemne zaułki grodzkie pełne są rzeźmierzków, złodziei i dziewczek. Wśród nich, o zgrozo, najcnotliwsze żony i córki poważniejszych rajców.

Gdy jedni płaczą w kościołach, drudzy składają cichaczem obiady starym bogom... Zabijają czarnego byka i tuczną maciorę. Nic nie pomaga. Żadne widma nie podnoszą się przeciw najeźdźcom. Darmo - strach powiedzieć - sprawino potajemnie w głębi puszczy ofiarę krwawą z niewinnych dzieciątek. Cóż pomoże, skoro ludzie świadomi prawią, że nawet obłoki pierzchają przed Mongołami. Chmurniki, jeden chromy, a jedenastu zdrowych, ciągnął je na linach, pędząc w skok przez łęgi nieba. Przez to wiatr ustawicznie wieje, i to ciągle od wschodu, od wschodu. Uciekających pogania... Pierzchają nawet uboża, skrzaty, płonki. Pełno ich wszędy. Płatają się pod nogami.

Przywykły do ciszy lochu, dygocący z zimna i osłabienia, Gaetano włókł się pod murami nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje. Wśród mroku zarysy domów, zębate attyki (Attyka - element architektoniczny zasłaniający całkowicie lub częściowo dach), otwarte paszcze rynien, zwanych hultajami, nabierały fantastycznych, upiornych kształtów. Księżyc ukazywał się, to znikał wśród poszarpanych, gęstych chmurach, niby okręt uciekający na oślep przed burzą... I więzień wzdrygał się nie wiedząc, na jakim jest świecie: żyw jeszcze, czyli w czyścowych pustociach, umarli?

Na środku placu, oświetlonym trzymanymi przez penitencjariuszy (Penitencjariusz (z łac.) - kapłan posiadający prawo rozgrzeszania w szczególnych przypadkach) pochodniami, dominikanin kazał wznosząc w górę ręce gestem groźby. Dźwięk jego głosu i ruchy nasunęły Gaetanowi jakieś niejasne wspomnienia. Zamajaczyły mętne i pierzchły, niezdolne nawiązać żadnej nici z przeszłością. Z tępym osłupieniem patrzył na białą, wąską postać mnicha i otaczającego go ludzi. Posepny, milczący tłum, szare, spiczaste larwy bractw pokutnych, groza i lęk malujące się na wszystkich twarzach przejęły go dreszczem wspólnej obawy. Niewątpliwie znajdował się w czyścicu. Wokół placu na stopniach, jakoby w Dolinie Jozafata (Dolina Jozafata biblijna dolina, w której dokona się Sąd Ostateczny) oczekujące sądu, zrezygnowane i nieme. Kiedy księżyc oświetlał ich twarze, Gaetano myślał, że znał niegdyś niektóre z nich. Nasuwały się jakieś imiona: szewc Kozieoko... bogaty sukiennik Komczorko. Gdy patrzył na ich postawy skazańców, ogarniała go coraz większa trwoga. W porównaniu z tym niewiadomym, dziwnym światem, świeżo opuszczony loch zdał się bezpieczną kryjówką, za którą tęsknił. Czemuż z bratem Julianem nie został?... Równocześnie poczuł nagłą, natarczywą głód. Licha strawa więzienna, jaką miał w żołądku, mogła wystarczyć tylko w bezpowietrznym lochu. Poczuł się czczym i słabym, niezdolnym ustać na zwiotczałych nogach. Usiadł na brzegu studni patrząc ze zdziwieniem na nagły ruch wśród tłumu. Zakonnik umilkł. Wszyscy rozstępowali się śpiesznie na boki, zostawiając środkiem wolne przejście. Wspinając się na palce krzyczeli:

- Biczownik! Biczownik!



Zrazu słaby, oddalony, szybko przebiegający, nadleciał od bramy zgiełk lamentliwy. Pieść górowała ponad nim. Głosy kilkuset ludzi zawodziły:

Zaźrzy serca naszym sercom,  
Odpuść grzechy zmysłów!

Ponad tę wrzawę niósł się tupot, niby pędzącego stada, i chlustanie jednostajne, ciągle, przypominające bicie gradu. Stojący na placu rozstąpili się szerzej, wyciągając z zabobonna ciekawością głowy. Oczekiwani nadbiegli. Męże i kobiety społem. Starki i młódki, otroki i siwe brodacze. Wszyscy do pasa nadzy mimo zimna. Spręgowane razem grzbiety ociekały strużkami czerwonej krwi. Krew oplątywała je niby siatką, spływała za dolne ubranie lub kapala wprost na ziemię. Zeschłe, szerniałe strupy sterczały między ranami. Każdy trzymał w ręku mocną dyscyplinę (Dyscyplina (z łac.) - tu: krótki bat o kilku rzemieniach), chłoszcząc nią bez pamięci plecy, karki i głowy idących przodem. Rozdziawione, zdyszane usta krzyczały:

By ten litkup (Litkup (z niem.) - poczęstunek przy kupnie; odkupienie) dobrze sądzon...  
Od nas diabeł precz odpędzon...

Bił od nich ciężki opar, dur obłędu, gdy biegli i biegli bez końca wśród tupotu i chlastania, jęków i pieśni. Naraz znieruchomiła wśród patrzących dziewczyna wrzasnęła dziko, zdarła przez głowę giezło i w samej kiece skoczyła między pokutniki. Stojący za nią poprzednio czeladnik chwycił ją wpół, ugryzł w białe, nagie ramię, aż zawyła z bólu, i rozdziawszy się z kaftana cisnął go za siebie wtórzac śpiewającym:

Nie karz, Boże, potępieniem,  
Zmiłuj się nad twym stworzeniem!

Setnik opętańców, przywódca, czy jak go tam zwano, wnet podał obojgu świeże dyscypliny, których z pół kopy dyndało mu wokół pasa. Pobiegli za tłumem chłoszcząc się wzajem i krzycząc.

Teraz Gaetano nie wątpił już, że jest w czyścúcu. Krwawa pokuta zdała się koniecznością, której ulec muszą po kolei wszyscy. Wstał na trzęsących się nogach, by iść za dziewczyną i czeladnikiem, lecz tłum patrzących pchnął go w przeciwną stronę. Nie dbając już o biczowników nieśli się wszyscy gromadnie w lewo, gdzie stała gospoda imć Hansa Kurcwursta, zwanego dawniej lubownika krotowil i krotowilników. Siłą bezładu Gaetano dał się ponieść z nimi. Gospoda była otwarta na oścież, jasno oświetlona. Wśród ciemnych, zamkniętych domów stanowiła jedyny punkt jasny na placu. Gospodarz, gruby Hans Kurctwurst, kręcił się po głównej izbie jak oszalały, wywalając na stół świeże bochny chleba, połcie słoniny i wędzonego mięsiwa i wołając:

- Bierzcie, bracia! Bierzcie wszystko! Pokutę trza czynić! Pokutę!  
Stawał znieruchomiały wśród cisnących się ludzi, wodząc dokoła nieprzytomnymi oczami, po czym, niby tknięty, ściągał długim hakiem wieńce kielbasy wiszące na żerdzi pod pułapem, zrzucił je na głowy, na ręce patrzących, nie przestając wołać:

- Bierzcie! Bierzcie! Pokutę trza czynić, pokutę!

Izba pełna już była gawiedzi ulicznej, wiecznie głodnej, z pośpiechem korzystającej z nagłej rozrzutności grubego ławnika. Jejmość Kurcwurstowa biegła za mężem szlochając i chwytając go za ręce. Odpychał ją niecierpliwie, na koniec sinął na stół klucze od piwnicy:

- Pijcie wszystko, bracia! Pijcie!

Zrzucił zwierzchnie odzienie i w portkach tylko, wielki, kosmaty, poleciał przez plac, święcąc w pomroce tłustym, białym grzbietem. Żona pognąła z krzykiem za nim, daremnie usiłując go zawrócić. Dopędził ostatnie szeregi biczowników i wmieszał się między nich.

W opuszczonej gospodzie jadł, kto chciał. Gaetano zdołał chwycić duży bochen chleba i sporą szynkę. Siadł z nim w kącie na ziemi i żarł warcząc jak zwierzę, gdy ktoś podchodził w tę stronę. Lecz nikt nie zwracał na niego uwagi; zapasy chleba i wędlin okazywały się nieprzebrane. Gdy najadł się do sytości, wstał i wzmocnionym, pewnym krokiem zszedł za innymi do piwnicy. Tutaj ujął blaszany kufel i pił długo dobre, mocne wino. Pił, aż dotychczasowy тумan spadł mu z oczu. Zrozumiał kim jest i co się dzieje. Po raz pierwszy odczuł ostrą, dominującą aż do bólu radość z odzyskanej wolności. Chociaż pijany z kretesem, był bardziej przytomny niż przed godziną. Jednego tylko nie wiedział, dlaczego gród się odmienił? Co zaszło? Zapragnął wiedzieć, mówić z ludźmi, wejść z powrotem w życie. Odnalazłszy z trudem schody, wdrapał się na górę, ściągnął przezornie ze stołu nowy bochen chleba i wianek kielbasy i wyszedł na rynek. teraz szukał znajomej twarzy, by się z nią ugadać. Lecz znaleźć nie mógł. Nogi tańczyły pod nim bezwładnie. Pędzący wśród chmur księżyc ukazywał nagle to w górze, to kędyś nisko w dole. Domy uciekały przed jego nadejściem jak szalone. Chwiejnym zygzakiem goniąc za stałym oparciem skręcił w jakąś wąską, ciemną uliczkę pod kościołem, potknął się o kamień narożny i usiadł na nim z rozmachem, patrząc tępo przed siebie. Wydawało mu się, że przechodzący przez rynek ludzie to odchodzą niezmiernie daleko, to następują tak blisko, że krzyczał w obawie, iż go zdepczą. Nagle ktoś, kto mu się wydał olbrzymem, stanął tuż przed nim. Usiadł i okazał się maleńkim, zgoła a zgoła niegroźnym. Przybyły niuchał w powietrzu jak pies.

- Daj to - rzekł do Gaetana wyciągając mu spod pachy chleb i kielbasę.

- Bierz, bracie! Bierz! Pokutę trza czynić! - odparł Gaetano głosem grubego Kurcwursta.

Słuchał z rozrzewnieniem, jak nieznajomy towarzysz pożera jego zapasy, równie łapczywie jak on sam przed chwilą.

- Jak cię zowią? - zapytał, gdy strudzone szczęki ucichły na мгновение.

- Jónek Obracaj, czeladnik od Machalicy, kuśnierza.

- Czelnadniki kuśnierskie dobrze zarabiały... - przypomniał sobie Gaetano.

- Ej, dawne to czasy - westchnął chłopak. - Ninie roboty nie ma i majster

wszystkich rozpuścił... Głód, że strach...

- U Kurcwursta wszyscy darmo jedli co ino...

- Słyszałem. Ale za późno przyszedł... Ani krzty nie ostało...

- Co się dzieje w grodzie? Mór czy co?

Czeladnik wytrzeszczył w ciemności oczy, osłupiały.

- Dyc skądeś ta, że nie wiesz?

- Z więzienia mnie puścili - objaśnił Gaetano. - Tom trzy roki i trzy miesiące z nakładem w lochu przesiedział. Powiadaj, bo nie wiem nic.

- Ano, co tu gadać? Mongoły idą... Antychryst...

- To i za mnie tak gadali.

- Gadali gadali, ale dopirko teraz isto idą. Już pod Sandomierzem pono są. Diabły przekłete. Prawią, co wszystko samym smrodem wytrują. Nikogo nie żywią. Przez to taka groza w grodzie. Nikt o nic nie stoi. Ludzie jak kołowaci. Jedni się modlą, drudzy swawolą albo kradną...

Urwał, bo Gaetano krzyknął krótko, przenikliwie, zrwywając się na równe nogi. Z cieśni uliczki wyszedł rycerz prowadząc w pół mniszkę. Nie zrzuciła welonu, ni zakonnych szat. Bezsromna, obojętna na ludzkie oczy, tuliła się do miłego, wobec rychłego końca świata i zagłady, nie dbając o niczyje sądy.

Jónek Obracaj splunął z pogardą.

- Ot, widzisz! Już się i mniszki po ulicach gzą!

Lecz Gaetano nie odpowiedział nic. Jak pod nagłym uderzeniem mgła niepamięci rozdarła się ostatecznie. Ujrzał niby żywą Beatrycę i swojej wędrowni do Trzebnicy - ostatnią, gdy go pachołcy przegnali, i tamtą, niezapomnianą, gdy w wietrzny wieczór gadali przez mur ze sobą. Syknął na to wspomnienie jak oparzony. Poczul się mocny, gotowy do drogi. Zapragnął iść zaraz, natychmiast, zakolać do fury i wywieźć stamtąd Beatrycę, jak zabrał swoją ten rycerz... Antychryst idzie? Nie szkodzi! Niech idzie, skoro jego przyście zwalnia ze ślubów i czyni wszystko możliwym. On, Gaetano, chce mieć Beatrycę, pożąda jej, pragnie, miłuje. Wszystko jedno, czy diabeł mu w tym pomoże, czy Bóg...

- Co tam prawisz? - zapytał Jónek gładząc się po pełnym żołądku z lubością.

- Niech przyjdą diabły... - mruczał Gaetano.

Czeladnik przeżegnał się.

- Nie gadaj głupstw, bo Mongoły pono naisto już blisko.

- A niech będą! - wrzasnął Gaetano w nagłym gniewie. - Nie boję się ich! Znam Mongołów, byłem u nich...I mowę ich znam! Nie zawarły mnie do lochu, jak wy, psiekrwie jedne!

Zakręcił się na pięcie i runąwszy na ziemię zachrapał mocnym pijackim snem.

Książę Henryk, zwany Pobożnym, syn Brodaczowy, postarzał się wielce przez ostatnie roki. Wychudłe lico, przedłużone ostrym klinem brody, zdało się być twarzą świętka, strugałką w drzewie lipowym. Mimo czapki książęcej i

kunsztownego tabardu wygląd miał zmęczony i zszarzały. Przechodząc z rady, na której nie można było nic uradzić, zatrzymał się w krużganku przy oknie narożnym, gdzie ojciec Brodac przystawał zawdy, by starymi oczyma popatrzeć z lubością na gród i dalekie pola, na rzekę i jej ostrowy, na niewymowną urodę ziemi śląskiej. Oparty z kolei o kamienną framugę syn - poglądał teraz na ten widok z żalem. Przyboczni rycerze Otto von Rienbaben i Walter von Esse stali obok niego.

Patrząc martwo z góry na zmagania się rzeki z lodem książę rozważał, po raz setny chyba od paru niedziel. Czemu się wszyscy nie kupią? Czemu Ojciec Święty nie ogłosi krucjaty, wielkiego wyroju ludzi, jak drzewiej, za głosem Piotra, pustelnika z Amiens (Piotr z Amiens - wędrowny kaznodzieja wzywający do podjęcia pierwszej krucjaty (zm. 1115)). Zagłada idzie na zachód, na starą Europę, a królowie chrześcijańscy nie dbają wadząc się wzajem. Zali nie widzą tego, co on widzi? Mimo nieustannie, od dwu miesięcy wysyłał posłów, próśb, listów wymownych przez biskupa kreślonych - nie kwapili się z pomocą ani cesarz, ani swak (Swak - krewniak, tu: szwagier) księcia, , Waclaw czeski (Waclaw czeski - król czeski Waclaw I (1228-1253) z dynastii Przemyślidów). W miejsce potężnych, skojarzonych wojsk ściągnięto dwustu rycerzy zakonnych francuskich i setka niemieckich, kilkudziesięciu panów świeckich różnej nacji, z dobrowoli, z własnej chrześcijańskiej ochoty rycerskiej przybyłych.

Więcej nikt... On jeden, najmłodszy, na poły barbarzyński syn cywilizacji zachodniej, zasłonić ją miał i bronić...

- A wzdyc, by wszystkie krześcijany zebrały się do kupy - westchnął - nie zmożoby nas to szaleństwo... Cóż ja? Niemcem jestem... Zadzierzę do ostatka. Nie ujdę z rycerstwa. Aleśmy sami, sami... Samiśmy się, Polacy, ostali za szczyt dla świata całego.

Poszedł ciężkim krokiem na paradne komnaty, gdzie go już czekali niecierpliwie, bo czas był na ucztę. Zamek pełen był owych cudzoziemskich gości, których dwa razy dziennie proszono do sutego poczęstunku. Od dwu niedziel przebywał tu z rycerstwem swoim sam Poppo d'Osternau, mistrz potężnego zakonu templariuszów (Zakon Templariuszów - zakon rycerski założony w 1119 roku do walki z muzułmanami. Główna siedziba w świątyni Salomona w Jerozolimie. W XIII w. przeniósł się do Francji. Zakon rozwiązano w 1312 r. po oskarżeniu go o herezje przez króla Francji Filipa IV Pięknego). Wytworny, szydarczy, wyniosły. Jak może, przedstawia księciu śląskiemu bezowocność walki. Słuchając żarliwych odpowiedzi Henryka, z politowaniem patrzy na książęce prostackie obejście. Zwyczajny pałaców, niby koronka w marmurze rzeźbionych, uśmiecha się z niezdarnych budowli słowiańskich i częstokołu lepionego gliną. Owże Poppo, prócz braci zakonnych, wozi ze sobą paziów wielce urodziwych, których w zamknięciu trzyma, że różnie o tym oszklivi ludzie gadają. Codziennie też, przed zachodem, odchodzi wielki mistrz na swoje komnaty, rzekomo dla modłów.

Lecz

ciekawe dwórki pośledziły, że nie klęka, nie biczuje się. Ściąga szaty, by przyoblec miękki, barwiasty chałat teletowy, układa się wygodnie na złocistych poduszkach, pacholek kadzielnicą go okadza. Wielki mistrz zasię

ziola jakoweś zuje i zasypia. Godzinę, dwie nieraz, pacholek nad nim sennie kadzielnicą wiuwa.

W przeciwnej stronie zamku, gdzie bokówki księżniczek były, mieszkają rycerze teutońscy, Najświętszej Panny Marii Jerozolimskiej (Rycerze Najświętszej Panny Marii - krzyżacy). Pokorni są, ustępliwi, z imieniem bożym nieustannie na ustach. Najświętobliwsi ze wszystkich. Komnatkę Zofki, gdzie dawniej turlikały synogarlice, zajmuje komtur (Komtur (z niem.) - w zakonach rycerskich, zwierzchnik okręgu, dowódca wydzielonego oddziału) ich, zwierciadło przedniego rycerstwa. Ten, gdy raz trwał na pacierzach, a sługa zamkowy wszedł z naręczem drzewa niebacznie, na miejscu go mieczem ubił za pacierzy pomylenie. Dziwi się cały zamek tej wielkiej pobożności rycerza.

Oprócz braci zakonnych są woje francuscy, niemieccy i włoscy. Rycerz de la Tremouille, przyboczny królowej Agnesy, siostrzycy rodzonej starej księżnej Brodaczowej, wypytuje dworskich z ciekawością o siostrę swojej pani, kręcąc z podziwem i niedowierzaniem głową, gdy mu powiadają o wielkich jej umartwieniach: włosienicy, pasie żelaznym, łańcuchu na szyi... Skąpa zazwyczaj Anna, córka Ottokara, nie żałuje niczego na przyjęcie wszystkiego rycerstwa, dumna, że gości na zamku tylu świetnych panów. Krząta się żywo, dogląda gospodarstwa, nie dzielając zgryzoty i obawy męża. Dzieci z jego wiedzą, dwie trzecie skarbcza bez jego wiedzy wysłała w bezpieczne miejsce w górach czeskich. Poza tym wierzyła w to, co brat Waclaw pisał odpowiadając Henrykowi na dziesiąte co najmniej poselstwo, błagając o rychłe łączenie się wojsk: że Mongoły tu pewnikiem nie przyjadą, bo im Węgier i małej Polski wystarczy. Do Sandomierza dojdą, a za Wisłę nie. Po co by tu szły? A że chytrusa mazowieckiego Konrada i niedołęgę Bolesława (Niedołęga Bolesław - Bolesław V Wstydlivy (1226-1279) książę krakowsko-sandomierski) wraz z jego dumną Hungarką Kingą (Hungarka Kinga -

Św. Kinga, żona Bolesława Wstydliviego) rozstrzepią, to i niewielki frasunek, a dla Śląska jeno korzyść.

Tak pisał brat król, i Anna podzielała to zdanie.

W najgorszym razie - radził Waclaw - w puszcę wam trza ujść i czekać, aż się pogaństwo przewali.

Tymczasem jednak nikt z rycerzy naisto nie wiedział, jak daleko Mongoły się znajdują. Nadlatywali jak burza. Ledwo człowiek ochłonął z przerażenia dowiedziawszy się, że są pod Lublinem, zawichostem, już gromady w półżywych z trwogi zbiegów donosiły o wyrznięciu i spaleniu Sandomierza, już zagrażali Łęczycy. Krakowskie wojska stały pono pod Szydłowem, gotując się do ostatecznej rozprawy. Wszystkie wiadomości były sprzeczne, niejasne, w okropności tylko zgodne, żaden bowiem ze zbiegów przybyłych nie widział z bliska Tatarów. Opowiadali, co słyszeli od innych, dodając, że ten się jeno uratował, kto zawczasu wyrwał a zdążył. Tylko ci się zbawili i głowy zdrowe unieśli, co cisnęli wszystko nie czekając, łuny jeno na niebie ujrzawszy. Takiego, co by z bliska Tatarów plugawych oglądał, nie było. Bo i jak, kiedy leciało to pogaństwo sporzej najszybszego posłańca?

Nie wiedząc nic statecznego, zebrane na zamku przy uczie rycerstwo

pogadywało to o tym i o innym. Wzdychali opowiadając sobie, jako zaraz po Godach książe Suzdalu, Juryj, pan chrześcijański, ninie wasal diabelski, królowi Beli list wielce obelżywy, wojnę zapowiadający podał. Gdy rycerze zakonni krzywili się drwiąco z takiej uległości wasala, starowina Lutdolf, danny, tłumaczył łagodnie, że pono Juryj żonę i dzieci w zakładzie u Mongołów miał, co wielką jest męką dla serca i gorzej człowieka przymusi niż konfesaty (Konfestata (z łac.) - dawniej śledztwo, badanie, indagacja). Znów gadali o Węgrzech. Jako król Bela, choć uprzedzony, rycerstwa w porę nie zebrał, do obrony się nie przysposobił. Miast z królem iść, rycerstwo węgierskie w zмовie z Tatarami będących, aż krew płynęła ulicami Granu. Rycerz Lamberto del Rosso, wielki przeciwnik Genui, radował się z przyszłej porażki Węgiei, dowodząc, że dumna pani morza wypuszczone ma przez to jelita, a zniszczenie jej szlaków na wschód odejmie jej krwi na sto lat albo i więcej. Matteo di Calvato i Pierro del Monte natomiast, przyjaźni rzeczypospolitej genueńskiej, psioczyli na chytrą Wenecję i na cesarza, który udaje, jakoby zgoła nic o Mongołach nie wiedział, a może ich sam naprowadził... Wiadomo, czarownik jest... Więc słysząc to baroni niemieccy walili pięścią w stół, klęli głośno i łajali szpetnie papieża, który sam winien najbardziej, a takie gadki rozpущza. Rycerz Otto Donnersmarck zaręczał, iż słyszał, Jak Ojciec Święty powiadał, że Gibeliny gorsze od Mongołów i że jeśli Bóg pychę rycerstwa Tatarami zgniecie, dowód to będzie jego miłosierdzia. Rozsierzdzeni, skakali sobie wzajemnie do oczu, aż ich poskramiać musieli zgorszeni rycerze zakonni.

Książę Henryk, Brodaczowy syn, siedział milczący w poręczowym swym krześle, przysłuchując się sporom i krzykom. Nie mówił nic, bo i niewiele miał do gadania. Gdy się ozwał, spoglądano na niego z politowaniem, jak na prostaka nie rozumiejącego się na zawilej, mądrej polityce. Odosobniony, zostając z boku, z odpowiedzialnością olbrzymią, do której nikt się prócz niego nie poczuwał, z troską ogromną, której nikt z nim nie chciał dzielić, wsłuchany w obcy, kłótlivy zgiełk, czuł się śmiertelnie samotny. Samotny, samiuški jak palec. W rozdrażnieniu, niepokoju i zadawnionej bezsenności nielube i obce zdało mu się wszystko. Nawet mowa niemiecka, której był zwykł od małego, brzmiała teraz w uszach napastliwie, nieznośnie, męcząco.

Nagle kroki przerwały jego rozmyślania. Pan Witosław z Borka biegł zdyszany i przejęty.

- Wasza miłość! Onże legat, co kajśkiej tu był, znów jedzie!

- Legat? - powtórzył książę mrugając oczyma jak zbudzony.

- Jego dostojność arcybiskup Mediolanu, Guglielmo del Monte, legat od Stolicy Apostolskiej - poprawił uroczyście, wchodząc za wójtem, rycerz Otto von Reinbaben.

- Nie może być! - zakrzyknął książę.

Zerwał się z miejsca objaśniając biesiadników, kto przybywa. Wybuchli gwarem zdumionym, lecz on, nie zważając na nic, biegł już po schodach na dziedziniec. Patrząc na ten pośpiech, wielki mistrz zakonu templariuszów uśmiechał się pobłaźliwie, wzruszając ramionami. Zeszli jednak wszyscy hurmą na dół, ciekawi, z czym legat przybywa.

Dziecinna, skorożrywa (Skorożrywy - przedwczesny) nadzieja kołatała w

sercu księcia, gdy szedł naprzeciw gościowi. Umacniało się w umyśle coś, co bliskie było upadku: Rzym przemówił!... Z czym przybywa? Jużci nie z czym innym, jeno z wieścią, że Ojciec Święty ogłosił krucjatę i że bratnie chrześcijańskie narody ciągnął ku pomocy.

Arcybiskup Mediolanu wjeżdżał właśnie w bramę. Orszak jego był bez porównania szczuplejszy i skromniejszy niż przed czterema laty, gdy po raz pierwszy dążył tu z zachodu. Ozdobne kropierze końskie zawinięto na zadach w walki, biała mulica była zdrożona i schlastana błotem. Dziesięciu baronów włoskich z giermkami, kilka wozów stanowiło całą asystę legata. Stary Lorenzo, pan na Monte Rosso, ledwie się trzymał w siodle ze znużenia. I on, i reszta rycerzy rozglądali się wokoło niespokojnie, niepewni, zsiąść z koni. Tylko surowa, ciemna twarz legata pełna była spokojnej dumy i panowania, jak zwykle.

MALKOM

qrt50

30f73cc7 30f78a8c 169 a 2163 0 1 p

n c o c z o 48 0 0 0 0 n n 12.00 0.0 12.0 --- d 1 8 1

Na proste, nie przygotowane powitanie śląskiego księcia, odpowiedział ozdobnie w pięknej łacinie, dodając, że od Prusaków i Konrada Mazowieckiego wraca, gdzie siła czasu zabawił, daremno nad zbawieniem dusz jednych, ułagodzeniem drugiego pracując. Mimo pośpiechu i zrozumiałej łąco obawy przed pogańską nawałą, lada chwila mogącą zachwycić szczuplutką garstkę sług bożych, skręcił na Śląsko, ważne mając do księcia sprawę.

- Wasza dostojność nie z Rzymu jedzie?

- Z Rzymu? - zdumiał się legat. - Gdzie zaś! Cztery lata nie byłem w Rzymie, ustawicznie po barbarzyńskich krainach wędrując...

Wiedziono go do komnat paradnych prosząc, by się rozgościł i wypoczął, lecz odmówił, otwarcie powiadając, że boi się, by w moc Mongołów nie popaść, a przez to wielkich i cennych relikwii, które przy sobie ma, na pohańbienie nie narazić. Część ich, mianowicie strzępek szat św. Agrypiny i palec św. Euzebiusza, obiecał zostawić księciu wraz z błogosławieństwem uroczystym dla obecnych tu obrońców chrześcijaństwa.

- Wszystko to, co Ojciec Święty raczy obrońcom udzielić? - parsknął drwiąco Donnersmarck.

Arcybiskup spojrział mu surowo w oczy.

- Ojciec Święty - odparł twardo - tym może jeno rozporządzać, co jest w sercu chrześcijan. Jako stróż studni wodę rozdający, gdy krynica wyschnie, cóż będzie rozdawał?

Rzucił przenikliwym wzrokiem po obecnych i dodał z pogardą:

- A dzisiaj w duszy chrześcijan nic nie ma krom błota!

Odwrócił się do nich powiadając księciu, że rad by z nim samodwa mówił. Zakołatała znów chciwa życia nadzieja. Przeszli do sąsiedniej komnaty.

- O czym będzie z tym chłopem gadał? - zdziwił się wytworny Pierro del

Monte, arcybiskupowy krewniak, oczyma wskazując wychodzących rycerzy francuskiemu de Beaumont.

Sire de Beaumont nie odpowiedział zajęty będąc przy oknie podglądaniem dziewczek dworskich, rozwieszających szmaty na dziedzińcu. Nie zauważył więc, że twarz arcybiskupa zmiękła dziwnie, zaledwie przeszedł próg komnaty. Stała się czującą i ludzką.

- Walczyć będziesz do ostatka, mój synu? - zagadnął księcia z cicha, szybko.

- Wiera... - odparł książę zdziwiony, że go o to pytają.

- Niechajże cię Bóg wspomaga...

W głosie legata tyle było przychylnej szczerości, że Henryk podniósł nań oczy. Sam nie wiedział, kiedy z ust zeszło tak dręczące pytanie:

- Czemu Ojciec Święty nie ogłosi krucjaty?

Zapytany uśmiechnął się gorzko. Zniżył głos i twarz, jak gdyby miał zwierzyć nad wyraz bolesną tajemnicę.

- Czemu Ojciec Święty nie głosi krucjaty? - powtórzył. - Bo nikt na nią nie pójdzie.

- Nie pójdzie?

- Kto by poszedł? Każdy o sobie jeno myśli. Nie o ducha stoją, ale o swoje ziemskie pożytki. Mongołów Wenecjanie sprowadzili...

Spotkał oczyma osłupiały, nie rozumiejący wzrok księcia i dodał z naciskiem:

- Wenecjanie! Oni! Oni! By Genuę zniszczyć, chrześcijanie na zgubę wydali! Sami nawiedli! Przez nich całe Węgry we krwi! Gadajże im teraz, by na swoich kompanów szli...

- A cesarz?

- Nie lepszy, nie... Niechaj Mongoły zniszczą cały świat, byle on do Rzymu wrócił... Toć stoi tu niedaleko, zarówno jak czeski Waclaw, ale nie ruszą wprzód... Darmo do nich Ojciec Święty słał... A inni? Franki? Angielczyki? Gdzie im w głowie! Zaparli się dawno ducha. Głosić krucjatę? Cóż stąd? Po to tylko, aby swoją bezsilę okazać?

Książę zawiesił głowę a legat prawił dalej:

- Zali istotnie panowanie Antychrystusa idzie? Nie wiem... Zda mi się jednak, że Chrystus Pan od nas odszedł... Dlaczego? Nie wiem także... Może i z naszej winy... Boże, bądź miłościw...

Zaległo krótkie, bolesne milczenie.

Wnet arcybiskup otrząsnął się, wyprostował i podjął zwykłym opanowanym głosem:

- Bogu miłe usiłowanie ostatniego chrześcijańskiego księcia chcą poprzeć, darowujemy waszej miłości z wolą i aplauzem Ojca Świętego pieniądze, które cztery lata temu ojciec wasz Stolicy Apostolskiej wypłacił... W Rzymie one wprawdzie, lecz tu w grodzie są kupcy romańscy, co mi zawierzą, pożyczą... wiele trza. Przyjmijcie je, wasza miłość, z błogosławieństwem Ojca Świętego na pomoc w walce...

- Mnie ludzi brak, nie pieniędzy - odparł tępo książę.

- Toć za pieniądze ludzi można dostać.

- Moich nie; sami pójdą, jeśli zechcą.



- Bierzcie cudzych; kto ma pieniądze, ten mocny; w Italii mało już innych wojsk, jeno najemne...

A widząc, że książę nie rozumie, jął tłumaczyć, jako to czynić. Stawiał za przykład Italie i Niemcy. Henryk zrazu słuchał uważnie, lecz po chwili machnął ręką zniechęcony.

- Trza by czasu, a gdzie on?

Na to arcybiskup odpowiedzi nie znalazł. Czasu istotnie nie było.

Baroni włoscy już siedzieli w siodłach dziwiąc się przewlekłej rozmowie. Arcybiskup raz jeszcze błogosławił księciu i wszystkim, którzy walczyć będą, rozdał relikwie, po czym dosiadł swej mulicy i śpiesznie odjechał. Orszak jego zmniejszył się o dwu baronów - starego Lorenza del Monte Rosso i młodego Mattea z rodu Scifich, którzy ostali, gotowi zginąć chwalebnie, z pogaństwem walcząc - a powiększył się o kilkudziesięciu mieszczan uchodzących z grodu.

Książę patrzył długo za odjeżdżającymi. W ustach miał gorzki posmak. Myśli wałęsały się bezradnie. Oczyma obiegił widnokrąg, jak gdyby szukając wroga. Nie było go nigdzie. Tylko w grodzie dzwony kościołów biły nieustannie, a przy moście dwóch grodzkich pachołków szamotało się z oberwańcem, który w rozpaczliwej obronie kopał ich i kasał. Pachołcy wrzeszczeli wściekle.

Książę wychylił się z okna i krzyknął:

- Co zacz?

- Z ogródka go puścili - odkrzyknął strażnik przybramny - a drużyny iść nie chce, sobaczy syn!

- Dawaj go tu sam!

Sponiewierany i pobity Gaetano stanął w parę chwil potem przed obliczem pana. Zetlałe przez pobyt w lochu ubranie nie wytrzymało zapasów i w bójce rozlało się w strzępy. Twarz miał zaciętą i złą, w oczach bunt.

- Czego nie chcesz w drużynki iść - zapytał książę spokojnie.

- Bom nietutejszy - odmruknął Gaetano chyląc się z niechęcią do kolan pańskich. - Co mi o gród stawać, kiedy nie moja to dziedzina.

- Czyjżeś?

- Syn weneckiego nobila, Bartolomea di Candiano - odparł z dumą chłopiec, a pochwyciwszy zdziwione spojrzenie księcia dodał chmurnie: - Po żebracku przyodzianym z łaski panów rajców grodzkich, którzy mnie bez żadnej przewiny do loszku na trzy roki zawarli...

- Jakiś tam powód pewnikiem był.

- Ten jeno, wasza miłość, żem u Chińczyka w szmatrudzie sługował. On Chińczyk ujechał z nagłą, najmowanego nie złożywszy i mnie zapłaty umknąwszy. Rajce mnie zadzierżyły, bym za niego płacił... Jak miałem płacić, grosza przy duszy nie mając?

- Srogo cię pokarali i niesprawiedliwie... Idźże do swojej Wenecji... - Urwał wspomniawszy słowa legata. (Czyli to możliwe?) - Idźże z Bogiem - powtórzył łagodnie.

- A pójde - odrzucił rybałt - ino dziewczkę swą zabiorę.

- Gdzie ona? - spytał książę z roztargnieniem.

Na to czekał Gaetano.

- We trzebnickim klasztorze mniszką jest - odparł zuchwale. Rozpierały go zła pycha, nienawiść długo dręczonego niewolnika. Nie bał się niczego.

Twarz księcia pociemniała.

- Stul pysk! - Rozum straciłeś? Z klasztoru chcesz mniszkę brać?

- O wa! - odparł Gaetano. - Wczoraj przez ulicę rycerz mniszkę wiódł...

Ja nie gorszy. Antychryst idzie, koniec świata... Zginął wszyscy... Nikt o żadne ślubowanie nie stoi... Nie ma już o co się starać... Wszyscy to samo gadają...

Książę oparł ręce na kolana, patrząc w niego bez gniewu, raczej z osłupieniem. Słowa arcybiskupa i zdufniałego rybałta łączyły się w jedno. W głowie mu huczało, jak gdyby cały świat walił się dokoła z trzaskiem.

- Wszyscy to samo gadają - powtórzył półgłosem.

Naraz się opamiętał.

- Błaźnie jeden! - rzekł surowo. - Do lochu cię zawrzyć każę, coby tu grzesznym ozorem nie meł! Boga się nie boisz? Dziewkę z klasztoru zabierać! Jakim prawem?

- I tak je Mongoły porzną albo zhańbią - upierał się Gaetano.

- Porzną czy nie, nie twoja to rzecz, pogański bękarcie nie krzyczony!

Gaetano spurpurowiał pod obelgą.

- Ja krześcijanin, wasza miłość, i z nobilów...

- Szumny krześcijan, naisto! Wiary dać nie chciałem, kiedy mi prawili, że Wenecjańczycy Mongołów na nas zwiody... Ot, prawda, boś ty taki sam! Z nobilów! Z weneckich nobilów, a co z Antychrystem w znajomostwie!

Cała pycha chłopca legła zdruzgotana. Z oczu rzuciły się łzy.

- Nieprawda, wasza miłość! - wyjąkał z rozpaczą. - Z Antychrystem? Nieprawda! Ja krześcijanin!... O Boże!...

- "O Boże!" - przedrzeźniał książę. - Tu skamlesz, a po dziewczkę do klasztoru sięgasz! Bogu, co Jego, zacierasz, miast bronić... Sam legat gadał, co wyście zwiedli Mongołów...

Gaetano padł na kolana, stukając łbem o podłogę.

- Nie wiercie, wasza miłość! - szlochał. - Przysięgam! To łgarstwo! Choć legat mówił... Ktoś go oszukał... Ja wiem!

- Pokaż, że łgarstwo! - krzyknął z pasją książę. - Nie czekaj tu, a z bronią idź! Za krześcijaństwo się zastaw! Wiesz ty, po co diabelskie tu idzie? Rzym święty zburzyć, niemieckie, francuskie, italskie dziedziny splądrować, krzyż wszędy pohańbić! - Nie o co inszego na nas się wałą, jeno by Królestwo Boże nigdy już, nigdy nie zeszło na ziemię!

- Pójdę! - krzyknął Gaetano zrywając się z ziemi.

Oczy mu rozgorzały. Mówił szybko, gorączkowo:

- A pójdę! I zaraz! Pokażę, co Wenecczyki! Ja z prawych nobilów...

Krześcijan... Każcie mi, wasza miłość, oręża dać... Jenom mieczem nie uczony... chybaby z sulicą.

Książę zwrócił się do stojącego za nim Reinbabena.

- Weźże tego pachółka do drużyny włodyczej Przybora i przydziewek mu dajcie... A bacz! - rzucił chłopcu na odchodnym. - Teraz takie czasy, że inkasi nie śmia być, jeno czy Bogiem, czy przeciw... Każdy ma się opowiedzieć... Z Chrystusem - czy z Antychrystem...

Jadąca w przedniej straży prawego skrzydła orda terchana Karduka ogarnęła drużynę włodyki Przybora tak szybko i sprawnie, że przerażeni Ślązacy przecierali oczy myśląc, że to sen obłudny im szkaradne w oczach stawia. Jakże to? Strudzeni szybkim pochodem, ledwo zadrzemani, zbadawszy wprzód dokładnie lasek, spokojni wśród panującej wokół ciszy, a oto są już w ręku piekielniki. Nim który zdążył napiąć łuk albo się zamachnąć oszczepem, już go opadły, stoczyły, związały, cisnęły twarzą do błota, gdzie mógł rzucać się jak ryba w sieci, chrypiąc z wściekłości i miotając obelgi na szatanów tatarskich.

Ci zaś istotnie do szatanów byli podobni, gdy w świetle pochodni rachowali jeńców. Silne wargi rozchyłały się drapieżnym kąsem. Błyskały wąskie białka oczu. Rozkosz niszczenia i szerzenia trwogi rozpierała im piersi. Zbywszy z pamięci niepotrzebnych skarbów, pozostawionych w Karakorum, odzyskali dawną naturę łupieżców ubogich, chciwych na wszelki dostatek i łupili, grabili wszystko, co popadło, garnąc w jasyr (Jasyr (z tur.) - jeńcy, ludność uprowadzona przez Turków lub Tatarów), skarby pańskie lub kościelne jak i żywinę domową i ubogie statki gospodarskie Słowian. Ładowali na wozy dzbery, węborki i stępy, by o kilkanaście mil dalej cisnąć je jako nieużyteczne graty. Największą uciechę sprawiały im napotykanie na drodze kasztele z obwarowaną wewnątrz załogą, którą nazywali prosiętami zamkniętymi w chlewie dla ich mongolskiej wygody. Szli szybko, robiąc dwanaście mil polskich dziennie, jednym uderzeniem znosząc wojska krakowsko-mazowieckie pod Szydłowcem i Chmielnikiem (Pod Szydłowcem i Chmielnikiem - 18 marca 1241 r. wojska małopolskie poniosły klęskę, a wojewoda Włodzimierz i kasztelan Klemens polegli na polu bitwy), zdobywając w zaciętej walce Sandomierz, a bez walki Kraków, z którego pierzchli mieszkańcy. Chan, Bajdar zwany przez Chińczyków Pe-ta, i chan Kajdu prowadzili przez Polskę zwieńczone biało-czarnymi buńczukami tumany. Równocześnie Stary Lew Subutaj, wiodąc główne siły, druzgotał Węgry. Zniósł wojewodę Mederwary pod Munkaczem, po czym puścił konie w cwał, i nie dbając na śnieg i przebieżywszy w trzy doby sześćdziesiąt mil polskich, wepchnął węgierskie wojska do Dunaju. Bajdar zniósł wojów Bolesława Wstydlivego pod Szydłowem, Subutaj i Szejban rozgromił siły króla węgierskiego pod Muhi nad Sają.

Teraz zarówno główna armia, ciągnąca przez Węgry, jak jej prawe skrzydło, szły śpiesznie, aby minawszy Karpaty połączyć się na Morawach i runąć dalej na Niemcy. Pędzili, jak gdyby ich paliła pod stopami ziemia. Paliła rzeczywiście. Codziennie gońcy, dowożący z Azji cięciwy i strzały, przynosili coraz gorsze wiadomości o zdrowiu wielkiego chana Ogotaja i snadno było przewidzieć, że lada dzień żałobny buńczuk przewieziony zmusi wojska do powrotu dla stawienia się na czas w Karakorum, na uroczysty kuryłtaj. Myśląc o tym młodzi chanowie dygotali z niecierpliwości. Bodaj jeszcze parę niedziel! Bodaj posunąć się jeszcze sto, dwieście mil dalej!

Zgnieść cesarza niemieckiego, który ośmiela się twierdzić, że równy jest w Europie wielkiemu chanowi w Azji! Wjechać śmiało w bramy Rzymu, bezpotrzebnie oszczędzone niegdyś przez Attyłę (Attyla - słynny wódz Hunów, zdobywca Rzymu, zwanym "biczem bożym" (zm. 453)!!

Lecz przed połączeniem się z siłami Subutaja, należało rozbić księcia śląskiego, który gotował się zbieżać wojskom mongolskim drogę na zachód od Wrocławia. Na myśl o bezsensownym zuchwalstwie tego książątka chan Bajdar zaciskał pięści ze złości. Po co zabiera cenny czas, opóźnia zagony? Wszak wie, że nic nie sprawi. Nie lepiej, by cofnął się spokojnie, jak król czeski, dziękując niebu, że go niechają w spokoju, i nie przeszkadzając wojskom Niezwycięzonego w wykonywaniu ich wielkiego planu?

Cięnięty zniecka o ziemię, Gaetano poczuł cienki chiński sznur, wrzynający się boleśnie w ciało. Krępujący go Mongoł gniótł plecy kolanami do utraty tchu. Odruchowo Wenecjanin krzyknął po mongolsku:

- Nie rusz! Puść!

Zdumiony Tatar popuścił więzy natychmiast. Wnet przyskoczyło paru innych. Zasykali Gaetana pytaniami, skąd jest, że zna ich mowę.

- Znam - odparł niechętnie i zacisnął wargi nie chcąc odrzec nic więcej.

Włodyka Przybor leżał na ziemi w rozkisłym błocie, prawie u jego stóp, klnąc bladego syna i jego mać kobylą. Gaetano uczuł, że godziej byłoby leżeć przy nim w takim samym pohańbieniu niż ratować głowę gadaniem mongolskim. Nie mogąc się doczekać od niego odpowiedzi, mimo szturchańców i

nagabywań, Tatarzy związali mu ponownie ręce, wsadzili jak worek bezwolny na siodło, ujęli wodze i dwóch konnych pognęło z nim przez las ku tyłom armii.

Trzymając się kurczowo lędźwiami konia, z obolałymi od skrętu rąk łopatkami, Gaetano schylał nisko głowę i przymykał oczy przed uderzeniem wiszących nisko gałęzi. W przerwach, gdy spoglądał koło siebie, widział rojowisko ludzi i koni poruszających się bezszelestnie pośród drzew i w głowę zachodził, skąd się zjawili tak nagle. Toć włodyka Przybor przetrząsnął okolicę, zanim się na nocleg rozłożył. Nie była to zaś żadna przednia straż, wypadająca naprzód znieobaczka, nie czambuł jeden lub orda, lecz mnoga siła, armia cała - pewnikiem parę tumanów. Zarazem, pędząc w milczeniu wśród mroku przez żywy od ruszających się cieni las, myślał, zali istotnie pozorna rzeczywistość wojsk mongolskich jest jeno czartowską złudą, a on sam znowu ofiarą omanu, jak mu to kiedyś dominikanin wyłożył. Gdybyż można się przegnać, uzbroić świętym znakiem przeciw mamidłom szatańskim! Lecz skrepowane ręce nie zwoliły krzyża.

Las skończył się, zamajaczyło popielisko wsi spalonej. Przykra woń świeżej pogorzeli zatykała dech. Białawy dym rozwłóczył się po dolinie. Z całej wsi jedna tylko chata pozostała cała, niby z umysłu oszczędzona. Poza pogorzela rozciągał się olbrzymi tabor z jasyrem, gotowy, by być odesłanym do Azji. Z ciemni i dymu niosły się wzdychania, szlochy i lamenty paru tysięcy ludzi. Wyła wniebogłosa matka, której chore dziecko Mongoli rzucili do ognia, by jej nie opóźniało w pochodzie. Płakały dzieci bez matki...

Prowadzący Gaetana Tatarzy zatrzymali konie przed ową chatką samotną. Zwlekli go z siodła, otworzyli drzwi ze skrzypem, pchnęli do środka, że mało nie upadł potykając się o wysoki próg. Wyprostowawszy się Gaetano spojrział - i oniemiał. Przesiane, miękkie światło papierowej latarni oświecało niską izbę. Pod jedwabną zasłoną przerzuconą przez zatkniętą w ścianę żerdź, otoczony chmurą opiumowego dymu, leżał na kilku poduszkach mandaryn Czang-fu-tse, żółty, nieprzenikniony, w kurnej chacie śląskiego chłopca, obcy i dziwny niby usposobienie Wschodu, równie niezmienny jak stojący poza nim posążek Buddy. Sekretarz Pen-ta-san siedział obok swego pana. Prowadzący Gaetana wojownik bił czołem.

- Ten pies zna naszą mowę - rzekł. - Czy potrzebny?

- Tolholos? - zdziwił się mandaryn, spojrzawszy na nich. Nikły uśmiech zwęził jego skośne oczy. - Przetnij mu więzy, idź precz! - rozkazał krótko.

Żołnierz wykonał rozkaz z pośpiechem i odszedł.

- Witam tolholosa - przemówił mandaryn zwykłym swym chrapliwym głosem.

-  
Czcigodny i uczony Pen-ta-san oraz ja, niegodny, szczęśliwi jesteśmy widząc towarzysza, którego sumiennej i gorliwej służbie zawdzięczamy wiele obecnego powodzenia...

Pen-ta-san skłonił się twierdząco. Twarz jego wyrażała głębokie zgorznienie nad nieobyczajnością stojącego w nieruchomym osłupieniu jeńca.

- Zawdzięczamy wiele... - powtórzył mandaryn. W oczach zamigotały mu błyski szydercze. - Za tak sumienną służbę należy się nagroda. Zali tolholos miłuje jeszcze, jak niegdyś, swą dziewczkę?

Ogłupiały, z trudem prostujący ramiona obolałe od więzów, Gaetano bąknął, że tak.

- Podziwu godna wierność! Czy luba tam się znajduje, gdzie dawniej?

Gaetano skinął głową.

Klasztor ze trzy, cztery dni zajęty będzie przez zwycięskie wojska wielkiego chana (niechaj ongony mają jego żywot w pieczy) - ciągnął mandaryn - zaś dziewczki Bogu chrześcijańskiemu poświęcone pójdą w jasyr, o ile w zamieszaniu walki nie zejdą do krainy cieniów. Los ten chwalebny, lecz nie zawsze pożądany, nie będzie udziałem lubej tolholosa. Tolholos otrzyma paizę. Z paizą tą wejdzie w środek wojsk Wielkiego Chana równie bezpiecznie, jakby był terchanem. Pójdzie z wojskiem do klasztoru. Odnajdzie i zabierze swą dziewczkę - uda się z nią swobodnie, gdzie zechce. Jest wolny, zupełnie wolny. Wielki Kung-fu-tse powiada: "Nie lekceważcie drobnych usług i nagradzajcie je starannie". Nieuczony, lecz pomny przykazania mędrca, rad jestem mogąc uszczęśliwić tolholosa...

Wyjął z zanadrza złotą blaszkę, na której dwa smoki oplatały żółwia.

Gaetano ujął ją drżącą ręką. Wszystko wirowało mu w oczach. Jednakże szyderczo uśmiechnięte, podobne do siebie twarze mandaryna i Buddy zlewały się w jedno, olbrzymiały w oczach, nachylały się ku niemu. Pamiętał, że już kiedyś przeżywał chwilę podobną, lecz nie wiedział, gdzie i czemu. Czy nie sprzedał niegdyś nie wiedzący, duszy diabłu? Czy nie ma teraz w ręku zapłaty za jej utratę? Spojrzął na paizę bezradny.

Drzwi skrzypnęły pchnięte od zewnątrz gwałtownie. W towarzystwie

terchanów Karduka i Arguny wszedł chan Bajdar, zwany Pe-ta. Okrutny, śniady, kosooki. Skórzany jego kaftan okryty był szerniałymi plamami krwi. Krótkie, pałakowate nogi wpierały się władczo w śląską ziemię. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na stojącego z boku Gaetana.

- Pod Legnicą jest miejsce sposobne do walki... wszak prawda? - zagadnął krótko, rozkazująco.

Sekretarz Pen-ta-san podjął śpiesznie zwój pergaminu, rozwinął.

- "Pod Legnicą - czyta nosowym głosem - są szerokie błonia. Nieznaczną rzeczka Kocia Struga płynie pod grodem. Snadno ją w bród przejść. Błonia są suche. Szczególnie jedno rozległe, które Ślązaki zowią Dobrym Polem".

- Dosyć - przerwał Bajdar. - Dobrze. Przyjmiemy bitwę na tym Dobrym Polu.

Wyszedł trzaskając drzwiami. Terchani za nim. Mandaryn ujął nową fajkę, podaną skwapliwie przez sekretarza. Zaciągnął się dymem, wytchnął go, po czym zwrócił się znów do Gaetana.

- Tolholos otrzymał paizę - rzekł. - Tolholos może odejść. Życzę mu, aby szczęśliwie zażywał ze swoją lubą rozrywek, których młodość zwyczajnie jest żądna.

- Wielki Kung-fu-tse powiada: "Radością i rozkoszą wzniosłych umysłów jest nagradzanie szczodre, powyżej zasługi: - zauważył z uznaniem i podziwem Pen-ta-san.

Mandaryn uśmiechnął się zadowolony. Gaetano skłonił się niezdarnie i wyszedł jak we śnie. Tuż za progiem ogarnął go mocny, wiosenny wiatr. Przelatywał z hukiem nad głową bijąc w ciemność, świstał nad pogorzeliem. Od gotowego do drogi taboru z jasyrem przynosiły płacze i jęki. Po raz drugi w życiu ogarnęło Gaetano to samo uczucie, co wówczas, po wypuszczeniu z więzienia - niewiedzy, zali jest na tym czy na innym świecie. Wśród żywych czy wśród upiorów? Jak wówczas dachy grodu, teraz drzewa przybierały fantastyczne kształty.

Co kilkadziesiąt kroków wynurzał się z cienia wartownik. Na widok złotej paizy kłonił się nisko, cofał w mrok z powrotem. Zagłębiony w chaosie swych myśli, Gaetano szedł przed siebie nie zastanawiając się, dokąd idzie, darmo w otumanionej głowie starając się powiązać logicznie słowa słyszane już, przez niego samego niegdyś wyrzeczone:

"Pod Legnicą są szerokie błonia... rzeczka Kocia Struga pod grodem... Błonia suche... Jedno szczególnie rozległe, który Ślązaki zowią Dobrym Polem...

Skąd wróciły do niego te słowa? Drgnął i stanął, bo tuż przed nim rozlegały się głosy. Gromada rosłych jeńców ruskich stała na odkrytej polanie. Byli bez pęt. Mieli tępe, obojętne, wybielone z wszelkiej nadziei twarze. Siedzący na koniu terchan tłumaczył im coś donośnie.

- "zbiegliście i chcecie walczyć - dosłyszał Gaetano ostatnie wyrazy.

- Rozumiem, wasza wielmożność - odparł po ujugursku jeden z nich.

- Czekać, aż się ukážemy...

- Rozumiem, wasza wielmożność.

Głos jeńca i ruchy wydały się Gaetanowi znajome. Kto by to mógł być? Czy nie Iwan, który mierzył jedwabie w szmatrudzie? W dzisiejszą szatańską noc

wszystko było możliwe, więc i takie spotkanie. Niby w pusty wieczór (Pusty wieczór - obrzędy nad świeżo zmarłym), nie zdziwiłby się zgoła napotkawszy w tym lesie-uroczysku wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek znał, żywych jeszcze czy już zmarłych.

Ale nie napotkał nikogo więcej oprócz wartowników, z jednakową czią chyłących się na widok paizy. Szedł i szedł, goniąc własne swoje myśli. Wyszedł daleko za mongolski obóz. Chwilami ostrzegał go jakiś głos wewnętrzny, by nie myślał, nie dociekał... Zdawało mu się wtedy, że stoi jakoby na samym skraju przepaści, w którą runie, gdy zrozumie coś, co już leży tuż przed nim...

Więc starał się myśleć o Beatryczy, o tym, że trzyma w ręku jej wolność. Ale silniejsze niż wola, ważniejsze nawet od Beatryczy, natarczywe, nieuchronne dzwoniły wciąż w mózgu słowa:

"Pod Legnicą są szerokie błonia... Rzeczka Kocia Struga pod grodem... Błonia suche... Jedno szczególnie rozległe...

Idąc przed siebie lasem trafił do miejsca, gdzie przed dwiema godzinami ogarnięta została drużyna włodyki Przybora i on wraz z nią. Ogień rozniecony z wieczora przez drużników tlał jeszcze. Gaetano usiadł przy nim, grzebiąc patykiem w zardzewiu. Dreszcz nim wstrząsnął, więc ściągnął jałowcowe gałęzie ze stosu, który sam przed wieczora z innymi nazbierał; nakrył nimi żar. Po chwili zaszył je biały, gęsty dym. Buchnął płomień. Siedział bezmyślnie, zapatrzony w jasne jęzory, strzelające ku górze, to kłoniące się, gdy wiatr zapadł niżej. Głowa pękała mu od myśli, trzeszczała, zdało się, jak objęte żarem gałęzie.

"Pod Legnicą są szerokie błonia...

Zrozumiał nagle. Zrozumiał wszystko od samego początku, jasno, doskonale. I ojca podróż rozumiał...

Położył przed sobą paizę. Mieniła się krwawym odbłaskiem płomieni. Szatański okup za utratę duszy. Wolność Beatryczy... Wolność...

"... Za trzy, cztery dni klasztor będzie zajęty" - mówił mandaryn. Nie omylił się, na pewno. Zajmą Trzebnicę. Znają wszak, jego staraniem, wszystkie drogi i przechody. Schodził je dla nich, wydeptał uważnie.

Wiatr huczał górą, ogień trzeszczał, a w rozkołatanej głowie jawiły się różne obrazy. Dzieciństwo nad lagunami. I mury Trzebnicy. I białe ciało Beatryczy, nigdy inaczej niżli w snach nie oglądane. I jego miłość. I możliwość szczęśliwego życia we dwoje, kędyś daleko, w Italii...

"Pod Legnicą są szerokie błonia...

Świt zastał go siedzącego w kucki, zgrzybiałym wzrokiem wpatzonego w dogasające ognisko. Drgnął i rozgrzebał żar. Przeżegnał się, drżącą ręką złożył ostrożnie paizę na węglach. Zakrył błyszczący znak żółwia żarem i popiołem. Usypał kopczyk z popiołu, pieczołowicie, czule jak gdyby nad mogiłą Beatryczy...

Wstał. Bezsilnym krokiem powłókł się zdać księciu sprawę z pojmania włodyki Przybora i stojących tuż, tuż sił mongolskich.

Choć rycerze zakonnici przeciwni byli bitwie, radząc raczej cofnąć się, wzorem króla czeskiego, w wąwozy górskie, książę Henryk postawił na swoim i wywiódł wojska w pole pod Legnicą, za wszelką cenę pragnąc zatrzymać nieprzyjaciela. Może zresztą, powiadomiony zawczasu o bitwie, namyślił się swak Waclaw i z posiłkami przyciągnie. Toż stoi w sile czterdziestu tysięcy o niecałą dobę drogi od Legnicy.

A dziesięć tysięcy przedniego niemieckiego żołnierza - tuż za nim!

Na razie, prócz garści cudzoziemskich rycerzy zakonnych i świeckich, ściągęli na jego wołanie: Sulisław, którego brat wojewoda ubił pod Chmielnikiem ze szczątkami krakowskiego rycerstwa; z pół kopy Rusów powiadających, że są z drużyny księcia Daniły, a w niewolę przez Mongołów pojmani, zbiegli szczęśliwie i chcą walczyć przeciw pogaństwu; książę opolski Mieszko z drużyną i margrabia morawski Bolesław Dyplodowic z jedną przednią rotą. Wreszcie wszystkie rycerstwo śląskie, zacnego rodu, de nobilium, genere (De nobilium genere (z łac.) - ze szlacheckiego rodu), i porządniejsze rotę, milites gregarii (Milites gregarii (z łac.) - prości żołnierze), złożone z włódków, rzemieślników, stróży, nawet kopaczy ryjących zazwyczaj ziemię pod Złotą Górą jak krety.

Wywiódłszy wojsko na szerokie błonie, zwane Dobrym Polem, o milę niespełna od grodu leżące, Henryk sprawił swoje hufce. Na cztery je podzielił części. Na prawym skrzydle huf pierwszy, cudzoziemski, widny z dala białymi płaszczami, znaczonego czarnym krzyżem - rycerze Najświętszej Panny Marii Jerozolimskiej; przy nim huf drugi, morawski, margrabiego Bolesława; trzeci śląsko-krakowski; i czwarty Mieszka Opolskiego, lewe skrzydło stanowiący.

Każdy huf wsparty po bokach rotami beredyszników, włóczników oraz kuszników. Rycerze w hufach ustawieni są starym szykiem, zwanym "płatem", jeden od drugiego na długość kopii, by móc swobodnie walczyć z nieprzyjacielem pojedynczym szeregiem, lecz za każdym stoi jego konna czeladź zbrojna. Walczyć będą, jak obyczaj nakazuje, w pojedynkę, przeciwnik z przeciwnikiem, rycerz z rycerzem. Doradzał wprawdzie książę Henryk, od Sulisława wiadomość o szyku tatarskim dostawszy, szereg ściąć i zdwoić; nie zdało się to jednak rycerzom przystojne ani potrzebne.

W pierzastych szłomach, olbrzymom z dala podobni, siedzą w wysokich pozłocistych siodłach, których łęk z przodu prawie piersi sięga. Wyprostowane, blachami okryte nogi tkwią w wielkich, trójkątnych strzemionach. Koń nosi łuskę stalową na barwnym, ziemię frędzlami zamiatającym kropierzu i blachę z kolcem na głowie. Rycerzy chronią zbroje łuskowe, kolcze lub właściwe Słowianom, z kółek żelaznych na rzemieniu naszywanych. Szłomy w kształcie garnka osłaniają głowy. Zza blachy przyłbic wyzieraają zacięte, na śmierć gotowe oczy. Na szczycie szłomów pióropusze pawie, zamorskie strusie lub w lirę czarną wygięte cietrzewie czy głuszce. Niektórzy woje miast piór naszą starodawną modą lby wilcze albo rogi turze. Wielki oburęczny miecz zwisa od pasa rycerskiego, opinającego biodra; kopia z proporcem w rękę. Na złocistym łańcuchu na piersi kołysze się puginał. Na lewym ramieniu długi, trójkątny szczyt, w znak rodowy rycerza barwiony. Te



same znaki mienia się w słońcu na wysokiej żerdzi stadnicy. Każdy ród stoi przy swojej. Rozmaicie kwitną nimi roty, zależnie od ilości rodów, z których je złożono. Gdzie synów skąpo, zdarzy się, że kilkanaście stanic wytryska ponad szeregi. Czasem zaś ledwo dwie, trzy wypełniają roty.

Książę Henryk Pobożny stał o parę kroków przed śląskim hufcem, w otoczeniu kilku przedniejszych rycerzy. Odziany był w srebrzystą cudną zbroję, z relikwiarzem na piersi - darem dobrego miasta Wrocławia. Tysiące życzeń i modłów towarzyszyło księciu, gdy tę zbroję wdziewał; lecz kamień, co tuż przed wyjeżdżającym osunął się z muru nowo budowanego kościoła Panny

Marii, oznaczał złą wróżbę. Na szczycie książęcego szłomu rozpostarty ogon pawia tkwił setką barwistych oczów, kłoniąc się za wiewem wiatru. Wiatr był pieściwy i ciepły, a dzień tak słoneczny, że dziewiąty kwietnia zdał się być połową maja. Pod barwnymi oczami piór własne książęce oczy pełne były zgryzoty i męki. Niewidzialny za srebrzystą kratą szłomu, spoglądał wkoło udreńczonym wzrokiem, nie potrzebując udawać na licach pogody, która go dawno odbiegła. By rozerwać ciężkie myśli, to nasłuchiwał ostatkiem nadziei, czy król czeski nie nadciąga, to pilnym okiem przebiegł szeregi.

O kilkanaście kroków na lewo, w drużynie berdyszników, dostrzegł Gaetana, stojącego z berdyszem w garści i tasakiem za pasem. Książę wspomniał zawile i nieprawdopodobne historie, które mu ten niewątpliwie na rozumie pomyłony rybałt przed paru dniami opowiadał, i zamyślił się nad nim. Patrząc czekając, że chłopak spojrzy w tę stronę. Chciał wtedy przyzwać go ręką, powiedzieć mu, że wszystkie mniszki z Trzebnicy wraz ze starą panią Hedwigą i magistrą Petrusa wywiezione zostały za jego książęcym rozkazaniem daleko, w głąb bezpiecznych puszczy. Niech się pocieszy nieborak przed śmiercią, niech umiera spokojny o swą miłą. Lecz Gaetano patrzył uparcie przed siebie martwym, tępym wzrokiem. Książę znużył się czekaniem i zwrócił oczy w inną stronę ku prawemu skrzydłu.

Zdziwiło go, że Rusowie, znaczni z daleka po odmiennym przyrodziewku i ciemniejszej barwie twarzy, rozproszyli się po rocie opolskiej miast stać kupą... "Powadzili się czy co?" - pomyślał z roztargnieniem.

Chrabąszcz przeleciał bucząc, pacnął ciężko o jego hełm i laź teraz niezdarnie po zbroi, czepiając się pazurkami napierśnego łańcucha. Sztywna, w łuskowatej rękawicy dłoń ujęła go ostrożnie, rzuciła w powietrze. Książę z żalem spojrział za odlatującym. Zapragnął być tym chrabąszczem, a bodaj prętem wilkiny okrytej żółtymi bagnietami, pławiącej się w świetle. Wszystkim raczej niżli sobą. Przejął go żal za życiem, za wszystkim nie dokończonym jeszcze, nie spełnionym... Korona polska, tyloletnie wielkie zamysły rodzica, wpojone weń od dziecka, scalenie poszarpanej spuścizny pradziada - odpłynęło, odeszło... przez kogo innego się stanie...

Wyteżył słuch, bo wydało mu się, że słyszy tętent odległy. Może król Waclaw nadciąga? Ale to wiatr szumił w łożach. Książę uśmiechnął się gorzko z samego siebie, ze swej dziecinnej nadziei. Nie nadciągnie, nie! Rad, że bezpieczny w sztych górskich siedzi, oczekuje jeno wiadomości z pola bitwy, by uznać, czy nie trzeba cofnąć się jeszcze głębiej. Czterdzieści tysięcy przy nim. I Niemców dziesięć tysięcy! A cała siła

cesarza o jakie trzy, cztery dni drogi dalej. Choćby Mongoły były szatanami, musiałyby odejść precz, gdyby stanęli tu społem.

Ale nie staną. Jego niechali samego, aby ich zastawiał. Boć za nich walczył. Juźci nie za Śląsko, które już całe jednym jest cmentarzem. Złupione, spalone do cna. Spalony i z ziemią zrównany umiłowany ojcowy Wrocław. Sterczały z zamczyska okopcone mury. Zburzone Piotrka Włostowa kościoły. Nic już ziemi śląskiej nie ratuje, a oni legną tu wszyscy, za zdrową głowę cesarza, za spokojny sen Zachodu...

Nawiedzająca od pewnego czasu ciężka zmora samotności ujęła niby kleszczami jego duszę. Poruszył się w siodle, bo wydało mu się, że go nowa kolczuga uwiera - lecz ból nie ustąpił. Poczul się znów, jak kiedyś, śmiertelnie sam, opuszczony, nie mający do kogo przemówić. Spojrzał przez kraty na otaczających go rycerzy, Waldemara, Ottona i Rottgiera. Nie wiedzieć czemu wydali mu się naraz obcy i dalecy.

Gdybyż miał jednego swojaka, turodzica przy sobie!

Nie bał się śmierci rycerskiej. Gotów był na nią. Przyobleczenie miał na sobie nowe, koszulę i kaftan pod zbroją, jak przystało do truchły. Nie o stał. Jeno żeby do kogo swojego zagadać.

Brata zapragnął, Konrada. Obaczenia go bodaj na chwilę... Brat! Bystre jego oczy dawno wyżarła topiel. Rozpręgåło się silne ciało, wsiąkło w korzenie mchów i traw kwaśnych na moczydle rosnących. Nie ma krzyża nad jego grząską mogiłą. Darmo go wzywać. Nie wróci, chyba upiorem.

Snadź utęskniona myśl ocuciła marę, bo zdaje się udręczonemu rycerzowi, że słyszy z oddali głos:

"Tyżes mnie wydał na śmierć... Przeniosłeś Niemców nade mnie..."

- Nie przeniosłem nad ciebie, jenom chciałem przez nich Królestwo Boże przybliżyć...

"Przybliżyło się ono zaiste... Dla kogoś poświęcił brata?"

- Ostawili mnie samego - wyznaje rycerz ze skruchą. - Tyś był w on czas praw, nie ja... Daruj mi bracie, och, daruj, bo gorzej mi się stało w godzinę zgonu mojego...

Otrząsnął się z widziadeł, spojrział przed siebie badawczo, bo wydało mu się, że na przeciwległym końcu Dobrego Pola ciemniejący las brzoźowy drgnął i poruszył się. Przetarł oczy i spojrział powtórnie. Las sunął naprzód istotnie, kołysząc się i kolebiąc. To sierpem szerokim nadchodziły wojska mongolskie. Ciągnęły w milczeniu, zwinne i szare, karne i nieprzeliczone. Czarne buńczuki kłoniły się nad hezarami jakoby nad burym morzem.

Przeciągły szmer westchnienia wionął poprzez szeregi rycerstwa. Westchnienie grozy, że oto najstraszliwsze, co pomyślał świat - Antychryst - zbliża się ku nim, a razem ulgi, że skończy się męka czekania i spełni, co spełnić się miało. Wnet też nad zbliżającym się szparko wrogiem świsnęło powietrze, zciemniało niby mgielką komarów nad wodą. Pierwsze strzały napastników upadły przed stopy rycerstwa.

Uniósł się książę w strzemionach, podniósł w górę miecz. Trąby jeły rzwać (Rzwać - ryczeć) chrapliwie, wzywając cnotę rycerską do boju. Ruszyły w przód, rozped biorąc, hufce krakowskie, śląski i morawski. Wiodą je

wojewoda krakowski Sulisław, Dobrogost Bazylów, kasztelan, zdradzieckie mający serce, lecz wojownik przedni, i margrabia Bolesław, Dypoldów syn. Sadzą w rój świszczących strzał, w zjeżony wał spis tatarskich.

Obskoczą ich zewsząd wrogowie. Niechając łuków, dźgają rycerzy spisami, rąbią zjadliwą damasceńską szablą. Walczą szybkością, obrotem i liczbą. Bronią się dzielnie rycerze siłą stalową ramienia. Zwołują poprzez przyłbicę, by ciaśniej szyki podebrać. Padają razy straszliwe. Strzałami zewsząd nadziany, niby św. Sebastian skłuty, Jarach Klimów, druh Konradowy, trzyma się ostatkiem sił. Umrze walczący. Mojko Mojków, młodzik prawy, rży śmiechem w żywe oczy śmierci. Rad zginie w dobrej potrzebie. Spicymir wójt z zaciętą dobroduszną twarzą tłucze spokojnie pogan łócąc koncerzem jak cepem. Tuż przy nich Witosław z Borka ryczy z uniesienia. Niby skwir sępów polatuje ponad polem zwołanie rodu Zamborów.

Lecz pogan coraz przybywa. Już na jednego dziesięciu i więcej. Zwaleni na ziemię, sierpem wiszącym u pasa podcinają pęciny ogierów. Gdy padnie koń, dobija obalonego rycerza jego własną mizerykordią (Mizerykordia (z łac.) - krótki sztylet służący do dobijania wroga). Wśród szarej, ruchliwej gęstwiny barwią się z dala walczący rycerze, niby wiosenny topniejący śnieg.

Gdy śniegu szybko ubywa, posyła księżę ku pomocy czwarty hufiec, Opolczyka, na lewym skrzydle stojący. Bożywój Włostów, księcia opolskiego przyboczny, trąbi w wielki róg. Rycerze zbierają wodze. Lecz rozproszeni w szeregu Rusini kręcą się w miejscu, miast ruszać, krzyczą przeraźliwie:

- Propali my! Bieżajcie! Bieżajcie! (Propali my. Bieżajcie - zginęliśmy, uciekajcie)

I zawracają uciekając. Darmo wstrzymują ich jedni, już słabną drudzy. "Bieżajcie!" - powtórzy niektóry struchlałym, niemęskim głosem.

- Stulcie pysk! Naprzód! - woła ujrzawszy to księżę. Rzuca się przed Opolczyków. Sam ich prowadzi. Szumi piastowska stanica między buńczukami.

Odwalając na bok wrogów, przez kraty szłomu patrzy księżę uporczywie w lica nieprzyjaciół. Z bolesną ciekawością pogląda z bliska w śniade gęby, skośne oczy. Z jakiejże wyszli otchłani? Kim są? Ludzie czy szatany? Terchan Arguna przedziera się ku niemu. Na piersi ma więź amuletów - cudactwa chińskie, bałwanki czarne i złocisty krzyż nestoriański między nimi.

Ciosem koncerza powala księżę Argunę. Serce ściska żal nad pohańbieniem krzyża. W zamęcie walki, skowycie i zgiełku, gdy dłoń parować musi dziesięć ciosów naraz, krzyż zawieszony na piersi pogańskiej wespół z bałwanami nie schodził z myśli ni z oczu. I nagle niby olśnienie: toć walczy o Krzyż! Krzyżowce jest, jako całe życie chciał! Trąby grzmia potężnym głosem sądu ostatecznego - dzień to walki Chrystusowej!

Uniesiony zapalem, wspina się w strzemionach, krzyczy do swoich głosem silniejszym od trąby:

- Za Chrystusa! Za Krzyż Święty!

- Za Chrystusa! - powtarzają woje w uniesieniu i walczą jeszcze zacieklej. Poni Chrystusowych ran, nie żałują ran swoich ni krwie. Pomni na pot Ogrójcowy, nie dbają na pot śmiertelny, kapiący z czoła.

- Za Chrystusa! - powtarza książę.

Choć krew uchodzi po srebrnej zbroi, szczęśliwy jest, lekki, radosny. Odeszła kędyś udręka, odeszła i nigdy nie wróci. Przebaczone, odkupione, wyjaśnione wszystko. Nie ostał się już cień żalu do nikogo. Ni czeskiego króla, ni cesarza... I cóż mu, że nie przyszli? Nie za nich walczą, lecz za chrześcijaństwo, za najgłębszą treść swej duszy...

Szeptem przyplączą się skądś wyrazy:

- Dziękuję Ci, Jezu Chryste, najpokorniej za ten zaszczyt...

Lecz choć oburęczny, obosieczny miecz przecina w pół pancerze z prażonej skóry, choć gęstym ścierwem zasłali pole Mongołowie, chan Bajdar patrzy spokojnie, stojąc pod buńczukiem z boku. Dziwi go długi opór chrześcijan, nie potykany dotychczas, lecz czeka spokojnie. Trzy tumany stoją za nim, a dwa zachodzą od tyłu...

Już też ostatni hufiec chrześcijański zakonnych i obcych rycerzy, na prawym skrzydle dotychczas stojący, rzuca się swoim na odsiecz. Bieleją z dala płaszcze templariuszów, rycerzy Najświętszej Panny Marii Jerozolimskiej. Wiedzie ich sam wielki mistrz, Poppo d'Osternau. Twarz ma odkrytą, obojętną. Umiał wyzyskać życie, potrafi umrzeć jak rycerz. O nic mu więcej nie chodzi. Przy jego boku zaciekle walczą rycerze niemieccy. Płonął odwagą francuscy. Pilno im zginąć chwalebnie, jak giną Ślązaki.

Wówczas dopiero, pomny nauk starego Lwa-Subutaja, widząc, że chrześcijanie wszystkie swoje siły związali w śmiertelnej walce - puszcza chan Bajdar skinieniem buńczuka oba tumany, okrążające zdradnie pole walki.

Zachodzą z dwóch boków otaczając uściskiem walczących. Szyją z tyłu mnóstwem strzał w schylone karki rycerstwa. Duszą, jak w kleszczach, w obręczy śmiertelnej.

Setką barwnych oczów pawich patrzy jeszcze szłom książęcy. Widny z dala, choć kolebie się na boki. Za szańcem przyłbicy coraz lżej coraz górniej podbiega myśl, na poły już wyzwolona z ciała. Po dziesięciokroć ranny, krwią opływający, walczy jeszcze, wznosi się i opuszcza miecz. Tnie ostrze siłą własnego ciężaru, z której nie doda już osłabła dłoń. Niby we śnie osuwa się książę na ziemię z wiernego swego źrebca. Rozścieli się wokół głowy barwny ogon pawi. Rozwarte szeroko oczy spojrzą ku górze.

Jakże świetliste zdaje się modre niebo! Zwiewny, lekki kształt obłoku - to żagiel nieskończoności przyplływający ponad Dobrym Polem.

Piękny jest ten bój ostatni. Piękniejszy niżli powieści rybaków, niżli walka Oliwiera z olbrzymem Fortinbrasem...

I gdy tuż nad gasnącym licem nachyli się śniada gęba Tatar, gdy chwytą rycerski, poświęcony miecz, by głowę powalonemu odrzeć, uśmiechnie się książę mdlejącym błękitem oczu do wyniosłego błękitu w górze. Zda mu się w chwili konania, że wszystko, co było - nawet Śląsko, nawet korona, nawet brat! - odchodzi kędyś, przepada, rozplywa się pośród obłoków...

Odciał pogański syn martwą głowę książęcą, podniósł ją na spisie wysoko. Ze szczytu znajomego szłomu pokłoni wiatr setkę oczu pawich, staplanych w błocie wiosennym i w krwi rycerskiej. Uderzą w krzyk żałobny rycerze, opuszczają struchlałe dłonie.

A w tejże chwili chan Bajdar, zwany przez Chińczyków Pe-ta, rzucił na udręczoną garstkę walczących jeszcze chrześcijan ostatnie trzy, nieczynne dotąd, tumany.

## POSŁOWIE

Przystępując do pracy nad Legnickim Polem, Zofia Kossak-Szczucka była już uznaną autorką Pożogi (1922) oraz dwóch powieści historycznych (Beatum scelus 1924 i Złota wolność 1928). Obie przedstawiają rzeczywistość siedemnastowieczną, początkowy etap umacniania się kontrreformacji na ziemiach Rzeczypospolitej. Obie również prezentują Zofię Kossak jako pisarkę katolicką, żywo zainteresowaną dziejami polskimi i obecnością w nich pierwiastków religijnych. Zasadniczo te same założenia leżą u podstaw tematycznych Legnickiego pola (1930), zmienia się jednak zarówno czas historii i przestrzeń geograficzna. Autorka sięga teraz w wiek trzynasty, w samo centrum europejskiego średniowiecza zagrożonego najazdem Mongołów. Wypadki rozgrywają się nie tylko na Śląsku, lecz również na egzotycznych terenach azjatyckich. To przesunięcie tematyczne zapoczątkowuje w twórczości Kossak-Szczuckiej nowy kierunek zmierzający ku globalnym ujęciom

średniowiecznego świata. Zapowiada najwybitniejsze dzieło pisarki Krzyżowców (1935) oraz jego kontynuację: Króla trędowatego i Bez oręża.

Dokonany przez autorkę Pożogi wybór powieści historycznej wiązał się z bogatą na gruncie polskim tradycją tego gatunku. Sięgając genezą po epokę romantyczną i wzór powieści scottowskiej, polska powieść historyczna rozwinęła się w dziewiętnastym wieku przede wszystkim dzięki piarstwu Józefa Ignacego Kraszewskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Teodora Tomasza Jeża, aby osiągnąć swoje apogeum w dziełach Henryka Sienkiewicza. Powstając w okresie zaborów spełniała ówczesna powieść historyczna różnorodne funkcje: była swoistą instytucją narodową służącą utrzymaniu świadomości historycznej. Stąd charakterystyczne cechy tekstów tworzących wizję przeszłości, ich krytyczne bądź apologetyczne nastawienie. Powieść historyczna tworzy system wartości oparty na tradycji, a ważny dla teraźniejszości. Jest w tym znaczeniu dydaktyczna. Chętnie posługuje się ugruntowanymi stereotypami i emocjami patriotycznymi. Zarazem, zwłaszcza pod wpływem pozytywizmu, zmierza ku poznawczemu ujęciu wybranych fragmentów

przeszłości, wspiera się o źródła i opracowania historyczne. Sposób belektryzowania historii jest więc poddany zróżnicowanym naciskom: naukowym, ideologicznym i artystycznym. "Małżeństwo powieści z historią" - jak pisał Wincenty Danek - wpływa na odmienną rolę fikcji literackiej, która musi się liczyć z tzw. "prawdą historyczną" wspartą na źródłach i przekazach z epoki.

Wiek dwudziesty, a zwłaszcza moment odzyskania niepodległości, zwalnia powieść historyczną z szeregu narodowych powinności. Zmienia także jej kształt artystyczny oraz podstawowe motywacje. Coraz większego znaczenia zaczyna nabierać światopoglądowe założenia dzieła, związane nie tyle z

opisem faktów dziejowych i ich układem zdarzeń, ile z historiozofią. Zainteresowanie twórców skupiają się bardziej niż dotąd na problematyce uniwersalnej, obejmującej wielkie obszary czasu i przestrzeni.

Mimo tych nowych kierunków polska powieść historyczna na początku dwudziestolecia międzywojennego przeżywa wyraźny kryzys. Piszą co prawda epigoni Sienkiewicza, ale zainteresowanie większości autorów zwracają się ku teraźniejszości i przyszłości. Powieść historyczna coraz częściej (mimo osiągnięć takich jak *Żywe kamienie* Wacława Berenta) uważa się za gatunek martwy.

Odzyskanie wysokiej rangi przez powieść historyczną wiąza się w latach trzydziestych z wystąpieniami takich pisarzy jak Teodor Parnicki (Aecjusz ostatni Rzymianin), Hanna Malewska (*Żelazna korona*), Jarosław Iwaszkiewicz (*Czerwone tarcze*) oraz Kossak-Szczucka (przede wszystkim jako autorka *Krzyżowców*). Spośród wymienionych twórców najsilniejsze związki z tradycją łączą niewątpliwie Kossak-Szczucką. Autorka *Legnickiego Pola* w wywiadzie dla "Wiadomości Literackich" pisała o swoim zauroczeniu pisarstwem Sienkiewicza. Nie bez powodu Teodor Parnicki w szkicu *Historia przed sądem współczesnej literatury* nazwał ją "dziedziczką ducha i stylu sztuki Sienkiewiczowskiej". W innym miejscu ten sam pisarz rozbudował swoją tezę:

"Nie tworząc epigonów, tworzy jednak Sienkiewicz jakby świadomy naśladowców pragnących zarazem rywalizować z mistrzem. Tego typu powieść historyczną, idącą świadomie w kierunku sienkiewiczyzmu, ze świadomym celem

przewycięzenia go w sobie i przeciwstawienia mu nowych, własnych, obcych mu dotąd wartości - tworzy Zofia Kossak-Szczucka, bezpiecznie, jak dotąd, najwybitniejsza postać w dziejach powieści historycznej Polski Odrodzonej". (*Współczesna polska powieść historyczna*).

"Dziedzictwo" literackie autorki nie ogranicza się jedynie do Sienkiewicza. Uważny czytelnik dostrzeże w jej powieściach odwołania i do Kraszewskiego (na podobieństwa tematyczne w powieściach piastowskich zwróciła uwagę Wanda Dobrowolska w artykule *Śląsk i Ślązacy w powieści polskiej*), do Żeromskiego i do Berenta. Nie są to jednak ujęcia naśladowcze. W swoich najlepszych powieściach była Kossak-Szczucka "rewizjonistką" wobec ugruntowanych już stereotypów. Poszukiwała nie tylko nowych, nieobecnych jeszcze w literaturze polskiej tematów, lecz również nowych, odwołujących się do koncepcji katolickiego humanizmu, założeń interpretacyjnych. O ile jednak w początkowej fazie jej twórczości z łatwością można dostrzec "szywy" tendencji, o tyle w fazie dojrzałej obraz rzeczywistości nabiera głębi i traci swoją jednoznaczność. Właśnie na pograniczu obu faz można umieścić pierwszą "średniowieczną" powieść autorki - *Legnickie pole*.

*Legnickie pole* stanowi niewątpliwie postęp w stosunku do wcześniejszych powieści, górując nad *Beatum scelus* głębszą i rozleglejszą koncepcją historyzmu, a nad *Złotą wolnością* wykonaniem artystycznym i spójnością kompozycyjną. Pisał jeden z pierwszych krytyków utworu, Stanisław Cywiński;

"Tutaj [w *Legnickim polu* - TB] gruntowna i sumienna praca przygotowawcza pisarki, mająca na celu zżycie się z epoką, tak trudną do poznania i

zrozumienia, acz została wykonana jeszcze bardziej [niż w Złotej wolności - TB] dokładnie, to jednak równocześnie przetopiona w organiczną całość, tak że [...] kuchnia literacka nie jest widoczna i artyzm przepaja tworzywo powieści..."

Podjęcie średniowiecznego tematu postawiło przed autorką szereg istotnych zagadnień do rozwiązania, a zwłaszcza tak istotny problem stosunek uniwersalności chrześcijańskiego świata do podmywających go narodowych partykularyzmów. Odchodząc od "opanowanego" przez polskich pisarzy szlacheckiego wieku siedemnastego w czas mocniej zagłębiony w przeszłość i wyraźniej odgraniczony od współczesności, poszukiwała w nim ponadhistorycznego sensu i wielkiej analogii ideowo-religijnej. Ten rodzaj interpretacji średniowiecza był w zasadzie obcy tradycji polskiej powieści historycznej, która chętniej dopatrywała się w nim epoki ciemnoty i zabobonu, lub - wzorem romantyków - dążyła do uformowania przesłanek służących aktualizacji. Realistyczne "obrazy epoki" w cyklu historycznym Kraszewskiego czy w Krzyżakach Sienkiewicza wyrastały z innych, bardziej obyczajowo-społecznych i politycznych założeń. Istotniejszych pokrewieństw można się dopatrzeć w wyrastających z podobnych konserwatywno-religijnych przekonań powieściach średniowiecza w Żywych kamieniach Wacława Berenta. Natomiast współcześnie z Zofią Kossak jedynie Stanisław Wasylewski w powieści Ducissa Cunegundis podjął temat podobny.

Dla powieści opisarza katolickiego (a takim była przecież autorka Legnickiego pola) epoka średniowiecza mogła być zarówno przedmiotem apologii (dominująca rola religii i kościoła, wpływ doktryny chrześcijańskiej na działania mas ludzkich), jak i skomplikowaną grą różnorodnych czynników, sprzecznych i niejednoznacznych w swojej wymowie. Poszukiwanie "planu bożego" w kłębowisku dążeń, żądz i emocji jednostek i zbiorowości staje się dla twórców tej orientacji zadaniem szczególnie trudnym. Na marginesie analizy Krzyżowców Włodzimierz Pietrzak, jeden z ciekawszych krytyków międzynarodowych, zapisał znamienne zdania o charakterze wieków średnich:

"Gotyk jest w pewnym sensie signum mortificationis żywych i tęgich sił ówczesnego średniowiecza. Średniowiecze wcale nie zawsze brało chłostę, chodziło w włosiennicy i leżało krzyżem. Ten styl ascetyczny, styl świata skończonego w czasie i w przestrzeni, zgodny z nauką Ptolomeusza, narzuciła średniowieczu zwycięska scholastyka i gotyk. Byłoby niesłychanie ciekawe zbadać, co wpłynęło na ludzi wczesnego średniowiecza, obdarzonych zdrową i świeżą siłą biologiczną, stojących u progu cywilizacji, nie zniszczonych cywilizacją i jej niepokojem, że ulegli nastrojom eschatologicznym i pesymizmowi."

Są to pytania, których obecności można się również doszukać w Legnickim polu. Nie są one co prawda tak wyostrzone intelektualnie jak u Pietrzaka, w rozwiązaniach autorki jest wiele naiwnej ufności w porządek świata, niemniej stanowią one czynnik motoryczny fabuły powieściowej.

W lekturze Legnickiego pola czytelnik powinien zatem uwzględnić owe, wynikające ze światopoglądu Zofii Kossak, motywacje religijne i etyczne, decydujące o charakterze obrazu powieściowego. Starcie dwóch światów:

najeźdźczego, wschodniego świata Mongołów z europejskim, chrześcijańskim Zachodem, przegradza się w zasadnicze starcie potęg zła i dobra. Uobecnia ono także celowość historii, w obrębie której azjatycki najazd nie jest po prostu groźnym epizodem, lecz - i przede wszystkim - ingerencją Opatrzności w skażoną rzeczywistość trzynastego wieku, rozdartą przez odśrodkowe działania sił politycznych i społecznych. Fabuła powieściowa w widoczny sposób eksponuje wewnątrz zantagonizowaną społeczność średniowiecza; wprowadza podstępne intrygi włoskich republik kupieckich, które inwazję mongolską kierują ku Europie; antagonizm polsko-niemiecki na Śląsku, prowadzący do bratobójczej walki książąt Konrada i Henryka; konflikt papieża i cesarstwa - by wspomnieć najważniejsze ośrodki fabuły. Dlaczego świat Legnickiego pola nie ma cech uproszczonego i tendencyjnego schematu. Wpływa na to również pieczołowitość, z jaką autorka odtwarza tło obyczajowe i przedmiotowe powieściowych zdarzeń oraz formuje na poły pogański, pierwotny świat słowiański. Ta realistyczna przedmiotowość naraziła w konsekwencji pisarkę na zarzuty zachowawczej krytyki o "pozytywistyczną racjonalizację" osłabiającą duchowe pierwiastki średniowiecza.

Jak gdyby uprzedzając ten zarzut Kossak-Szczucka wiele miejsca w powieści poświęca dwom postaciom zmierzającym ku świętości; św. Jadwidze i jej synowi Henrykowi Pobożnemu. Ich rola w utworze jest znacząca. Obie wyrastają ponad przeciętność i nie mieszczą się w środowisku. Są skazane na samotność, która - zdaniem autorki - pozwala im udźwignąć wielkość ofiary. Nie są to jednak postacie oderwane od spraw "ziemskich". Uczestniczą w nich i ulegają nieustannym zwątpieniom. Henryka gnębi - jeszcze na polu bitewnym - obraz brata, który walczył o polskość Śląska. Jednakże końcowa partia powieści przynosi charakterystyczne "unieważnienie" tych wszystkich spraw doczesnych. Rozterki Henryka Pobożnego rozstrzygają się na polu bitwy pod Legnicą w przedśmiertnej ekstazie religijnej;

"I nagle niby olśnienie; toć walczy o Krzyż! Krzyżowcem jest, jako całe życie chciał! Trąby grzmiały potężny głosem sądu ostatecznego - dzień to walki Chrystusowej [...]"

Choć krew uchodzi po srebrzystej zbroi, szczęśliwy jest, lekki, radosny. Odeszła kędyś udręka, odeszła i nigdy nie wróci. Przebaczone, odkupione, wyjaśnione wszystko. Nie ostał się już cień żalu do nikogo. Ni do czeskiego króla, ni do cesarza... I cóż mu, że nie przyszli? Nie za nich walczy, lecz za chrześcijaństwo, za najgłębszą treść swojej duszy..."

W Legnickim polu autorka nawiązuje w widoczny sposób do tradycyjnych metod kształtowania powieści historycznej. Istotną rolę pełni w nim zatem realny i umotywowany źródłowo czas przeszłości oraz tzw. "koloryt historyczny", na który składają się dokładne rekonstrukcje obyczajów, wierzeń, folkloru oraz stylizacja językowa powieści. W tekście ujawnia się duża erudycja pisarki, sięgającej nie tylko do dawnych źródeł (a zwłaszcza do Roczników, czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego Jana Długosza), lecz także do prac mówiących o obyczajach i zwyczajach zwłaszcza w części "śląskiej" powieści.

Zamykając ścisły tok zdarzeń utworu w kilku zaledwie latach poprzedzających bitwę pod Legnicą, Kossak-Szczucka wydatnie powiększyła



"pojemność" czasową i przestrzenną fabuły powieściowej. Uformowała ją panoramicznie. Z jednej strony w obręb tekstu weszły rozmaite fakty poszerzające wiedzę historyczną o epoce i znacznie wykraczające poza ciasne ramy chronologiczne, a z drugiej zaś - szeroko rozbudowały się konstrukcje topograficzne, obejmując swym zasięgiem zarówno mongolskie Karakorum, jak i

okolice Wrocławia. Ową rozległą przestrzeń geograficzną wypełnia (podobnie jak w Sienkiewiczowskich Krzyżakach) stały ruch bohaterów powieściowych i wojsk. Pozwala to autorce na egzotyczne opisy wschodniego świata oraz stojącej u progu cywilizacji dzielnicy śląskiej za panowania Henryka Brodatego. Pisarkę frapują zwłaszcza składniki tego jeszcze "niegotowego" i tworzącego się dopiero świata oraz zderzenia różnych kultur. Stąd nieustanne wrażenie bogactwa i różnorodności, które uzyskuje w trakcie lektury tej niewielkiej powieści czytelnik.

Obok licznych cech wspólnych z tradycją powieścią historyczną, bez trudu można dostrzec w Legnickim polu znaczące różnice. Przede wszystkim autorka ogranicza, dawniej mocno eksponowany, wątek erotyczny. Dzieje młodego włocho Gaetana i mniszki Beatrycze są wyraźnie umieszczone na dalszym planie oraz mają raczej charakter pretekstu dla rozleglejszego ukazania różnych środowisk, głównie miejskich i goliardowskich. Gaetano łączy również "wschodnią" ekspozycyjną i "śląską" część powieści, uczestnicząc w szpiegowskiej wyprawie mandaryna Czang-fu-tse. Wątek miłosny, mimo nieudanej próby raptu, zostaje przerwany w momencie, gdy Gaetano odkrywa, iż został przez Chińczyków wykorzystany jako szpieg. Rozpływa się jak gdyby w ostatniej bitewnej scenie powieści; nie stanowi to zamknięcia kompozycyjnego wątku.

Brak wyrazistej akcji erotycznej nie umniejsza jednak roli elementu przygodowego. Mimo iż Legnickie pole jest powieścią o strukturze epizodycznej, znaczną rolę odgrywają w niej sensacyjne motywy szpiegowskiej intrygi Chińczyków, którzy kierując wyprawę Mongołów na zachód, odwracają niebezpieczeństwo od swojej ojczyzny. Ów wątek sensacyjny, budowany częściowo z elementów przypominających powieści detektywistyczne, nadaje utworowi dodatkową cechę dynamizmu. Odkrywa zarazem polityczną mądrość i

wiedzę ludzi posiadających oparcie w starej kulturze Chin, mądrość, która pozwala im manipulować działaniami dzikiej masy mongolskiej, realizującej swe pragnienia w żywiołowym (choć zorganizowanym) dążeniu do podboju.

Utwór Zofii Kossak jest w znacznym stopniu "śląski". Już sam fakt, że poza ekspozycyjną partią tekstu, rozgrywającą się w Azji, zasadniczy zrab fabularny Legnickiego pola mieści się we wrocławskim księstwie Henryka Brodatego i Henryka Pobożnego jest tego dostatecznym dowodem. Śląsk został w powieści przedstawiony wszechstronnie; jako wyodrębniona przestrzeń, wspólnota plemienna, stosunki społeczne, życie miasta i dworu. Już wstępny opis ziemi śląskiej, na którą wkracza szpiegowska karawana mandaryna Czang-fu-tse tworzy szczególną atmosferę odrębności tego świata:

"Droga wiodła ich miękko falistym, urodzajnym krajem, radosnym i miłym dla oka. Pod osłoną wielkich lip, upstrzonych barciami, stały chaty-sadyby,

ciemne i utulne. Mieszkał w nich lud beztroski, gościnnie o łagodnym obyczaju, choć pod węgiel nowo wznoszonej sadyby jeńca, imaćna, zabijał na szczęście - lud, który czcił Chrystusa Pana i Najświętszą Jego Matkę, lecz równocześnie sypał mąkę na dach domu jako ofiarę dla Chwista-Pochwista, a za znieważenie starego dębu karał rozplątaniem brzucha. Szanował św. Jana Chrzyciela, św. Agrypinę i drzewa. [...] Podobnie jak dziadkowie ich i pradziadkowie żyli w przepaścistych puszczech, w zgodzie z mocami przyrody, chwalać Boga chrześcijańskiego, słońce, księżyc, i wszystkie cztery żywioły, zasłonięci od wiatrów północnych i wszelkiej napaści."

Wprowadzając w powieść świat śląski, autorka posłużyła się charakterystycznym chwytem kompozycyjnym; "odkrywają" go bowiem jak gdyby przybywające z dwóch stron wyprawy. Ze wschodu nadciąga wzmiankowana już

karawana szpiegowsko-kupiecka, natomiast z zachodu - poselstwo papieskiego legata. Każda z nich inaczej "uobecnia" motywy śląskie. Poselstwo legata - przede wszystkim - ważny dla znacznych fragmentów w powieści antagonizm niemiecko-śląski, a ściślej ekspansję niemiecką, której sprzyja dwór książęcy. Autorka przywiązuje do tej kwestii wielką wagę, każąc ją przeżywać w różnych momentach powieściowym postaciom (Henrykowi Pobożnemu,

św. Jadwidze i Henrykowi Brodatemu), czyniąc ją równocześnie zasadniczym motorem działań księcia Konrada, tragicznego przeciwnika cywilizacyjnej inwazji niemieckiej na Śląsk. W sporze z bratem, Henrykiem Pobożnym, na jego wizję zjednoczonej Europy odpowiada gwałtownie:

"Bym kopę lat w zamorskich krajach siedział, nie zmamiłyby mię tak, jak ciebie... Nie o Królestwie Bożym myślą, ale o tym jak by drugiego za łeb snadniej wziąć... Słabszego zełktą jak szczupak płotkę... Ino krzepki się ostoi... Będziemy krzepcy, to sami przyjdą do nas prosić się ze swoi umem... Bracia są jeno ci ludzie, co na jednej ziemi wzrosli, jednym językiem gadają."

Konrad podnosi bunt i ponosi klęskę. Ginie samotny i do końca niepokorny. Po śmierci staje się głównym wyrzutem sumienia matki - św. Jadwigi i brata, którzy częściowo uznają jego rację. Tendencja powieści jest w tym miejscu wyraźna, autorka, nawet wbrew logice średniowiecznego uniwersalizmu, uznaje również narodowe racje księcia Konrada.

Opisując rzeczywistość śląską jest nią autorka wyraźnie zafascynowana. Szczególnie jej uwagę zwraca synkretyczność wierzeń i obyczajów, w których istnieją równoległe relikty pogańskie i nowe wyobrażenia chrześcijańskie. Ten świat, zbudowany w równej mierze z przekazów dawnych jak i folkloru, ma - jak to opisał jeden z recenzentów - charakter "kalejdoskopowy". Obok polskiego i ludowego elementu (zaślubiny, wieszanie żercy pogańskiego, opowieści o utopcach, wilach i skrzatach itp.), istotne miejsce zajmuje wielonarodowościowy świat miejski. Jego opis pod wieloma względami przypomina Berentowskie Żywe kamienie, jednakże jest on pozbawiony symboliki modernistycznego tekstu. Szczegółowość i nagromadzenie

różnorodnych realiów wywołuje wrażenie dużej plastyczności Legnickiego pola i wizulaności wielu jej fragmentów. Nie bez znaczenia jest tu fakt, iż autorka pragnie stworzyć taką wizję przeszłości, aby czytelnik wyraźnie odczuwał "dawność" świata i ludzi. Z drugiej strony można dostrzec niezaprzeczną dbałość o komunikatywność przedstawienia. Stąd narracyjne objaśnienia, dopowiedzenia, stylizacja nie przekraczająca progu zrozumiałości.

Legnickie pole, dzięki swoim walorom, jest nadal powieścią żywą. Mniej zapewne w tkance ideologicznej, tutaj bowiem łatwiej można dostrzec ślady upraszczającej tendencji, czy pewne płycizny myślowe. Krytycy zauważyli także słabość kreacji postaci, ich nadmierną i schematyzującą typizację.

Pisał np. Parnicki:

"Typizacja [...] i upraszczanie psychologii postaci historycznych dochodzi do szczytu w Legnickim polu. Henryk Pobożny i jego brat Konrad - to manekiny przedstawiające dwa światy polski i niemiecki; poza tym Henryk to ideał rycerza chrześcijańskiego... Henryk Brodaty ukazuje się nam po raz pierwszy, targając siwą brodę! Wenecjanin zawsze musi nienawidzić Genuńczyka, Chińczyk zawsze musi być przebiegły, templariusz - zawsze tajemniczy i zniewieściał. Żeby choć raz Henryk Pobożny stał się normalnym ojcem, zatroszczył się o swoje liczne potomstwo, bo to się sprzeciwia szablonowi."

W przejaskrawionych zapewne zarzutach Parnickiego dostrzec można jednak sporo racji. Istotnie postaciom Kossak-Szczuckiej brakuje pogłębienia, są one za bardzo na usługach idei i zbyt silnie realizują stereotyp. Nie zmienia to jednak faktu, iż powieść pozostaje w trwałym dorobku powieściopisarskim Zofii Kossak i jest zarazem zapowiedzią najwybitniejszego utworu pisarki - Krzyżowców.

Tadeusz Bujnicki